

# MERLIN



KSIĘGA 1

NIEZNANE LATA

T. A. BARRON

*Niezwykła wyprawa w głąb duszy, ciała i umysłu. – Madeleine L'Engle*



# MERLIN

## KSIĘGA I

**NIEZNANE LATA**

**The Lost Years of Merlin**

T. A. BARRON

Przełożył

Patryk Gołębiowski

Książkę tę dedykuję

# **PATRICII LEE GAUCH**

wiernej przyjaciółce, pełnej pasji pisarce,

surowej redaktorce

z wyrazami szczególnej wdzięczności dla

# BENA

czterolatka o wzroku i zwinności sokoła



LEGENDARNA

WYSPA

FINCAYRA

tu żyją dziwne ludy

ZIEMIE

gdzie jest  
Studnia do  
Zaświatów

Slantos

lankinie

Spowity Zamek

przepowiednia o Totou  
Obrzymów

ruiny

obóz goblinów

dom Calprégo

przesmyk

MROczne WZGÓRZA

czyżby skarb?!

Tellean  
i  
Garlacha

kryjówka Domnu  
tu może  
być Galator

NAWIEDZONE

BAGNO

Miasteczko  
Bardów

ruiny

Wyspę zawsze otacza mgła



# OD AUTORA

Nie wiem zbyt wiele o czarodziejach, ale mogę zapewnić: zawsze mają w zanadrzu jakąś niespodziankę.

Kiedy kończyłem pisać *The Merlin Effect*, powieść, która bada pewien wątek legendy arturiańskiej od pradawnych czasów druidzkich niemal do zarania dwudziestego pierwszego wieku, uświadomiłem sobie, że wątek ten omotał mnie do tego stopnia, iż nie umiałem się od niego uwolnić. Kiedy ciągnąłem za nitkę, ona ciągnęła w przeciwną stronę. W miarę jak starałem się rozwikłać zagadkę, pogrążałem się w niej coraz bardziej.

Wątek dotyczył postaci samego Merlina. To tajemnicza i fascynująca osobowość, czarodziej, który potrafi żyć wstecz, który odważył się oszukać Potrójną Śmierć, który prowadzi poszukiwania świętego Graala, rozmawiając zarazem z duchami rzek i drzew.

Zrozumiałem, że chcę go lepiej poznać.

Współcześni badacze utrzymują, że mit o Merlinie bazuje na postaci historycznej, przekazie o druidzkim proroku, który żył w Walii w szóstym wieku naszej ery. Zostawmy jednak tę debatę historykom. Gdyż niezależnie od tego, czy Merlin naprawdę zaistniał na arenie historii, bez wątpienia istnieje w sferze wyobraźni. Tam żyje od dawna i tam kwitnie jego legenda. Niekiedy przyjmuje on nawet gości. A ponieważ chciałem napisać dzieło oparte na wyobraźni, nie na historii, wrota do krainy Merlina miałem szeroko otwarte.

I tak, zanim zdążyłem zaprotestować, Merlin sam zaplanował moją przyszłość.

Pozostałe książki i projekty musiały poczekać. Nadszedł czas, by zająć się innym, bardziej osobistym aspektem legendy czarodzieja. Czuję, że - jak dzieje się to zazwyczaj - im bardziej pogrążam się w studiach nad Merlinem, tym mniej o nim wiem. I oczywiście od samego początku nie miałem wątpliwości, że nawet niewielki wkład do tak wspaniałego materiału mitologicznego będzie deprymującym wyzwaniem. Ale ciekawość to silny bodziec.

A Merlin nalegał.

Wtedy czekała mnie pierwsza niespodzianka. Kiedy zagłębiłem się w opowieści o Merlinie, natrafiłem na białą plamę, której nie umiałem wyjaśnić. Młodość Merlina -

kluczowy okres kształtowania się jego osobowości, kiedy najprawdopodobniej odkrył on swoje mroczne korzenie, swoją tożsamość i moc - opisano zaledwie pobieżnie albo nie było o niej żadnej wzmianki. Gdzie pierwszy raz zakosztował smutku, gdzie zaznał pierwszy raz szczęścia, przy jakiej okazji pobrał pierwsze lekcje życiowej mądrości. Wszystko to czekało na zbadanie.

Większość klasycznych opowieści obiera strategię Thomasa Malory'ego i zupełnie pomija wczesne lata Merlina. Kilka opowieści nawiązuje do jego narodzin, jego udręczonej matki, nieznanego ojca i losów nad wiek rozwiniętego dziecka. (Według jednej relacji, mając niespełna rok, peroruje on w obronie matki). Potem nic więcej o nim nie wiemy i dopiero kiedy jest znacznie starszy, widzimy, jak



tłumaczy królowi Vortigernowi sekret walczących smoków. Mamy tu więc kilkuletnią białą plamę. Być może, jak twierdzili niektórzy, lata te, które pomija legenda, Merlin spędził, blakając się samotnie po lesie. A być może... udał się zupełnie gdzie indziej.

Przerwa w opisie młodości Merlina wybija się na tle ogromu materiału poświęconego jego późniejszemu życiu. Jako dorosły przybierał wiele (niekiedy sprzecznych ze sobą) postaci i opisywano go jako proroka, magika, Szaleńca z Lasu, chochlika, kapłana, mędrca i barda. Pojawia się we wczesnych mitach celtyckich: niektóre spośród nich są tak stare, że nie znano ich pochodzenia już wtedy, kiedy tysiąc lat temu spisywano wielki walijski epos Mabinogion. W Faerie Queene Spensera i Orlandzie szalonym Ariosta obecny jest czarodziej Merlin.

Doradza on młodemu królowi w Śmierci Artura Malory'ego, konstruuje Stonehenge w dwunastowiecznym wierszu Roberta de Borona Merlin, jest autorem wielu przepowiedni w Historia Regum Britanniae Geoffreya z Monmouth.

Tej fascynującej postaci poświęcili swój czas bliżsi naszej epoce pisarze tak różni jak Szekspir, Tennyson, Thomas Hardy, T. H. White, Mary Stewart, C. S. Lewis, Nikolai Tolstoy i John Steinbeck oraz inni w wielu różnych krajach. Jednakże, z wyjątkiem Mary Stewart, nie zajmowali się oni młodością Merlina.

I tak młodość Merlina pozostaje tajemnicą. Możemy się tylko domyślać, jak wyglądały jego pierwsze zmagania, lęki i aspiracje. Ale jakie były jego najskrytsze marzenia?

Jego pasje? W jaki sposób odkrył swoje niezwykle talenty? Jak radził sobie z tragedią i stratą?

W jaki sposób poznał, i być może zaakceptował, swoją mroczną stronę? W jakich okolicznościach pierwszy raz zetknął się z duchowymi dziełami druidów, jak również starożytnych Greków? Jak poradził sobie z własną żądzą władzy i przerażeniem na widok konsekwencji jej nadużywania? Podsumowując, w jaki sposób stał się czarodziejem i mentorem króla Artura, postacią, którą nadal sławimy?

Na takie pytania nie znajdziemy odpowiedzi w kanonie opowieści o Merlinie. W

przypisywanych mu słowach również trudno doszukiwać się jakichkolwiek informacji.

Można nawet odnieść wrażenie, że czarodziej unika tematu swojej przeszłości. Czytelnik klasycznych historii bez trudu wyobrazi sobie Merlina jako starca siedzącego obok chłopca Artura, kiedy snuje opowieści o „nieznanych latach” swojej młodości. Jednak można tylko się domyślać, czy odnosi się on do krótkotrwałości życia, czy raczej do zaginionego rozdziału własnej przeszłości.

Ja natomiast uważam, że na czas tych nieznanych lat Merlin zniknął nie tylko ze świata historii i pieśni. Wydaje mi się, że on po prostu zniknął ze znanego nam świata.

Ta podzielona na kilka tomów opowieść ma więc wypełnić tę lukę. Historia zaczyna się w momencie, kiedy młody chłopiec, który nie zna swojego imienia i nie pamięta nic ze swojej przeszłości, zostaje wyrzucony przez fale na wybrzeże Walii. Kończy się, kiedy ten sam chłopiec,

zyskawszy wiele i równie wiele straciwszy, jest gotów zająć kluczową pozycję w arturiańskim micie.

W tym czasie wydarzyło się bardzo dużo. Chłopiec odkrywa dar jasnowidzenia, za który przyjdzie mu słono zapłacić. Zaczyna rozmawiać ze zwierzętami, drzewami i rzekami.

Odnajduje prawdziwe Stonehenge, znacznie starsze niż kamienny krąg, który, jak przypisuje mu tradycja, postawił na równinie Salisbury. Najpierw jednak musi poznać znaczenie druidzkiej nazwy Stonehenge: Taniec Olbrzymów. Bada swoją pierwszą kryształową jaskinię.

Odbywa podróż na zaginioną wyspę Fincayra (której nazwa po gaelicku brzmi Fianchuive), znaną w celtyckich mitach jako wyspa pod falami, pomost między Ziemią ludzi a Zaświatem duchów. Spotyka postaci, których imiona przewijają się w mitach, w tym wielkiego Dagdę, złego Rhię Gawra, nieszczęsną Elen, tajemniczą Domnu, mądrego Cairprégo i tak ważną Rhię. Na jego drodze stają również inne, mniej znane postaci, jak Shim, Stangmar, T'eilean i Garlatha oraz Wielka Eluza. Dowiaduje się, że aby naprawdę widzieć, nie wystarczą oczy; że prawdziwa mądrość łączy cechy nierzadko wykluczające się, jak wiarę i zwątpienie, kobiecość i męskość, światło i mrok; że prawdziwa miłość zawiera w sobie radość i smutek. I co najważniejsze, zyskuje imię Merlin.

Czuję się zobowiązany podziękować: Currie, mojej żonie i najlepszej przyjaciółce, za to, iż tak skutecznie strzegła mojego spokoju; naszym nieokielznanym dzieciom: Denali, Brooksowi, Benowi, Rossowi i Larkinowi, za ich niewyczerpane poczucie humoru i zachwyt światem; Patricii Lee Gauch za niezłomną wiarę w moc historii; Victorii Acord i Patricii Wanece za nieocenioną pomoc; Cynthii Kreuz-Uhr za wycucie splecionej natury mitów; wszystkim tym, którzy dodawali mi otuchy podczas tej wędrówki, zwłaszcza Madeleine L'Engle, Dorothy Markinko i M. Jerry'emu Weissowi; wszystkim bardom i poetom, i pisarzom, i badaczom, którzy przez tyle lat zajmowali się historią Merlina; i oczywiście samemu enigmatycznemu czarodziejowi.

Zapraszam was zatem w podróż, podczas której Merlin zdradzi historię swoich nieznanych lat. Na tej wyprawie wy jesteście świadkami, ja skrybą, a sam Merlin będzie naszym przewodnikiem. Bądźmy jednak czujni, gdyż czarodziej, jak wiadomo, może mieć dla nas jakąś niespodziankę.

T.A. B.

Tyś, który ręki przyłożył,

Wiatr, wodę, las i łąd stworzył,

Życz dobrze tym, co historii

Słuchać będą skłonni,

I opiszę nasamprzód

Merlina narozdwin cud

I też jego mądrości,

I inne zaszłości,

Co się w Anglii stały.

Fragment ballady z XIII w.

O Arturze i o Merlinie

# PROLOG

Kiedy zamykam oczy i oddycham w rytm wzburzonego morza, nadal pamiętam ten odległy dzień. Surowy, zimny i bez życia. Było w nim tak mało nadziei jak powietrza w moich płucach.

Od tamtego dnia widziałem wiele innych, więcej, niż mam siłę zliczyć. Jednak tamten dzień lśni tak jaskrawo jak sam Galator, tak jaskrawo jak dzień, w którym odnalazłem swoje imię, albo dzień, kiedy pierwszy raz kołysałem dziecię o imieniu Artur. Być może pamiętam ten dzień tak dobrze, gdyż ból, niby blizna na mojej duszy, nie chce zniknąć. A może dlatego, że wyznaczył on zarówno początek, jak i koniec: początek moich nieznanych lat.

Mroczna fala uniosła się na wzburzonym morzu, a z niej wynurzyła się dłoń. Kiedy fala się spiętrzyła, sięgając równie szarego jak ona nieba, dłoń podążyła za nią. Bransoleta z piany zakręciła się wokół nadgarstka, podczas gdy palce rozpaczliwie szukały czegoś, czego nie mogły znaleźć. Była to dłoń kogoś małego. Była to dłoń człowieka słabego, zbyt słabego, żeby mógł kontynuować walkę.

Była to dłoń chłopca.

Wznosząca się fala z sykiem przechylała się miarowo w stronę brzegu. Na chwilę zawisała między oceanem a lądem, między złowieszczym Atlantykiem a groźnym skalistym wybrzeżem Walii, wówczas zwanym Gwynedd. Potem syk przeszedł w ogłuszający ryk i fala spadła, wyrzucając bezwładne ciało chłopca na czarne skały.

Jego głowa uderzyła o kamień tak gwałtownie, że z pewnością roztrzaskałaby się, gdyby nie gruba warstwa włosów. Chłopiec leżał bez ruchu, a fale targały mu loki, czarne pod plamami krwi.

Na widok nieruchomej sylwetki wybiedzona mewa zbliżyła się w podskokach, żeby się przyjrzeć. Pochyliła dziób w stronę twarzy chłopca, bo chciała odciągnąć mu z ucha witkę krasnorostów. Ptak szarpał i wiercił się, skrzecząc ze złości.

W końcu roślina się odczepiła. Mewa zeskoczyła triumfalnie na jedną z nagich rąk chłopca. Pod resztkami brązowej tuniki wydawał się mały nawet jak na siedmiolatka. Jednak coś w jego twarzy - być może kształt brwi albo zmarszczki wokół oczu - sugerowało znacznie starszy wiek.

Wtedy chłopiec zakasłał, zwymiotował wodę i odkaslnął raz jeszcze. Mewa zaskrzeczała, upuściła witkę wodorostów i odfrunęła na kamienny występ.

Chłopiec przez chwilę się nie ruszał. Najpierw poczuł posmak piasku, szlamu i wymiocin, a po chwili pulsujący w głowie ból i wbijające mu się w ramiona skały. Potem przyszła kolejna fala kaszlu i znów wypluł porcję morskiej wody. Wziął niepewny, przerywany oddech. Następnie drugi i trzeci. Wątła dłoń powoli zacisnęła się w pięść.

Fale przyplływały i cofały się, przyplływały i cofały się. Przez jakiś czas płomyk życia tlił się w chłopcu, niebezpiecznie blisko skraju ciemności. Oprócz pulsującego bólu miał w umyśle dziwną pustkę. Jakby utracił kawałek siebie. Albo jakby wyrosła swoista ściana odcinająca go od części jego osobowości, zostawiając tylko przejmujący lęk.

Oddech się wyrównał, pięść rozluźniła. Chłopiec wciągnął powietrze, jakby miał

znów odkasznąć, jednak tylko znieruchomiał.

Mewa ostrożnie zaczęła się zbliżać.

Wtedy po ciele chłopca zaczęła się rozchodzić wątła strużka energii nieznanego pochodzenia. Jakaś jego część nie była jeszcze gotowa na śmierć. Znowu się poruszył, wziął

kolejny oddech.

Mewa zamarła.

Chłopiec otworzył oczy. Dygocząc z zimna, przeturlał się na bok. Chciał wypluć szorstki piasek z ust, ale zebrało mu się na mdłości od cierpkiego posmaku wodorostów i słonej wody.

Z wysiłkiem uniósł rękę i wytarł sobie usta strzępami tuniki. Potem się skrzywił, bo poczuł z tyłu głowy świeży guz. Oparł się łokciem o skałę i odepchnął od niej, usiłując się podnieść.

Siedział tak, wsłuchany w szum spienionego morza. Oprócz niestrudzonego pulsowania fal i pulsowania w jego głowie wydawało mu się, że usłyszał coś jeszcze - może głos? Głos z innego czasu, z innego miejsca, choć nie mógł sobie przypomnieć skąd.

Uświadomił sobie nagle, że nic nie pamięta. Nie pamięta, skąd przybył. Nie pamięta matki ani ojca. Nie pamięta swojego imienia. Własnego imienia. Za nic nie mógł sobie go przypomnieć. Nie pamięta własnego imienia.

- Kim jestem?

Sploszona jego okrzykiem mewa zaskrzeczała i poderwała się do lotu.

Na widok swojego odbicia w wodzie chłopiec znieruchomiał, żeby się przyjrzeć.

Spoglądała na niego dziwna, nieznaną mu twarz. Jego oczy, podobnie jak włosy, były czarne niczym węgiel, usiane złotymi plamkami. Uszy, prawie trójkątne i ze spiczastymi końcówkami, wydawały się nienaturalnie duże na tle reszty twarzy. Czoło było wysokie, ale nos - wąski i delikatny - był właściwie jak dziób. Ogólnie rzecz biorąc, jego twarz jakby do niego nie pasowała.

Zebrał siły i podniósł się na nogi. Kręciło mu się w głowie, więc przytrzymał się szczytu skały, żeby poczekać, aż zawroty przejdą.

Błądził wzrokiem po opustoszałej linii wybrzeża. Wszędzie widział porzrzucone skały, surową czarną barierę odpierającą morze. Tylko w jednym miejscu była w nich wyrwa, na którą skały godziły się niechętnie, wokół korzeni pradawnego dębu. Stare drzewo o łuszczącej się korze zносиło napór oceanu z podszytym wiekową historią stoicyzmem. W jego pniu była głęboka wyrwa wypalona wiele lat temu przez ogień. Wiek powygiął konary, skręcając niektóre w węzły. A mimo to dąb stał zaparty korzeniami, niewzruszony wobec burz i oceanu. Za dębem był ciemny zagajnik młodszych

drzew, a nad nimi górowały wysokie, jeszcze ciemniejsze klify.

Chłopiec rozpaczliwie omiatał wzrokiem okolice w poszukiwaniu czegoś, co mógłby rozpoznać, co przywróciłoby mu pamięć. Nie udało mu się skojarzyć niczego.

Na przekór szczypiącej słonej mgiełce odwrócił się ku otwartemu morzu. Jedna za drugą, fale unosiły się i spadały. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko bezkresne szare kłęby.

Ponownie zaczął nasłuchiwać tajemniczego głosu, ale doszedł go wyłącznie odległy zew przycupniętej na klifie trójpalczastej mewy.

Czyżby przybył stamtąd, zza morza?

Zaczął rozcierać sobie energicznie ramiona, żeby pozbyć się dreszczy. Podniósł ze skały garstkę wodorostów, na którą padło jego spojrzenie. Wiedział, że niegdyś, przed wyrwaniem i wyrzuceniem na ląd, ta bezkształtna zielona masa wiła się z gracją własnym rytmem. Teraz zwisała mu bezwładnie w dłoni. Zastanowił się, dlaczego i skąd go wyrwano.

Jego uszu dobiegło tubalne pojękiwanie. To znowu ten głos! Dochodził ze skał za starym dębem.

Rzucił się w stronę głosu. Pierwszy raz poczuł tępy ból w plecach. Wywnioskował, że musiały uderzyć o skały, podobnie jak tył głowy. Jednak źródło bólu było głębiej, jakby dawno temu wyrwano mu coś spomiędzy łopatek.

Po kilku chwiejnych krokach chłopiec dotarł do prastarego drzewa. Oparł się z walącym w piersi sercem o jego potężny pień. Znowu usłyszał tajemniczy jęk. Ruszył więc ponownie.

Bose stopy często ślizgały się na mokrych skałach i chłopiec tracił równowagę.

Kuśtykając naprzód z porwaną brązową tuniką trzepoczącą mu koło nóg, przypominał niezgrabnego wodnego ptaka brnącego ostrożnie wzdłuż brzegu. Jednak cały czas miał świadomość tego, kim jest: samotnym chłopcem, bez imienia i bez domu.

Wtedy ją ujrzał. Na skałach leżało zwinięte ciało kobiety; jej twarz spoczywała obok wgłębienia, w którym kotłowała się woda. Długie niezaplecione włosy barwy żółtego letniego księżyca rozchodziły się wokół jej głowy niczym promienie światła. Miała wyraziste policzki i cerę, która byłaby kremowa, gdyby nie siny odcień. Jej długa niebieska szata, gdzieniegdzie poszarpana, była poplamiona piaskiem i wodorostami. Jednak i jakoś wełny, i skórzany naszyjnik z klejnotem na szyi wskazywały na zamożność i szlachetne urodzenie kobiety.

Podbiegł. W kolejnym jęku kobiety pobrzmiwał niewysławialny ból. Chłopiec prawie czuł jej cierpienie, ale zarazem wzbierała w nim nadzieja. Czy ja ją znam? pomyślał, pochylając się nad jej skulonym ciałem. Potem gdzieś z głębi jego samotności wyłoniło się inne pytanie: Czy ona mnie zna?

Jednym palcem dotknął jej policzka zimnego jak morze. Patrzył, jak kobieta oddycha, płytko i z

wysiłkiem. Wsłuchał się w jej zbolące jęki. Po czym z westchnieniem musiał

przyznać, że nie ma pojęcia, kim ona jest.

Jednak kiedy się jej przyglądał, nie mógł pozbyć się nadziei, że przybyła na ten brzeg razem z nim. Jeżeli nie przyniosła jej tu ta sama fala, to może przynajmniej pochodzi z tego samego miejsca. Być może, gdyby przeżyła, uzupełniłaby pusty kielich jego pamięci. Może nawet zna jego imię! Albo imiona jego matki i ojca. A może... może to ona jest jego matką.

Lodowata fala obmyła mu nogi. Znowu przeszły go dreszcze, a nadzieja zaczęła opuszczać. Prawdopodobnie kobieta umrze, a nawet jeśli przeżyje, to pewnie nie będzie wiedziała, kim on jest. I z całą pewnością nie jest jego matką. Nie ma sensu robić sobie nadziei. Poza tym w ogóle nie była do niego podobna. Nawet kiedy tak cierpiała, wyglądała przepięknie jak anioł. A on widział swoje odbicie. Wiedział, że bardziej niż anioła przypominał przemoczonego, niewyrośniętego demona.

Za plecami usłyszał warknięcie.

Chłopiec obrócił się i poczuł ucisk w żołądku. W cieniu mrocznego zagajnika stał

gigantyczny dzik.

Powarkując gardłowo, zwierzę wyszło spomiędzy drzew. Całe jego ciało, z wyjątkiem oczu i szarej blizny wijącej się na przedniej lewej nodze, pokrywała najeżona brązowa szczecina. Jego fajki, ostre niczym sztylety, były szerniałe od krwi poprzedniej ofiary.

Jednak większe przerażenie budziły jego czerwone oczy, które połyskiwały jak rozżarzone węgle.

Pomimo masywnego cielska dzik poruszał się płynnie, prawie z lekkością. Chłopiec zrobił krok w tył. Bestia kilkukrotnie przewyższała go masą. Jedno kopnięcie wystarczyłoby, żeby go powalić. Jedno dźgnięcie kłem rozszarpałoby mu ciało. Nagle dzik zamarł i spał

umięśniony grzbiet, szykując się do ataku.

Zerkając przez ramię, chłopiec zobaczył tylko przyplływające fale oceanu. Tamtędy nie ucieknie. Dla obrony złapał wykrzywiony kawałek wyrzuconego na brzeg drewna, choć wiedział, że nie ma szans, by przebić nim skórę dzika. Zaparł się jednak stopami o śliskie skały, szykując się na atak.

Wtedy sobie przypomniał. Wydrążone wnętrze starego dębu! Choć drzewo stało w połowie drogi między nim a dzikiem, być może jemu pierwszemu uda się dotrzeć do niego.

Rzucił się pędem, po czym sobie przypomniał. Kobieta. Nie mógł jej tak po prostu zostawić. Jednak powodzenie jego ucieczki zależało od szybkiego działania. Skrzywił się, wyrzucił kawałek drewna i złapał kobietę za bezwładne ręce.

Wyteżając dygoczące nogi, starał się odciągnąć ją od skał. Czy od wody, której musiała się nałykać, czy od ciężaru nadciągającej śmierci, była ciężka niczym te skały. W

końcu, pod presją czujnego wzroku dzika, udało mu się ją ruszyć.

Chłopiec pociągnął kobietę w stronę drzewa. Ostre kamienie raniły mu stopy. Serce waliło mu w piersi, w głowie tętnił ból, a on ciągnął ze wszystkich sił.

Dzik ponownie warknął, co tym razem zabrzmiało jak charkotliwy śmiech. Całe ciało bestii naprężyło się, nozdrza rozwarły, a kły zaślśniły. Zwierzę rozpoczęło atak.

Choć chłopiec był tylko kilka metrów od drzewa, coś nie pozwalało mu uciec.

Podniósł z ziemi kwadratowy kamień i rzucił nim w głowę dzika, który już był blisko, ale nagle skręcił w bok. Kamień przeleciał obok zwierzęcia i potoczył się dalej.

Zaskoczony, że udało mu się odstraszyć napastnika, chłopiec szybko schylił się po kolejny kamień. Wyczuł za sobą jakiś ruch i gwałtownie się obrócił.

Z krzaków za prastarym drzewem wyskoczył olbrzymi jelen - brązowy, pomijając białe nogi, które świeciły niczym najczystszy kwarc - i opuścił wielkie poroże. Z siedmioma grotami wieńca wycelowanymi niczym siedem włóczni skoczył na dzika. Jednak tamten w samą porę uskoczył i uniknął ciosu.

Dzik zataczał się i warczał wściekle, a jelen ponowił atak. Korzystając z zamieszania, chłopiec wciągnął bezwładną kobietę do wydrążonego drzewa. Zgiął jej nogi i przycisnął je mocno do jej piersi, dzięki czemu udało mu się wepchnąć ją do środka. Drewno, ciągle zwęglone od pradawnego ognia, otuliło kobietę niczym wielka czarna muszla. Chłopiec wcisnął się w szczelinę obok niej, podczas gdy dzik i jelen okrążali się nawzajem, rozgrzebując kopytami ziemię i parszając gniewnie.

Z ogniem w oczach dzik zamarkował atak na jelenia, po czym popędził prosto na drzewo. Skulony w dziupli chłopiec wcisnął się tak głęboko, jak mógł. Jednak jego twarz była na tyle blisko sękatej kory wokół otworu, że czuł gorący oddech dzika, kiedy ten kłami ciął

szaleńczo pień. Jedna z fajek skaleczyła chłopcu twarz, przecinając mu skórę tuż pod okiem.

Wtedy jelen wbił się w bok dzika. Zwaliste zwierzę poleciało w powietrze i wylądowało nieopodal krzaków. Krew sączyła się z przebitego uda dzika, kiedy ten z trudem się podnosił.

Jelen opuścił głowę, szykując się do kolejnego skoku. Po chwili wahania dzik warknął

ostatni raz i wycofał się między drzewa.

Jelen zaś odwrócił się do chłopca z majestatycznym spokojem. Przez chwilę ich oczy się spotkały. Chłopiec przeczuwał, że z tego dnia najbardziej utkwia mu w pamięci brązowe, bezdenne jak studnie, niewzruszone oczy jelenia, głębokie i tajemnicze jak ocean.

Potem, tak samo szybko jak się pojawił, jelen przeskoczył powyginane korzenie i zniknął.

CZEŚĆ PIERWSZA



# ŻYWE OKO

Jestem sam, nade miną gwiazdy.

Całe niebo ogarniają płomienie, jakby rodziło się nowe słońce. Ludzie krzyczą i uciekają. Jednak ja stoję, nie mogę się ruszyć, nie mogę oddychać. Wtedy widzę drzewo, ciemniejsze od cienia na tle ognistego nieba. Płonące gałęzie wiją się jak zabójcze węże.

Sięgają ku mnie. Ogniste konary się zbliżają. Próbuję uciec, ale moje nogi są jak z kamienia.

Moja twarz płonie! Zamykam oczy. Krzyczę.

Moja twarz! Płonie!

Obudziłem się. Pot szczypał mnie w oczy. Słoma z siennika drapała mnie po twarzy.

Mrugając powiekami, wziąłem głęboki wdech. Kiedy przecierałem twarz dłońmi, poczułem ich chłód na policzkach.

Przeciągając się, znów poczułem ból między łopatkami. Ciągle mnie męczył! Tak bardzo chciałem, żeby przeszedł. Dlaczego nadal mnie nęka, już ponad pięć lat od dnia, kiedy morze wyrzuciło mnie na brzeg? Dlaczego ta rana ciągle mi dokucza?

Wzruszyłem ramionami. Nigdy się tego nie dowiem, podobnie jak wielu innych rzeczy.

Zacząłem upychać słomę do siennika, kiedy moje palce natrafiły na mrówkę, która wlokła kilka razy od niej większe ciało robaka. Przyglądałem się, prawie ze śmiechem, jak mrówka usiłowała się wdrapać na miniaturową górę ze słomy. Mogła równie dobrze ją obejść. Jednak nie. Jakiś tajemniczy powód sprawił, że chciała się zмагаć, przewracała się, podnosiła i próbowała kolejny raz. Patrzyłem na ten powtarzający się spektakl przez kilka minut.

W końcu zlitowałem się nad stworzeniem. Kiedy sięgałem ku jednemu z odnóży, uświadomiłem sobie, że mógłbym je niechcący oderwać, zwłaszcza gdyby mrówka się szarpała. Podniosłem więc robaka. Tak jak przypuszczałem, mrówka się go uchwyciła i machała rozpaczliwie odnóżami.

Przeniosłem mrówkę i jej zdobycz nad słomą i postawiłem je łagodnie po drugiej stronie. Ku mojemu zdziwieniu, kiedy wypuszczałem robaka, mrówka również go puściła.

Odwróciła się do mnie, wymachując szaleńczo maleńkimi czułkami. Odniosłem wrażenie, że ma do mnie pretensje.

- Przepraszam - wyszeptałem z uśmiechem.

Mrówka jeszcze kilka sekund czyniła mi wyrzuty. Potem wgryzła się w robaka i zaczęła odciągać ciężki ładunek. Do swojego domu.

Mój uśmiech zbladł. Gdzie ja mogłem znaleźć swój dom? Byłem gotów powlec za sobą całe

posłanie, całą chatę, jeśli byłoby trzeba, gdybym tylko wiedział dokąd.

W otwartym oknie nad moją głową zobaczyłem księżyc w pełni świecący jasno jak kocioł stopionego srebra. Jego blask malował wewnątrz chaty swoim lśniąącym pędzlem. Prawie udało mu się na chwilę zamaskować ubóstwo pomieszczenia, pokryć klepisko patyną srebra, posypać szorstką glinę ścian iskierkami światła, przystroić śpiącą jeszcze w kącie postać anielskim blaskiem.

Wiedziałem jednak, że wszystko to jest tylko złudzeniem nie prawdziwszym od mojego snu. Podłoga była z ubitej ziemi, posłanie ze słomy, a ściany domu ze spojonych gliną gałęzi. Sąsiadującą zadaszoną zagrodę dla gęsi zbudowano z większą dbałością. Wiedziałem to, gdyż niekiedy zdarzało mi się tam ukrywać, kiedy gęganie i syk gęsi mniej mi przeszkadzały niż ujadanie i jazgotanie ludzi. W lutym w zagrodzie było też cieplej niż w tej chacie, a w maju suszej. Nawet jeżeli ja nie zasługiwałem na los lepszy od gęsiego, to Branwen z całą pewnością tak.

Przyglądałem się jej śpiącej postaci. Jej oddech, tak subtelny, że prawie nie było widać ruchu wełnianego koca, zdawał się spokojny i miarowy. Niestety wiedziałem, że tak nie jest. Choć we śnie mogła zaznać spokoju, bo nie był jej dany na jawie.

Poruszyła się we śnie, obróciła twarz w moją stronę. W księżycowym świetle wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj, jej kremowe policzki i czoło były rozluźnione jak zawsze podczas tych nocy, kiedy spała twardo. Albo kiedy modliła się po cichu, co zdarzało się coraz częściej.

Zmarszczyłem brwi. Gdyby tylko zechciała mówić. Zdradzić mi, co wie. Niestety nawet jeżeli znała naszą przeszłość, to nie chciała na ten temat rozmawiać. Nie potrafiłem stwierdzić, czy dlatego, że naprawdę nic nie wiedziała, czy dlatego, że nie chciała, żebym dowiedział się prawdy.

W ciągu pięciu lat, odkąd mieszkamy razem w tej chacie, powiedziała mi o sobie niewiele. Najlepiej poznałem tylko łagodny dotyk jej dłoni i nieopuszczający jej oczu smutek.

Wiedziałem tylko, że wbrew temu, co twierdziła, nie jest moją matką.

Skąd mogłem mieć pewność, że nie jest moją matką? Po prostu, w głębi serca, nie miałem wątpliwości. Była zbyt odległa, zbyt enigmatyczna. Matka, prawdziwa matka, nie miałaby przed swoim synem tylu tajemnic. A jeżeli chciałem się upewnić, wystarczyło, żebym przyjrzał się jej twarzy. Tak pięknej - i tak różnej od mojej. W jej oczach nie było śladu czerni, na jej uszach nie dało się zauważyć spiczastych końcówek. Nie, nie byłem jej synem, tak jak te gęsi nie były moim rodzeństwem.

Z trudem przychodziło mi też uwierzyć, że naprawdę miała na imię Branwen, a ja nazywałem się Emrys, jak usiłowała mnie przekonać. Jakiegokolwiek imiona mogliśmy mieć, zanim morze wyrzuciło nas na skały, miałem pewność, że były inne. Za każdym razem, kiedy nazywała mnie Emrys, nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że moje prawdziwe imię brzmiało... inaczej. Mimo to nie miałem pojęcia, gdzie, poza migotliwym mrokiem swoich snów, szukać prawdy.

Branwen, jeżeli to naprawdę było jej imię, odsłaniała nieznacznie swoje ja tylko wtedy, kiedy opowiadała mi historie. Zwłaszcza o starożytnych Grekach. Należały do jej ulubionych. Moich też.

Choć nie zdawała sobie z tego sprawy, ożywiała się, snując opowieści o olbrzymach i bogach, potworach i wyprawach w greckich mitach.

Co prawda lubiła też przekazy o druidzkich znachorach czy o cudotwórcy z Galilei.

Ale kiedy mówiła o greckich bogach i boginiach, w jej szafirowych oczach pojawiał się niezwykle blask. Czasami wydawało mi się, że opowiada o tym miejscu, w którym żyły dziwne stworzenia, a wielkie duchy istniały obok ludzi, jakby jej zdaniem istniało naprawdę.

Dla mnie ta idea była absurdalna, dla niej najwyraźniej nie.

Myśli przerwał mi błysk na jej szyi. Wiedziałem, że to księżyc odbijał się w naszyjniku z klejnotem, który wisiał na jej szyi na skórzanym pasku, choć zieleń zdawała się tej nocy intensywniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Uświadomiłem sobie, że nigdy nie widziałem, by go zdjęła choćby na chwilę.

Coś uderzyło w ziemię za mną. Odwróciłem się i zobaczyłem stertę suchych liści, kruchych i srebrzystych w świetle księżyca, związanych pętlą z trawy. Zawiniątko musiało spaść z belki kalenicowej, która podtrzymywała nie tylko strzechę, ale kępkę ziół, liści, kwiatów, korzeni, orzechów, kawałków kory i nasion. Stanowiły one tylko część kolekcji Branwen, wiele innych zawiniątek wisiało na oknie, na wewnętrznej stronie drzwi i na stoliku z regulowanym blatem obok jej posłania.

Od tych zawiniątek cała chata pachniała tymiankiem, korzeniem buka, ziarnami gorzycy i nie tylko. Uwielbiałem te aromaty. Oprócz kopru, od którego kichałem. Woń kory cedru, moja ulubiona, sprawiała, że czułem się wielki jak olbrzym, od płatków lawendy miałem dreszcze w stopach, a krasnorosty przypominały mi coś, czego nie potrafiłem sprecyzować.

Z tych składników Branwen wytwarzała proszki lecznicze, maści i okłady. Na swoim stole porozkładała miseczki, noże, moździerz, tłuczki, sitka i tym podobne utensylia. Często patrzyłem, jak rozciera liście, miesza proszki, odcedza rośliny czy nakłada mieszankę leczniczą na czyjąś ranę bądź brodawkę. Jednak o jej praktykach leczniczych wiedziałem równie niewiele, co o niej samej. Choć pozwalała mi się przyglądać, nie opowiadała wtedy żadnych historii ani nie podejmowała rozmowy. Była pochłonięta pracą, zazwyczaj coś podśpiewując.

Gdzie nauczyła się tyle o leczeniu? Gdzie usłyszała opowieści o tylu odległych krainach i epokach? Gdzie pierwszy raz spotkała się z naukami tego człowieka z Galilei, które coraz bardziej zaprzętały jej myśli? Nie chciała zdradzić.

Nie tylko ja byłem skonfundowany jej milczeniem. Nierzadko wieśniacy obmawiali ją za plecami, snując przypuszczenia na temat jej zdolności leczniczych, nienaturalnego piękna i dziwnych inkantacji. Kilka razy słyszałem słowa „czarnoksięstwo” i „czarna magia”, choć nie powstrzymywało to ludzi przed przychodzeniem do niej, kiedy trzeba było wyleczyć czyrak, pozbyć się kaszlu albo uwolnić od koszmaru.

Sama Branwen raczej nie przejmowała się plotkami. Dopóki ludzie płacili jej za pomoc, dzięki

czemu jakoś dawaliśmy sobie radę, nie interesowało jej, co mówią czy myślą.

Ostatnio opatrywała mnicha w podeszłym wieku, który poślizgnął się na mokrych kamieniach przejścia przy młynie i rozciął sobie rękę. Obwiązując mu ranę, Branwen wypowiedziała chrześcijańskie błogosławieństwo, co mu się spodobało. Jednak kiedy zaczęła nucić druidzką inkantację, mnich ją zrugął i ostrzegł przed bluźnierstwem. Branwen odpowiedziała spokojnie, że sam Jezus tak bardzo się poświęcał, aby leczyć innych, że być może sięgał po mądrość druidów, nazywaną obecnie, podobnie jak inne rodzaje wiedzy, pogaństwem. Wtedy zezłoszczony mnich zerwał z siebie bandażę i wyszedł, przy czym zdążył jeszcze poinformować połowę wioski, że Branwen jest na usługach demonów.

Spojrzałem na naszyjnik. Wyglądał, jakby nie tylko odbijał blask księżyca, ale świecił

własnym światłem. Pierwszy raz zauważyłem, że znajdujący się na środku kryształ nie był

jednolicie zielony, jak wydawało mi się, kiedy patrzyłem z oddali. Kiedy się nachyliłem, zauważyłem pod powierzchnią nitki fioletu i błękitu płynące niczym strumyki, podczas gdy iskry czerwieni rozbłyskały niby tysiąc maleńkich serc. Klejnot wyglądał jak żywe oko.

Galator. To słowo nagle pojawiło się w moim umyśle. Nazywa się Galator.

Pokręciłem zdziwiony głową. Skąd się wziął ten wyraz? Nie przypominałem sobie, żebym go kiedykolwiek usłyszał. Musiał wpaść mi w ucho na wiejskim rynku, gdzie najróżniejsze dialekty - celtycki, saksoński, rzymski, gaelicki i inne, jeszcze dziwniejsze - co dzień się ze sobą mieszały. A może pochodził z którejś opowieści Branwen usianej słowami Greków, Żydów i druidów, a niekiedy i mającymi jeszcze starszy rodowód.

- Emrys!

Aż podskoczyłem, tak mnie przestraszył jej przenikliwy szept. Popatrzyły na mnie niewiarygodnie niebieskie oczy kobiety, z którą łączył mnie wspólny wikt i opierunek, nic więcej.

- Obudziłaś się.

- Tak. A ty dziwnie mi się przyglądałeś.

- Nie tobie - odparłem. - Twojemu naszyjnikowi. - Wiedziony impulsem, dodałem: -

Twojemu Galatorowi.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Zamaszystym ruchem dłoni schowała naszyjnik pod szatą. Potem, starając się zapanować nad głosem, odrzekła:

- Nie przypominam sobie, bym używała przy tobie tego słowa.

Zrobiłem wielkie oczy.

- Czyli ono naprawdę istnieje? Właśnie w tej postaci?

Przyglądała mi się uważnie, zbierając się, żeby coś powiedzieć, po czym się zreflektowała.

- Powinieneś spać, mój synu.

Jak zawsze zirytowało mnie, kiedy mnie tak nazywała.

- Nie mogę spać.

- Czy opowieść pomogłaby ci zasnąć? Mogłabym dokończyć tę o Apollu?

- Nie. Nie teraz.

- W takim razie mogłabym przygotować dla ciebie eliksir.

- Nie, dziękuję - pokręciłem głową. - Kiedy zrobiłaś go dla syna rzemieślnika kładącego strzechę, spał przez trzy i pół dnia.

Na jej wargach pojawił się uśmiech.

- Wypił naraz tygodniową porcję, biedaczysko.

- Zresztą już prawie świta.

Poprawiła szorstki wełniany koc.

- Cóż, ty może nie chcesz spać, ale ja tak.

- Zanim ułożysz się do snu, mogłabyś powiedzieć mi coś więcej o tym słowie? Gal...

Jak ono brzmiało?

Udała, że mnie nie słyszy, otuliła się typowym dla siebie płaszczem milczenia jak wełnianym kocem i ponownie zamknęła oczy. Chwilę później wyglądało na to, że już śpi.

Jednak spokój, który ujrzałem wcześniej na jej twarzy, ulotnił się.

- Nie możesz mi powiedzieć?

Nawet nie drgnęła.

- Dlaczego nigdy mi nie pomagasz? - jęknąłem. - Potrzebuję pomocy!

Nadal się nie ruszała.

Przyglądałem się jej przez chwilę rozzalony. Potem zsunąłem się z posłania, wstałem i przemyłem twarz wodą ze stojącej przy drzwiach dużej drewnianej miski. Zerkając ponownie na Branwen,

poczułem kolejną falę złości. Dlaczego nie chciała mi odpowiedzieć? Dlaczego nie chciała mi pomóc? Jednak nawet kiedy na nią patrzyłem, czułem, że gryzie mnie sumienie, gdyż nigdy nie potrafiłem nazwać jej matką, choć wiedziałem, ile sprawiłoby to jej radości. Lecz która matka nie chciałaby pomóc swojemu synowi?

Pociągnąłem za linę przy drzwiach, które otworzyły się, szurając po ziemi, po czym wyszedłem z chaty.

# II

## ZBLIŻA SIĘ SOWA

Niebo na zachodzie pociemniało i prawie zaszedł księżyc. Srebrne smugi przechodzące w szarość otaczały grube chmury nad wioską Caer Vedwyd. W słabym świetle strzechy przygarbionych dachów przywodziły na myśl zbiorowisko ocienionych głązów.

Gdzieś nieopodal usłyszałem beczenie owiec. Również moje przyjaciółki gęsi zaczynały się budzić. Kukułka na paproci dwa razy dała głos. Pod mokrym dębem i jesionami świeża woń endymionów mieszała się z zapachem wilgotnej strzechy.

Był maj, a w maju nawet ponura wioska tuż przed świtem nabiera uroku.

Wyciągnąłem z rękawa tuniki rzep i nasłuchiwałem cichych odgłosów przyrody. Żaden miesiąc nie wzbudzał we mnie równie silnych emocji jak ten. Kwiaty otwierały swoje płatki do słońca, owce rodziły młode, na krzewach i drzewach wyrastały nowe liście. A wraz z kwiatami rozkwitały moje marzenia. Niekiedy w maju otrząsałem się ze zwątpienia i wierzyłem, że pewnego dnia poznam prawdę. Dowiem się, kim naprawdę jestem, skąd pochodzę. Jeżeli nie od Branwen, to od kogoś innego.

W maju wszystko wydawało się możliwe. Gdybym tylko umiał zapanować nad czasem. Móc sprawić, żeby każdy miesiąc był taki jak maj! Albo żyć wstecz, tak żeby na koniec miesiąca odwrócić czas i przeżyć maj jeszcze raz.

Zagryzłem wargę. Niezależnie od miesiąca, ta wioska nigdy nie będzie moim ulubionym miejscem. Nigdy nie uznaję jej też za swój dom. Wiedziałem, że wczesna pora to najlepsza część dnia, bo potem promienie słońca odślonią rozsypujące się chaty i przestraszone twarze. Jak większość wiosek na tym górzystym, gęsto zalesionym terenie Caer Vedwyd istniała tylko dzięki starej rzymskiej drodze. Biegła ona wzdłuż północnego brzegu rzeki Tywy, która płynęła na południe aż do samego morza. Choć niegdyś po tej drodze maszerowały kolumny rzymskich żołnierzy, teraz można było na niej spotkać głównie włóczęgów i wędrownych handlarzy. Była ścieżką flisacką dla koni ciągnących w dół rzeki barki ze zbożem, trasą poszukiwaczy kościoła Świętego Piotra w mieście Caer Myrddin na południu, jak również, o ile dobrze pamiętałem, drogą wiodącą do morza.

Z kuźni pod wielkim dębem dobiegł szczeł metalowego narzędzia. Słyszałem stąpającego po ścieżce flisackiej konia i pobrękiwanie jego uzdy. Za godzinę ludzie zaczną się zbierać na placu pod drzewem, gdzie schodziły się trzy główne drogi. Niedługo powietrze wypełnią odgłosy targowania się, pogawędek, negocjacji i oczywiście pokrzykiwania na złodziei.

Po pięciu latach nadal nie umiałem się tu zadomowić. Dlaczego? Może dlatego, że wszystko, od imion bożków po miejscowe nazwy, się zmieniało. I to szybko. Nowo przybyli Sasi już zaczęli nazywać Y Wyddfa, którego lodowate krawędzie górowały nad wszystkim, Śnieżnym Wzgórzem lub Śnieżonem. Tak samo ludzie zwali teraz ten region, znany od dawna jako Gwynedd, krainą Walii. Jednak samo nazwanie go krainą sugerowało spójność, której w istocie nie było. Biorąc pod uwagę liczbę podróżników i dialektów goszczących co dzień w naszej wiosce, Walia zdawała mi się

bardziej przystankiem niż krainą.

Podążając ścieżką do młyna, zobaczyłem ostatnie promienie księżyca na stokach Y

Wyddfa. Odgłosy budzącej się do życia wioski zlały się z szumem płynącej pod kamiennym mostem przy młynie rzeki. Żaba zaskrzeczała gdzieś nieopodal młyna, jedynego budynku w wiosce zbudowanego z prawdziwej cegły.

Znienacka usłyszałem w głowie szept: Zbliża się sowa.

Obróciłem się w samą porę, żeby ujrzeć kwadratową głowę i wielkie brązowe skrzydła, które minęły mnie szybko niczym wiatr i bezgłośnie niczym śmierć. Dwie sekundy później stworzenie wleciało w trawę za młynem, a jego szpony zdusiły życie ofiary.

Gronostaj na kolację. Uśmiechnąłem się w duchu, zadowolony, że udało mi się przewidzieć i przyłot sowy, i to, że jej niewidoczną zdobyczą będzie gronostaj. Skąd to wiedziałem? Nie miałem pojęcia. Po prostu wiedziałem, to wszystko. I myślałem, że wiedziałby to każdy w miarę spostrzegawczy człowiek.

Jednak coraz częściej zdarzało mi się to kwestionować. Niekiedy naprawdę szybciej niż inni orientowałem się, co się stanie. Ten dar, jeżeli można to tak nazwać, odkryłem dopiero przed kilkoma tygodniami, więc jeszcze go nie rozumiałem. I nie opowiedziałem o nim Branwen ani nikomu innemu. To mogła być seria zbiegów okoliczności. Ale jeżeli kryło się za tym coś więcej, to przynajmniej mogło być zabawne. Mogło się też przydać w tarapatach.

Zaledwie wczoraj widziałem kilku chłopców z wioski, którzy ganiali się z wymagowanymi mieczami. Przez chwilę zapragnąłem być jednym z nich. Wtedy przywódca grupy, Dinatius, zauważył mnie i rzucił się na mnie, zanim zdążyłem uciec. Nigdy nie lubiłem Dinatiusa, który od śmierci matki terminował u kowala. Miałem go za podłego, głupiego i porywczego łobuza. Ale nigdy go nie obraziłem, nie tylko dlatego, że nie pozwalało mi na to dobre wychowanie, ale dlatego, że był dużo starszy i większy ode mnie i wszystkich innych chłopców z wioski. Nieraz widziałem, jak trafiał go cios ciężkiej ręki kowala za uchylanie się od obowiązków, i równie często byłem świadkiem, jak Dinatius w ten sam sposób traktował jakieś mniejsze dziecko. Kiedyś okropnie oparzył rękę chłopca, który ośmielił się zakwestionować jego rzymskie pochodzenie.

Wszystko to stanęło mi przed oczami tamtego dnia, kiedy chciałem przed nim uciec.

Wtedy zauważyłem przelatującą nisko mewę. Pokazałem na ptaka i zawołałem: „Patrz!

Skarby z nieba!”. Dinatius spojrział do góry w tej samej chwili, kiedy ptak wydalil szczególnie odrażający rodzaj skarbu, który trafił go prosto w oko. Kiedy Dinatius kłął i przecierał twarz, reszta jego kompanów związała się ze śmiechu, a ja uciekłem.

Pomyślałem z uśmiechem o wczorajszej szczęśliwej ucieczce. Pierwszy raz zacząłem się zastanawiać, czy mam talent - dar - może nawet cenniejszy niż zdolność przewidywania przyszłości. Załóżmy, że potrafiłem kontrolować wydarzenia. Sprawić, żeby coś się stało. Nie za sprawą dłoni,



stóp czy głosu. Wyłącznie za sprawą myśli.

Jakaż to ekscytująca wizja! Prawdopodobnie to tylko kolejne majowe marzenie. Ale jeżeli to coś więcej? Postanowiłem spróbować.

Kiedy zbliżałem się do kamiennego mostu nad rzeką, przykucnąłem przy niskim kwiecie o szczelnie zamkniętych płatkach. Skoncentrowałem się na roślinie do tego stopnia, że zapomniałem o całym świecie. Rześkie powietrze, beczenie owiec, hałasy z kuźni, wszystko zeszło na dalszy plan.

Przyglądałem się lawendowemu odcieniowi kwiatu, od wschodu ozłoczonego promieniami wschodzącego słońca. Krawędzie każdego płatka były zdobione miniaturowymi włoskami, na których końcach wisiały krople rosy, a mała brązowa mszyca mknęła po kołnierzu okalającym szczyt łodygi. Woń była świeża, ale nie słodka. Wiedziałem, że ukryty środek musi być barwy dojrzałego sera żółtego.

W końcu gotów, zacząłem namawiać kwiat, aby się otworzył. Pokaż się, rozkazałem.

Rozchyl płatki.

Czekałem chwilę. Nic się nie stało.

Ponownie skoncentrowałem się na kwiatku. Otwórz się. Rozchyl płatki.

Nadal nic się nie działo.

Zacząłem się podnosić. Wtedy bardzo powoli kołnierz listków zaczął trzepotać jakby tknięty najłżejszym powiewem. Chwilę później jeden z lawendowych płatków poruszył się i zaczął się odchyłać.

W jego ślady poszedł następny płatek, potem kolejny i jeszcze jeden, aż cały kwiat powitał nadejście świtu z rozłożonymi płatkami. A ze środka wyrosło sześć miękkich listków, które bardziej niż płatki przypominały pióra. Jakiej były barwy? Dojrzałego sera żółtego.

Poczułem na plecach brutalny kopniak. W powietrzu rozległ się wulgarny rechot, niweczając atmosferę tak gwałtownie, jak ciężka stopa zmiażdżyła kwiat.

# III

## NA SKRZYDŁACH BURZY

Z jękiem podniosłem się z ziemi.

- Dinatius, ty świnió.

Starszy chłopiec, o szerokich ramionach i gęstych brązowych włosach, uśmiechnął się do mnie drwiąco.

- To ty masz uszy spiczaste jak u prosiaka. Albo u demona! Zresztą lepsza świnia niż bękart.

Policzki mi zapłonęły, ale utrzymałem nerwy na wodzy. Spojrzałem mu w oczy -

szare jak grzbiet gęsi. Musiałem w tym celu odchylić głowę do tyłu, gdyż był ode mnie dużo wyższy. Dinatius mógł dźwigać na barkach ciężary, które przygniatały dorosłych mężczyzn.

Oprócz rozniecania paleniska kowala, co samo w sobie było ciężką pracą, rąbał i nosił

drewno na opał, obsługiwał miechy i dźwigał cetnary rudy żelaza. Za to kowal dawał mu coś do jedzenia, siennik do spania i niejedną cios w łepetynę.

- Nie jestem bękartem.

Dinatius powoli roztarł kilkudniowy zarost na brodzie.

- To gdzie się skrył twój ojciec? Może to on jest świnią? A może to któryś ze szczurów mieszkających z tobą i twoją matką?

- W naszym domu nie ma żadnych szczurów.

- Domu? Nazywasz to domem? To paskudna nora, w sam raz, żeby twoja matka mogła się schować i parać czarnoksięstwem.

Pięści mi się same zacisnęły. Drwiny na mój temat mnie zaboląły, ale to wzmianka o niej wzburzyła we mnie krew. Wiedziałem, że Dinatius chce mnie sprowokować. Wiedziałem też, jaki byłby wynik bójki. Lepiej wyszedłbym, trzymając nerwy na wodzy. Trudno mi będzie zapanować nad pięściami. Nie mówiąc o języku.

- Ten, kto powstał z powietrza, nie powinien oskarżać wiatru.

- Co to ma niby znaczyć, bękarci gnoju?

Nie miałem pojęcia, skąd się wzięły słowa, które wypowiedziałem potem.

- To, że nie powinieneś nikogo nazywać bękartem, bo twój ojciec był saskim najemnikiem, który

przejeżdżał przez tę wioskę i zatrzymał się na noc, a wyjeżdżając, zostawił pustą flaszkę i ciebie.

Dinatus otworzył usta, a potem zamknął je bez słowa. Dotarło do mnie, że ubrałem w słowa wizję, której najbardziej się obawiał i która, choć nigdy by tego nie przyznał, była prawdą. Słowa te zabolowały go mocniej niż cios kijem.

Poczerwieniał na twarzy.

- Nieprawda! Mój ojciec był Rzymianinem i żołnierzem! Wszyscy to wiedzą. -

Spiorunował mnie wzrokiem. - Ja ci pokażę, kto jest bękartem.

Zrobiłem krok w tył.

Dinatus ruszył w moją stronę.

- Jesteś nikiem, bękarcie. Nikim! Nie masz ojca. Nie masz domu. Nie masz imienia!

Komu ukradłeś imię Emrys, bękarcie? Jesteś nikiem! I na zawsze już będziesz!

Jego słowa mnie zabolowały, widziałem, jak w jego wzroku wzbiera wściekłość.

Rozejrzałem się, szukając drogi ucieczki. Nie miałem szans, żeby go prześcignąć. Chyba że zdobyłbym przewagę na starcie. Ale dzisiaj na niebie nie było żadnego ptaka. Wtedy coś przyszło mi do głowy. Na niebie nie było żadnego ptaka.

Tak samo jak wczoraj pokazałem na niebo i zawołałem:

- Patrz! Skarby z nieba!

Dinatus, który właśnie szykował się, żeby na mnie skoczyć, tym razem nie spojrział

nad siebie. Zamiast tego skulił się, jakby chciał osłonić głowę przed ciosem. Zrobił dokładnie to, na co liczyłem. Odwróciłem się i pogałem niczym przerażony królik po przesiąkniętym od deszczu dziedzińcu obok młyna.

Dinatus podążył za mną, rycząc wściekle:

- Wracaj tu, tchórze!

Pobiegłem na skróty po trawie, przeskoczyłem złamane toczydło i kawałki drewna i popędziłem po moście, a moje skórzane buty plaskały o kamienie. Jeszcze zanim dotarłem na drugą stronę, usłyszałem szybkie kroki Dinatusa, których nie zagłuszało nawet moje dyszenie. Skręciłem gwałtownie w starą rzymską drogę na brzegu rzeki. Po mojej prawej stronie kotłowały się wody Tywy. Po lewej ciągnął się gęsty las przecinany jedynie przez ścieżki jeleni i wilków wiodące aż do stoków Y Wyddfa.

Zrobiłem sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt susów po kamiennej ścieżce, przez cały czas słysząc, jak Dinatius mnie dogania. Kiedy wbiegłem na niewielkie wzniesienie, zboczyłem ze ścieżki i rzuciłem się w okalający las gęszcz orlicy. Choć ciernie raniły mi łydki i uda, parłem rozpaczliwie naprzód. Uwolniłem się z krzaków paproci i przeskoczyłem leżący na ziemi konar, po czym dałem susa nad strumykiem i wdrapałem się po omszałym wyłomie skalnym na drugim brzegu. Znalazłem wąski szlak jeleni, który wił się po leśnej ściółce niczym niekończący się wąż, i pognałem nim, aż znalazłem się w zagajniku gigantycznych drzew.

Kiedy się zatrzymałem, usłyszałem przedzierającego się przez chaszczę Dinatiusa.

Bez zastanowienia przykucnąłem na ściółce z igliwia i podskoczyłem na najniższą gałąź

wielkiej sosny. Niczym wiewiórka wspinałem się coraz wyżej, gałąź za gałęzią, aż znalazłem się na wysokości trzech ludzi nad ziemią.

W tej właśnie chwili do zagajnika wkroczył Dinatius. Tuż nad nim przyłgnałem do konara z walącym w piersi sercem, obolałymi płucami i krwawiącymi nogami. Starałem się utrzymać w bezruchu, oddychać bezgłośnie, choć moje płuca domagały się powietrza.

Dinatius rozejrzał się na prawo i lewo, wytężając wzrok w słabo oświetlonym zagajniku. W pewnej chwili spojrzał nad siebie, ale wtedy do oka wpadł mu kawałek kory i zaklął:

- Do diabła z tym lasem!

Usłyszał jakiś chrobot za zagajnikiem i popędził w tamtą stronę.

Większą część ranka spędziłem na gałęzi, śledząc przemieszczające się nad innymi iglastymi gałęziami promienie słońca i jeszcze wolniejszy ruch krążącego między drzewami wiatru. W końcu, przekonany, że umknąłem Dinatiusowi, odważyłem się ruszyć. Jednak nie zszedłem z drzewa.

Wspiąłem się wyżej.

Wchodząc po drabinie z gałęzi, uświadomiłem sobie, że serce nadal wali mi w piersi, jednak teraz nie ze strachu ani z wysiłku. Z podniecenia. Było w tym drzewie coś, co niezwykle mnie ekscytowało i czego nie umiałem wytłumaczyć. Z każdym kolejnym konarem, do którego przywierałem, czułem, jak coś podnosi mnie na duchu. Jakbym w miarę posuwania się wzwyż coraz lepiej widział, słyszał i czuł. Wyobraziłem sobie, jak szybuję obok małego jastrzębia, który krążył nad drzewami.

Ogarniałem spojrzeniem coraz większy obszar. Podążałem wzrokiem za rzeką, która wiła się od wzgórz na północ. Przypominała mi ona wielkiego węża, jak z opowieści Branwen. Wzgórza wznosiły się w nieregularnych rzędach jak zwoje pradawnego odsłoniętego mózgu. Zacząłem się zastanawiać, jakie myśli powstały w tym mózgu przez tyle lat. Czy las był jedną z nich? Czy ten dzień był jedną z nich?

Z mgieł snujących się wśród najbardziej stromych wzgórz wyrastała wielka masa Y

Wyddfa, o lśniącym wierzchołku, otulona bielą. Cienie chmur, ciemne i okrągłe, przemieszczały się

po szczytach jak stopy olbrzymów. Gdybym tylko mógł zobaczyć ich w pełnej krasie! Gdybym tylko mógł przyjrzeć się ich tańcowi!

Po zachodniej stronie nieba zbierały się chmury, choć nadal co jakiś czas widziałem pobłyskujące iskry na rozświetlonym słońcem morzu. Widok bezkresnego oceanu wywołał u mnie niejasną tęsknotę. Nie miałem wątpliwości. Mój prawdziwy dom, moje prawdziwe imię, to wszystko gdzieś na mnie czekało. Czulem, jak targają mną prądy kłębiące się w bezdennym morzu.

Chciałem wspiąć się jeszcze wyżej. Złapałem się podstawy gałęzi, potem przerzuciłem nogę. Kilka gałązek złamało się i poszybowało z gracją na ziemię. Stęknąłem, podciągnąłem się ze wszystkich sił i w końcu wdrapałem się na konar.

Aby odsapnąć, usiadłem przy podstawie konara i oparłem się plecami o pień.

Przyłożyłem do twarzy lepkie od soków drzewa dłonie. Wciągnąłem do płuc słodki, żywiczny aromat.

Nagle coś trąciło mnie w prawe ucho. Odwróciłem głowę. Najeżony brązowy ogon zniknął za pniem. Kiedy wyciągałem szyję, żeby tam zajrzeć, usłyszałem głośny gwizd. Po chwili poczułem na piersi i nodze tupot maleńkich stóp.

Kiedy z powrotem usiadłem, zdążyłem jeszcze zobaczyć wiewiórkę, która zeskoczyła z mojej stopy na niższą gałąź. Szeroko uśmiechając się, przyglądałem się zaaferowanemu, popiskującemu stworzeniu. Wiewiórka popędziła w górę po pniu, potem w dół i znowu do góry, machając ogonkiem jak futrzaną flagą i przez cały czas przeżuując szyszkę wielkości jej głowy. Po czym, zupełnie jakby dopiero mnie zauważyła, gwałtownie się zatrzymała.

Przyglądała mi się przez kilka sekund, pisnęła i przeskoczyła na wysuniętą gałąź sąsiedniego drzewa. Zbiegła po pniu i zniknęła. Zastanawiałem się, czy wydałem jej się równie zabawny jak ona mnie.

Znowu poczułem dreszcz ekscytacji, który natchnął mnie, żeby wspiąć się jeszcze wyżej. Wiatr przybrał na sile, niosąc ze sobą eliksir woni drzew. Otulił mnie aromat żywic z ocierających się o siebie gałęzi, które otaczały mnie ze wszystkich stron.

Znowu zobaczyłem krążącego nade mną sokoła. Nie byłem pewien, ale miałem uczucie, że mi się przygląda. Że obserwuje mnie z sobie tylko znanych powodów.

Kiedy podciągnąłem się na najwyższą gałąź, która mogła utrzymać mój ciężar, usłyszałem pierwszy grzmot. Z nim nadszedł jeszcze potężniejszy szum tysięcy drzew uginających się pod naporem wiatru. Spojrzałem na gałęzie falujące jak wody oceanu. Szum skrywał w sobie różnorodność głosów: głębokie westchnienia dębu i przenikliwy szelest głogu, szmer sosen i trzaskanie jesionów. Igły stukały, a liście pukały. Pnie jęczały, a dziuple gwizdały. Wszystkie te głosy, i nie tylko one, tworzyły jeden wielki falujący chór, który śpiewał w języku nie tak różnym od naszego.

Kiedy wiatr przybrał na sile, moje drzewo zaczęło się kołysać. Niczym człowiek huštało się do tyłu i dookoła, najpierw łagodnie, potem coraz gwałtowniej. Zacząłem się bać, czy się nie złamie, a ja nie

spadnę na ziemię. Jednak po chwili odzyskałem pewność siebie.

Zadziwiony, że drzewo może być zarazem tak elastyczne i wytrzymałe, trzymałem się mocno, podczas gdy pień wyginał się i skręcał, zakreślając łuki w powietrzu. Z każdym pełnym gracji wahnięciem czułem się nie tyle stworzeniem lądowym, ile częścią samego wiatru.

Zaczął padać deszcz, którego dźwięk stopił się z pluskiem rzeki i śpiewem drzew.

Gałęzie opadały niczym wodospady zieleni. Po każdym pniu spływały małe rzeki, wijąc się przez łąki z mchu i kaniony z kory. A ja przez cały czas unosiłem się na skrzydłach wiatru.

Byłem kompletnie przemoczony i równie wolny.

Kiedy w końcu burza się uspokoiła, cały świat wydał mi się jak nowo narodzony.

Promienie słońca tańczyły na obmytych deszczem liściach. Nad każdą polaną wiły się kolumny mgieł. Barwy lasu mieniły się bardziej wyraziście, a zapachy nabrały świeżości. A ja zrozumiałem, pierwszy raz w życiu, że Ziemia zawsze się odnawiała, że życie zawsze się odradzało. Że to popołudnie równie dobrze mogło być porankiem dnia Stworzenia.

# IV

## STERTA SZMAT

Kiedy późnopołudniowe światło nasyciło kolory, a ceniom dodało głębi, poczułem delikatne ssanie w żołądku. Ssanie szybko przybrało na sile. Byłem głodny. Głodny jak wilk.

Spoglądając ostatni raz na panoramę, zobaczyłem rozchodzącą się po wzgórzach złotą pajęczynę światła. Wtedy ruszyłem w drogę powrotną z mojej gałęzi. Kiedy w końcu dotarłem do nadal wilgotnego od deszczu konara na samym dole, objąłem dłońmi korę i zwiesiłem się. Wisiałem tak przez chwilę, kołysząc się jak drzewo na wietrze. Uświadomiłem sobie, że gnębiący mnie zazwyczaj ból między łopatkami nie dokuczał mi, odkąd ruszyłem po gałęziach w górę. Puściłem się i spadłem na posłanie z igliwia.

Położyłem łagodnie dłonie na pofałdowanym pniu starego drzewa. Wydawało mi się, że czuję żywicę krążącą po wysokim cieple o kształcie kolumny, tak jak krew, która płynęła w moim. Poklepałem delikatnie pień, wyrażając w ten sposób swoją wdzięczność.

Mój wzrok zatrzymał się na bukicie jasnobrązowych grzybów o włochatych grzywach, które zagnieździły się między igłami u podstawy sosny. Z moich wypraw z Branwen zapamiętałem, że są bardzo smaczne. Rzuciłem się na nie. Zjadłem wszystkie co do jednego - jak również korzenie znajdujące się nieopodal rośliny o fioletowych liściach.

Odnalazłem szlak jeleni i podążyłem nim do strumyka. Napilem się z niego zimnej wody. Zmroziła mi zęby i ocuciła język. Mój krok nabrał sprężystości i wróciłem na prowadzącą do wioski ścieżkę flisacką.

Przeszedłem przez most. Za młynem dachy ze strzechy w Caer Vedwyd wyglądały jak zbite kępkę suchej trawy. Pod jednym z nich kobieta, która podawała się za moją matkę, prawdopodobnie mieszała eliksiry albo opatrywała czyjąś ranę, jak zawsze tajemnicza i cicha.

Ku mojemu zdziwieniu odkryłem w sobie nadzieję, że pewnego dnia miejsce to stanie się dla mnie domem.

Po wejściu do wioski przywitały mnie radosne okrzyki innych chłopców. W

pierwszym odruchu chciałem schronić się w jednej z upatrzonych kryjówek. Poczułem jednak przyływ pewności siebie. Tego dnia przyłączyć się do ich zabaw!

Zawahałem się. A jeżeli będzie tam Dinatius? Będę musiał uważać na kuźnię. Może z czasem Dinatius złagodnieje.

Zbliżyłem się powoli. Pod wielkim dębem, gdzie schodziły się trzy główne drogi, zobaczyłem zebranych rolników i kupców, którzy zachwalali swoje towary. Konie i osły stały przywiązane do palików i opędały się ogonami przed muchami. Nieopodal bard z poważną miną śpiewał kilkorgu słuchaczom balladę - aż jeden z wymachujących ogonów pacnął go prosto w usta. Kiedy bard

przestał się krztusić i był gotów do podjęcia przerwanej opowieści, słuchacze zdążyli się rozejść.

Czterech chłopców stało po drugiej stronie placu, gdzie rzucali dla wprawy kamieniami i kijkami do celu, czyli do sterty podartych szmat upchniętych u nasady dębu.

Kiedy upewniłem się, że nie ma wśród nich Dinatiusa, odetchnąłem z ulgą. Za chwilę byłem na tyle blisko, żeby zagadnąć jednego z chłopców.

- Jak ci się dzisiaj celuje, Lud?

Krępy chłopiec o rudawozłotych włosach odwrócił się do mnie. Okrągła twarz i małe oczy sprawiały, że wyglądał, jakby miał wiecznie zdziwioną minę. Choć wcześniej nie był dla mnie niemiły, dzisiaj w jego zachowaniu zauważyłem niepewność. Nie wiedziałem, kto go bardziej niepokoi - Dinatius czy ja.

Zbliżyłem się.

- Nie bój się. Na ciebie nie wypróżni się żaden ptak.

Lud przyglądał mi się przez chwilę, po czym wybuchnął śmiechem.

- To było trafienie!

Odwzajemniłem uśmiech.

- Zaiste doskonałe.

Rzucił mi mały kamyk.

- A może ty sprawdzisz swoją celność?

- Jesteś pewien? - zapytał go jeden z chłopców. - Dinatiusowi to się nie spodoba.

Lud wzruszył ramionami.

- Dalej, Emrys. Pokaż, jak rzucasz.

Chłopcy spojrzeli po sobie, podczas gdy ja zważyłem kamień w dłoni. Wziąłem gwałtowny zamach i wykonałem rzut w stertę szmat. Kamień minął cel szerokim łukiem i trafił w zagrodę dla gęsi, wzbudzając wielkie zamieszanie, gęganie i trzepotanie skrzydeł.

- Nie najlepiej - wymamrotałem zakłopotany.

- Może powinieneś podejść bliżej - zadrwił jeden z chłopców. - Na przykład pod samo drzewo.

Reszta się zaśmiała.

Lud uciszył ich machnięciem ręki i rzucił mi kolejny kamień.



- Spróbuj jeszcze raz. Trzeba ci praktyki.

Jego ton dodał mi pewności siebie. Wszyscy patrzyli, jak znowu się przymierzam.

Tym razem dobrze się ustawiłem, odczekałem chwilę, żeby ocenić odległość do celu i ciężar kamienia w dłoni. Nie odrywając wzroku od sterty szmat, odchyliłem rękę i wykonałem rzut.

Kamień trafił w sam środek. Lud cmoknął z podziwu. Nie mogłem opanować uśmiechu dumy.

Wtedy moją uwagę zwróciło coś dziwnego. Zamiast przebić szmaty i uderzyć w pień drzewa, pod którym leżały, mój kamień się odbił, jakby pod materiałem znajdowało się coś twardego. Kiedy się przyjrzałem, serce zabiło mi mocniej. Bo sterta szmat się poruszyła. Ze środka wydobył się żalostny jęk.

- To człowiek! - krzyknąłem z niedowierzaniem.

Lud pokręcił głową.

- To nie jest człowiek. - Machnął pogardliwie w stronę sterty. - To Żyd.

- Brudny Żyd - zawtórował jeden z chłopców i rzucił w szmaty swoim kamieniem.

Kolejne trafienie. Kolejny jęk.

- Ale... ale nie możecie... - chciałem powiedzieć coś więcej, po czym ugryzłem się w język. Nie chciałem zaprzepaścić szansy pozyskania akceptacji grupy.

- Dlaczego nie? - Lud odchylił się, żeby rzucić ciężkim kijem. - Żyd nie powinien tu przychodzić. Są jak demony, mają rogi i ogon. Przynoszą pecha.

Sterna szmat zajęczała, po czym zaczęła się podnosić.

Przełknąłem z trudem ślinę.

- Ja nie wierzę w takie bzdury. Pozwólcie żebrakowi odejść i znajdźcie sobie inny cel.

Lud przyjrzał mi się zdziwiony.

- Lepiej, żebyś nie bronił Żyda. Ludzie zaczną się zastanawiać, czy przypadkiem... -

urwał, ważąc słowa. - Czy nie jesteś ulepiony z tej samej gliny.

- Wszyscy jesteśmy z tej samej gliny! Żyd to człowiek, taki sam jak ty czy ja. -

Zerknąłem na mężczyznę w szmatach, który zaczął odchodzić, po czym zawołałem: - Daj mu spokój.

Lud tylko prychnął i rzucił ciężkim kijem.

Machnąłem ręką i krzyknąłem:

- Nie! Nie trafisz go!

Patyk zatrzymał się gwałtownie w połowie lotu i upadł na ziemię.

To było tak, jakby kij trafił na niewidzialną ścianę powietrza. Chłopcy stali oszołomieni. Mnie opadła szczeka. Byłem nie mniej zaskoczony od nich.

- Czar - wyszeptał jeden chłopiec.

- Czarnoksiężstwo - dodał inny.

Okrągła twarz Luda pobladła. Zaczął się powoli cofać.

- Odejdź, ty... ty...

- Synu demona - dokończył za niego inny głos.

Odwrociłem się i znalazłem się twarzą w twarz z Dinatiusem, którego tunika była porozrywana i ubłocona po długiej wędrówce przez las. Przez grymas na jego twarzy przebijała satysfakcja z tego, że w końcu dopadł swoją zdobycz.

Wyprostowałem się, co jeszcze bardziej uświadomiło mi dzielącą nas różnicę wzrostu.

- Nie chcę być twoim wrogiem.

Splunął mi na policzek.

- Myślisz, że mógłbym się zaprzyjaźnić z takim szatańskim nasieniem jak ty?

Moje ciemne oczy zwęziły się, kiedy wycierałem twarz. To było wszystko, co mogłem zrobić, żeby zapanować nad gniewem na tyle, aby podjąć kolejną próbę. Drżącym głosem oznajmiłem:

- Nie jestem demonem. Jestem chłopcem, takim jak ty.

- Wiem, czym jesteś. - Głos Dinatiusa uderzył we mnie niczym lawina. - Twój ojciec był demonem. A twoja matka para się szatańskimi sztuczkami. Tak czy siak, jesteś synem diabła!

Krzyknąłem i rzuciłem się na niego.

Dinatus zwinnie wykonał unik, obrócił mnie w powietrzu i powalił mocno na ziemię.

Kopnął mnie w bok na dokładkę, a ja się poturlałem.

Miałem tak obolałe zebra, że nie mogłem się podnieść. Dinatus stał nade mną i śmiał

się, odchylając swoją kudłatą głowę. Reszta chłopców też się śmiała, nie przestając go podjudzać.

- Co tak nędznie ci idzie, mały demonie? - drwił Dinatius.

Choć mój ból był wielki, furia dodała mi sił. Trzymając się za bok, podniosłem się z trudem na kolana, potem stanąłem na nogi. Zawyłem jak ranne zwierzę, po czym natarłem ponownie, młóćąc rękami.

Chwilę później znalazłem się twarzą w trawie, z trudem łapiąc oddech. Czułem w ustach krew. Przyszło mi do głowy, że mógłbym udawać trupa w nadziei, że mój ciemniejszy da sobie spokój. Ale nie byłem aż tak naiwny.

Śmiech Dinatiusa zamarł, kiedy zmusiłem się, żeby się podnieść, nie zważając na ściekającą mi po brodzie krew. Zaparłem się na niepewnych nogach i spojrzałem mu w oczy.

To, co ujrzałem, zaskoczyło mnie.

Pod jego wrogością dojrzałem zdziwienie.

- Na rany Chrystusa, aleś ty uparty.

- Na tyle, żeby ci się postawić - odparłem charkotliwie i zacisnąłem dłonie w pięści.

W tej chwili pojawiła się inna postać i nas rozdzieliła. Wszyscy chłopcy oprócz Dinatiusa cofnęli się. A mnie zatkało z wrażenia.

To była Branwen.

Choć po twarzy Dinatiusa przemknął cień lęku, chłopiec splunął jej na stopy.

- Odsuń się, demonico.

Branwen spiorunowała go wzrokiem, w którym mieniły się iskry gniewu.

- Odejdź.

- Idź do diabła - odparł Dinatius. - Tam twoje miejsce.

- Czyżby? W takim razie to ty lepiej szykuj się do ucieczki. - Podniosła groźnie rękę. -

Albo ześlę na ciebie piekielny ogień.

Dinatius pokręcił głową.

- To ty spłoniesz. Nie ja.

- Ale ja się ognia nie lękam! Nie można mnie spalić!

Lud, który przyglądał się Branwen nerwowo, pociągnął Dinatiusa za ramię.

- A jeżeli ona nie kłamie? Lepiej chodźmy.

- Mam porachunki z jej bękartem.

Niebieskie oczy Branwen zaśniły gniewem.

- Odejdź teraz. Albo spłoniesz.

Chłopiec zrobił krok w tył.

Branwen pochyliła się w jego stronę, po czym rozkazała mu jednym słowem:

- Natychmiast.

Pozostali chłopcy odwrócili się i pobiegli. Na widok ich ucieczki Dinatius stracił rezon. Złożył obie dłonie w znak, który miał go ochronić przed złym urokiem.

- Natychmiast! - powtórzyła Branwen.

Dinatius patrzył na nią złowrogo, po czym ustąpił.

Wziąłem Branwen za rękę. Razem wróciliśmy wolnym krokiem do naszej chatki.

## ŚWIĘTY CZAS

Wyciągnięty na sienniku, krzywiłem się, kiedy Branwen masowała moje obite żebra.

Na lewym ramieniu i lewej dłoni miała dziwne plamy światła, które przemknęło przez dziurawą strzechę. Jej czoło zmarszczyło się z troski. Niebieskie oczy przyglądały mi się tak intensywnie, że prawie czułem, jak świdrują moje ciało.

- Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co.

- Byłaś wspaniała. Naprawdę wspaniała! I pojawiłaś się w samą porę, znikąd. Jak któryś z twoich greckich bogów, na przykład Atena.

Zmarszczki na czole Branwen pogłębiły się.

- Obawiam się, że bardziej jak Zeus.

Zaśmiałem się, czego zaraz pożałowałem, gdyż zabołał mnie bok.

- Chcesz powiedzieć, że dobrałaś się do nich błyskawicami i grzmotami.

- Zamiast mądrością - westchnęła ponuro. - Zrobiłam to, co zrobiłaby na moim miejscu każda matka. Nawet jeżeli nigdy...

- Co?

Pokręciła głową.

- Nieważne.

Wstała, żeby przygotować okład o woni dymu i cedru. Coś przez kilka minut szatkowała i meła, po czym położyła mi kompres na żebrach i przycisnęła go delikatnie dłońmi. Stopniowo czułem, jak w moje kości wnika ciepło, jakby szpik zamienił się w rozzarzone węgle.

Branwen zamknęła oczy i zaczęła nucić cichą, powolną inkantację, którą już kiedyś słyszałem, gdy kogoś leczyła. Nigdy nie wiedziałem, czy śpiewa, żeby wyleczyć powierzoną jej opiece osobę, czy, w pewnym niezrozumiałym dla mnie sensie, siebie. Tym razem, przyglądając się jej twarzy, nie miałem wątpliwości: pieśń była dla niej, nie dla mnie.

Hy gododin catann hue

Hud a lledrith mai wyddan

Gaunce ae bellawn wen cabri

Varigal don Fincayra

Dravia, dravia Fincayra.

Czułem, że słowa te pochodzą z innego świata, zza oceanu. Oczekałem, aż Branwen otworzy oczy, po czym zadałem pytanie, które wielokrotnie mnie już gnębiło, choć nie spodziewałem się, że usłyszę odpowiedź.

- Co to znaczy?

Raz jeszcze zmierzyła mnie spojrzeniem, które jakby świdrowało moją duszę. Potem, ostrożnie dobierając słowa, odparła:

- To o miejscu, o magicznym miejscu. Krainie zauroczenia. I również iluzji. Krainie, która nazywa się Fincayra.

- Co znaczą te słowa na końcu? Dravia, dravia Fincayra.

Branwen ściszyła głos do szeptu.

- Niech żyje, niech żyje Fincayra.

Spuściła wzrok.

- Fincayra. Cudowne miejsce sławione przez bardów w wielu językach. Mówią, że znajduje się w połowie drogi między naszym światem a światem duchów, nie należy ani do Ziemi, ani do Nieba, to most łączący oba te światy. Ach, ile jest historii, które mogłabym ci o niej opowiedzieć! Jej kolory są jaskrawsze od najjaśniejszego wschodu słońca, jej powietrze wonniejsze niż najbardziej aromatyczny ogród. Można tam znaleźć wiele tajemniczych stworzeń, w tym, jak głosi legenda, pierwszych olbrzymów.

Obróciłem się na sianie tak, żeby nasze twarze były bliżej siebie.

- Opowiadasz o tej krainie, jakby naprawdę istniała.

Przycisnęła mocniej dłonie do moich żeber.

- Istnieje ona tak samo jak każda inna kraina, o której ci opowiadałam. Historie może nie są tak prawdziwe jak ten kompres, mój synu, ale i tak są realne! Na tyle, żeby pomóc mi żyć. I pracować. I odnaleźć sens ukryty w każdym śnie, w każdym liściu, w każdej kropli rosy.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że historie, jak ta o greckich bogach, są prawdziwe?

- O tak. - Zastanowiła się przez chwilę. - Historie wymagają od nas wiary, nie faktów.

Nie widzisz tego? Zamieszkują święty czas, który płynie po okręgu. Nie czas historyczny, który biegnie po linii prostej. A mimo to są prawdziwe, mój synu. Pod wieloma względami prawdziwsze niż codzienne życie tej żalosnej wioski.

Zdziwiony zmarszczyłem czoło.

- Ale na pewno Olimp Greków nie jest taki sam jak nasza góra Y Wyddfa.

Jej palce lekko się rozluźniły.

- Nie różnią się aż tak, jak mogłoby ci się wydawać. Góra Olimp istnieje na lądzie i w opowieści. W czasie historycznym i czasie świętym. W każdym razie można tam znaleźć Zeusa i Atenę i innych. To pogranicze - niezupełnie nasz świat, ale też nie inny świat, coś pomiędzy. Podobnie jak mgła, która nie jest naprawdę ani powietrzem, ani wodą, ale ma w sobie cechy jednego i drugiego. Innym takim miejscem jest Delos, grecka wyspa, na której urodził się i mieszkał Apollo.

- W opowieści, bez wątpienia. Ale nie naprawdę.

Popatrzyła na mnie dziwnie.

- Jesteś pewien?

- No cóż, pewien chyba nie. Nigdy nie byłem w Grecji. Ale widziałem setki razy Y

Wyddfa, zresztą przez to okno. Nie zauważyłem żadnego spacerującego po niej Apolla! Ani na tej górze, ani w tej wiosce.

Znowu spojrzała na mnie dziwnie.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. - Złapałem garść słomy z siennika i rzuciłem ją w powietrze.

- Oto z czego składa się ta wioska! Brudna słoma, sypiące się ściany, rozeźleni ludzie.

I głupi. Połowa z nich nie ma wątpliwości, że naprawdę jesteś czarodziejką!

Podniosła kompres i obejrzała siniak na moich żebrach.

- Co nie przeszkadza im przychodzić do mnie, żebym ich wyleczyła.

Branwen sięgnęła po drewniany półmisek z zielonkawobrazową papką o gryzącym zapachu przejrzałych jagód. Delikatnie, dwoma palcami lewej dłoni, zaczęła nakładać papkę na moje sińce.

- Powiedz mi - zaczęła, nie odrywając wzroku od rany - czy zdarzyło ci się kiedyś spacerować z dala od hałasów wioski i poczuć obecność ducha, czegoś niewidocznego. Może w okolicach rzeki albo gdzieś w lesie...

Powędrowałem myślami do wielkiej sosny rozchwianej przez burzę. Przypomniałem sobie szum gałęzi, woń żywicy, fakturę kory.

- Czasami, w lesie...

- Tak?

- Czulem, jakby drzewa, zwłaszcza te najstarsze, były żywe. Nie jak rośliny, lecz jak ludzie. Z twarzą. Z duszą.

- Jak driady i hamadriady - przytaknęła Branwen i popatrzyła na mnie smutno. -

Szkoda, że nie mogę ci przeczytać opowieści spisanych słowami Greków. Opowiadają o nich dużo lepiej niż ja! I te książki... Emrysie, widziałam pokój pełen książek tak grubych, zatęchłych i kuszących, że mogłabym całymi dniami siedzieć z którąś z nich na kolanach i tylko czytać. Czytałabym do późna w nocy, aż zasnąłabym z książką. I wtedy, we śnie, odwiedziłyby mnie driady albo sam Apollo.

Urwała.

- Opowiadałam ci kiedyś historię Dagdy?

Pokręciłem głową.

- Co to ma wspólnego z Apollem?

- Cierpliwości. - Branwen wzięła kolejną porcję papki i dalej mnie opatrywała. -

Celtowie, którzy zamieszkiwali Gwynedd na tyle długo, że znali pojęcie świętego czasu, mają wielu swoich Apollów. Słyszałam o nich w dzieciństwie, na długo zanim nauczyłam się czytać.

Podniosłem się gwałtownie.

- Jesteś pochodzenia celtyckiego? Myślałem, że przybyłaś... z tej samej krainy co ja, zza morza.

Jej dłonie się spięły.

- Bo tak było. Ale zanim tam się znalazłam, mieszkałam tutaj, w Gwynedd. Nie w tej wiosce, ale w Caer Myrddin, która nie miała tylu mieszkańców co dzisiaj. Ale pozwól mi dokończyć.

Zamilkłem posłusznie podekscytowany. Może nie było to wiele, ale pierwszy raz mówiła o swoim dzieciństwie.

Podjęła swoją opowieść, nie przestając mnie opatrywać.

- Dagda to jeden z tych Apollów. Jest jednym z najpotężniejszych celtyckich duchów, to bóg wszechwiedzy.



- Jak wygląda Dagda? Według opowieści.

Branwen palcami wybrała reszkę papki z półmiska.

- A to bardzo dobre pytanie. Bardzo dobre pytanie. Z jakichś znanych tylko jemu względów nikt nie widział prawdziwego oblicza Dagdy. Przyjmuje różne postaci, zależnie od okoliczności.

- Na przykład?

- Kiedyś podczas sławnej bitwy ze swoim arcywrogiem, złym duchem o imieniu Rhita Gawr, obaj przyjęli postaci potężnych zwierząt. Rhita Gawr zamienił się w olbrzymiego dzika o strasznych kłach i oczach koloru krwi. - Urwała, sięgając pamięcią wstecz. - A właśnie. I miał bliznę biegnącą wzdłuż jednej z przednich nóg.

Struchlałem. Blizna pod moim okiem, gdzie kieł dzika rozszarpał mi pięć lat temu skórę, zaczęła mnie szczypać. Od tamtego dnia nie było nocy, by ten dzik nie pojawił się w moich snach, żeby mnie zaatakować.

- I w bitwie tej Dagda przyjął postać...

- Wielkiego jelenia - dokończyłem. - Brązowego z wyjątkiem białych stóp? Siedem grotów po każdej stronie wieńca. I oczy głębokie jak przestrzeń między gwiazdami.

Branwen przytaknęła zaskoczona.

- Czyli słyszałeś tę opowieść?

- Nie - przyznałem.

- W takim razie skąd wiesz?

Odetchnąłem długo i powoli.

- Widziałem te oczy.

Zamarła.

- Naprawdę?

- Widziałem tego jelenia. I dzika.

- Kiedy?

- Tego dnia, kiedy wyrzuciło nas na brzeg.

Przyjrzała mi się uważnie.

- Walczyli ze sobą?

- Tak! Dzik chciał nas zabić. Zwłaszcza ciebie, jeżeli to faktycznie był zły duch.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- No bo ty to... ty! A ja byłem wtedy tylko wychudłym małym chłopcem. -

Przyjrzałem się sobie i uśmiechnąłem. - W odróżnieniu od wychudłego dużego chłopca, którym jestem teraz. Tak czy inaczej tamten dzik na pewno by nas zabił. Ale wtedy pojawił

się jeleni i go przepędził. - Dotknąłem skóry pod okiem. - Stąd ta blizna.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

Spojrzałem na nią z wyrzutem.

- Ty też nie mówiłaś mi wielu rzeczy.

- Masz rację - odparła z żalem. - Tyle opowiadaliśmy sobie o innych, a tak niewiele o sobie. To moja wina.

Nic nie odpowiedziałem.

- Za to teraz coś ci powiem. Gdyby ten dzik - Rhita Gawr - mógł zabić tylko jedno z nas, nie wybrałby mnie, ale ciebie.

- Co? To absurd! To ty masz taką wielką wiedzę, to ty umiesz leczyć.

- Ale twoje zdolności są znacznie potężniejsze!

- Świdrowała mnie wzrokiem. - Nie poczułeś ich jeszcze? Twój dziadek powiedział

mi kiedyś, że on doświadczył tego w wieku dwunastu lat. - Zreflektowała się. - Miałam tego nie mówić.

- Ale powiedziałaś! Możesz zdradzić mi coś więcej?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie rozmawiajmy o tym.

- Proszę, proszę! Chociaż trochę mi opowiedz. Jaki on był?

- Nie mogę.

Policzki mi poczerwieniały.

- Musisz mi powiedzieć! Dlaczego w ogóle o nim wspomniałaś, skoro nie chcesz, żebym się czegokolwiek dowiedział?

Przebiegła dłonią po złocistych lokach.

- Był czarodziejem, i to potężnym. Ale zdradzę ci tylko to, co powiedział o tobie.

Przed twoim urodzeniem. Powiedział mi, że moc, którą posiada, często objawia się w co drugim pokoleniu. I że będę mieć syna, który...

- Który co?

- Który będzie miał moc jeszcze potężniejszą od jego mocy. Którego magia będzie czerpała potęgę z najgłębszych źródeł, tak głębokich, że ten, kto nad nimi zapanuje, będzie mógł na zawsze zmienić losy świata.

Szczęka mi opadła.

- To nieprawda. I dobrze o tym wiesz. Wystarczy na mnie spojrzeć!

- Patrzę na ciebie - odparła cicho. - I choć teraz nie jesteś tym, kogo opisywał twój dziadek, być może kiedyś taki się staniesz.

- Nie - zaprotestowałem. - Nie chcę tego. Chcę tylko odzyskać pamięć! Chcę się dowiedzieć, kim jestem.

- A jeżeli posiadasz tę moc?

- Jak to możliwe? - prychnąłem. - Nie jestem czarodziejem.

Przekrzywiła głowę.

- Pewnego dnia możesz się zdziwić.

Nagle przypomniałem sobie, co się stało z kijem Luda.

- Cóż... Byłem zaskoczony. Wtedy, zanim się pojawiłaś, stało się coś dziwnego. Nie jestem nawet pewien, czy właśnie ja to zrobiłem. Ale nie mogę też tego wykluczyć.

Bez słowa wyciągnęła oderwany kawałek materiału i zaczęła obwiązywać nim mój tors. Przyglądała mi się z szacunkiem, być może nawet odrobiną strachu. Jej dłonie poruszały się z większą ostrożnością, jakbym był zbyt gorący, żeby mnie dotknąć. Cokolwiek ona czuła, cokolwiek ja wyczuwałem, towarzyszyło temu skrępowanie. Właśnie wtedy, kiedy zacząłem się do niej zbliżać, wydawała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie.

W końcu powiedziała:

- Cokolwiek zrobiłeś, użyłeś do tego swojej mocy. To twój dar, dar niebios. Obdarzył

cię nim największy z bogów, do którego modłę się najczęściej, który wszystkich nas obdarzył

tym, co mamy. Nie mam pojęcia, jaka jest istota twoich mocy, synu. Wiem tylko, że Bóg ci je dał, żebyś ich używał. Jego jedynym warunkiem jest, byś używał ich dobrze. Ale najpierw musisz, jak ujął to twój dziadek, je ujarzmić. A to znaczy, że musisz nauczyć się posługiwać nimi z rozwagą i miłością.

- Nie prosiłem o żadne moce!

- Ja też nie. Tak samo jak nie prosiłam o to, żeby być czarodziejką. Ale z każdym darem wiąże się ryzyko, że inni go nie rozumieją.

- Nie boisz się? W zeszłym roku w Llen spalono kobietę za rzekome uprawianie czarów.

Branwen uniosła wzrok ku wpadającym przez otwory nad naszymi głowami snopom światła.

- Wszchemocny Bóg wie, że nie jestem czarownicą. Staram się tylko skorzystać z posiadanych darów najlepiej, jak potrafię.

- Próbujesz połączyć starą i nową mądrość. A ludzie boją się tego.

Jej szafirowe oczy złagodniały.

- Widzisz więcej, niż podejrzewałam. Tak, to wzbudza lęk. Jak prawie wszystko w tych czasach.

Delikatnie zawiązała bandaż.

- Cały świat się zmienia, Emrysie. Nigdy nie żyłam w takich czasach, nawet w... tej innej krainie. Zamorskie inwazje. Najemnicy, na których lojalność nie można liczyć.

Zmagania chrześcijan ze starymi wierzeniami. Zmagania starych wierzeń z chrześcijanami.

Ludzie się boją. Śmiertelnie. Wszystko, co nieznanne, bierze się od razu za sprawkę demonów.

Usiadłem z wysiłkiem.

- Czy czasami nie żałujesz... - Głos uwiązł mi w gardle i przełknąłem ślinę. - Że masz ten dar? Że jesteś inna? Nie chciałabyś, żeby nie brano cię za demona?

- Oczywiście. - Zagryzła zamyślona wargę. - Ale taka jest istota mojej wiary. Nowa mądrość jest potężna. Bardzo potężna. Wystarczy przypomnieć sobie losy świętej Brygidy i świętego Kolumby! Jednak wiem, że dawna mądrość też niesie ze sobą wielką moc. Czy naprawdę nie można oczekiwać, żeby jedna i druga współistniały? Żeby mogły się nawzajem wzmacniać? Gdyż nawet kiedy słowa Jezusa poruszają moją duszę, nie mogę zapomnieć słów innych. Żydów. Greków. Druidów. I jeszcze innych, nawet starszych.

Przyglądałem się jej posepnie.

- Masz ogromną wiedzę. Ja nie.

- Mylisz się. Wiem niewiele. Tak niewiele. - Nagle na jej twarzy pojawił się ból. - Na przykład... nie wiem, dlaczego nigdy nie nazywasz mnie matką.

Poczułem się, jakby strzała przeszła mi ucho.

- Dlatego, że...

- Tak?

- Nie wierzę, że naprawdę nią jesteś.

Wciągnęła powietrze.

- A wierzysz, że twoje prawdziwe imię brzmi Emrys?

- Nie.

- A moje prawdziwe imię to Branwen?

- Nie.

Podniosła głowę. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w strzechę nad naszymi głowami, szerniała od sadzy niezliczonych posiłków, które pod nią przyrządzała. W końcu Branwen znów na mnie popatrzyła.

- Jeżeli chodzi o moje imię, to masz rację. Kiedy się tu znaleźliśmy, wzięłam je ze starej legendy.

- Tej, którą mi opowiadałaś? O Branwen, córce Llyr?

Przytaknęła.

- Pamiętasz ją? W takim razie pamiętasz też, że Branwen przybyła z innej krainy, żeby poślubić kogoś w Irlandii. Jej życie zaczęło się od wielkiej nadziei i niezwykłego piękna.

- I skończyło - podjąłem opowieść - tragedią. Jej ostatnie słowa brzmiały: „Szkoda, że się narodziła”.

Wzięła moją dłoń.

- Ale to opowieść o moim imieniu, nie o twoim. O moim życiu, nie o twoim. Proszę cię, musisz uwierzyć w to, co ci mówię! Emrys to twoje imię. A ja jestem twoją matką.

Poczułem, jak łzy podchodzą mi do gardła.

- Skoro naprawdę jesteś moją matką, to dlaczego nie możesz mi powiedzieć, gdzie jest mój dom? Mój prawdziwy dom, moja ojczyzna?

- Nie mogę! Te wspomnienia są dla mnie zbyt bolesne. A dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- Jak w takim razie możesz się spodziewać, że ci uwierzę?

- Proszę, wysłuchaj mnie. Skrywam to przed tobą dla twojego dobra. Nie przypadkiem straciłeś pamięć. To wielkie szczęście.

Zmarszczyłem brwi.

- To przekleństwo!

Przyglądała mi się, a oczy zaszyły jej łzami. Wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, że zdradzi mi w końcu to, czego tak bardzo pragnąłem się dowiedzieć. Wtedy ścisnęła moją dłoń - i nie był to uścisk współczucia, ale strachu.

# VI

## PŁOMIENIE

Ktoś stanął w drzwiach i zasłonił sobą światło.

Zeskoczyłem z siennika, strącając drewniany półmisek Branwen.

- Dinatius!

Masywna dłoń pokazała w naszą stronę.

- Wychodźcie, oboje.

- Nie. - Branwen podniosła się i stanęła obok mnie.

Szare oczy Dinatiusa błysnęły gniewem. Krzyknął przez ramię:

- Ją bierzcie pierwszą.

Wkroczył do chaty, a za nim weszła dwójka chłopców, którzy towarzyszyli mu na wiejskim placu. Nie było z nimi Luda.

Złapałem Dinatiusa za rękę. Odtrącił mnie jak muchę z taką siłą, że wpadłem na stół z przyborami i składnikami Branwen. Łyżki, noże, sitka i miseczki rozsypały się po ziemi, kiedy stół złamał się pod moim ciężarem. Płyny i papki chlusnęły na gliniane ściany, a nasiona i liście wzbiły się w powietrze.

Widząc, jak Dinatius siłuje się z Branwen, podniosłem się i rzuciłem na niego.

Odwrócił się i zdzielił mnie tak mocno, że uderzyłem plecami o ścianę i oszołomiony tym, upadłem.

Kiedy oprzytomniałem, uświadomiłem sobie, że zostałem w chacie sam. Nie wiedziałem, co się stało, aż usłyszałem odgłosy na dworze i podszedłem chwiejnym krokiem do drzwi.

Dwadzieścia, może trzydzieści kroków dalej, na środku ścieżki leżała Branwen. Ręce i nogi miała związane pleciana liną. Wciśnięto jej do ust oderwany kawałek sukni, żeby nie mogła krzyczeć. Najwyraźniej obecni na placu handlarze i mieszkańcy wioski byli tak zajęci swoją pracą, że jeszcze jej nie zauważyli - albo nie chcieli się wtrącać.

- Popatrzcie na nią - zaśmiał się szczupły chłopiec o umorusanej twarzy, pokazując na skuloną postać na ścieżce. - Teraz nie jest już taka straszna.

Jego towarzysz, który ciągle trzymał linę, też się zaśmiał.

- Dobrze tak demonicy!

Ruszyłem biegiem na pomoc. Nagle zauważyłem Dinatiusa pochylonego nad stertą chrustu ułożonego

pod szerokimi konarami dębu. Kiedy wsunął pod gałęzie łopatę pełną rozżarzonych węgli, przeszył mnie lęk. Ogień. Rozpala stos.

Kiedy chrust zajął się ogniem, zaczął trzaskać. Słup dymu uniósł się ku gałęziom drzewa. Wtedy Dinatius wyprostował się z rękami na biodrach i przyjrzał swojemu dziełu. Na tle ognia sam wyglądał jak demon.

- Twierdzi, że nie boi się ognia! - oznajmił, na co reszta chłopców przytaknęła. -

Mówi, że nie można jej spalić!

- Zaraz zobaczymy - zawołał chłopiec z liną.

- Pali się! - zawołał jeden z handlarzy na widok płomieni.

- Zgaście to! - krzyknęła jakaś kobieta, która wyszła z chaty.

Ale zanim ktokolwiek zdążył zareagować, dwóch chłopców złapało Branwen za nogi.

Zaczęli ją wlec w stronę płonącego drzewa, gdzie czekał na nich Dinatius.

Puściłem się biegiem, nie odrywając wzroku od Dinatiusa. Ogarnęła mnie furia, wściekłość, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Gniew nie do opanowania rozchodził

się po moim ciele niczym wielka fala, tłumiąc rozsądek i inne emocje.

Na mój widok Dinatius uśmiechnął się szeroko.

- W samą porę, gnojku. Usmażymy was oboje.

Pragnąłem tylko jednego: Powinien spłonąć.

Spalić się w piekle.

W tej chwili drzewo zatrzęsło się i pękło jakby trafione piorunem. Dinatius obrócił się akurat w momencie, kiedy jedna z największych gałęzi, być może nadpalona, złamała się.

Zanim zdążył uciec, konar spadł prosto na niego, przygniatając mu pierś i rękę. Niczym oddech kilku smoków płomienie wleciały jeszcze wyżej. Mieszkańcy wioski i handlarze rozpierzchli się. Trzask pękających gałęzi, które stanęły w płomieniach, prawie zagłuszył

krzyki uwięzionego chłopca.

Podbiegłem do Branwen. Upadła zaledwie kilka kroków od płonącego drzewa. Ogień sięgał krawędzi jej sukni. Szybko odciągnąłem ją od płomieni i rozluźniłem więzy. Wyrwała z ust knebel i spojrzała na mnie z wdzięcznością, ale też ze strachem.



- Czy to ty zrobiłeś?

- Chyba tak. To jakaś forma magii.

Świdrowała mnie spojrzeniem swoich szafirowych oczu.

- Twoja magia. Twoja moc.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, z piekła rozległ się przeszywający krzyk. Przeciągły, przepełniony potwornym cierpieniem. Ten bezradny ludzki głos zmroził mi krew w żyłach.

Od razu wiedziałem, co zrobiłem. Wiedziałem również, co muszę zrobić teraz.

- Nie! - zaprotestowała Branwen, chwytając mnie za tunikę.

Było jednak za późno. Rzuciłem się już w huczące płomienie.

# VII

## UKRYTY

Głosy. Anielskie głosy.

Poderwałem się i usiadłem. Czy to naprawdę anioły? Czyżbym był martwy? Otaczała mnie ciemność. Czarniejsza od jakiegokolwiek nocy.

A potem ból. Ból twarzy i prawej dłoni musiał oznaczać, że jednak żyję. Palący ból.

Przeszywający ból. Jakby ktoś rozrywał mi skórę.

Oprócz bólu zacząłem odczuwać dziwny ciężar na czole. Ostrożnie podniosłem dłonie do twarzy. Dotarło do mnie, że mam zabandażowane palce prawej dłoni. Podobnie jak czoło, policzki i oczy - owinięte zimnym, wilgotnym materiałem o gryzącej woni ziół. Nawet najlżejsze dotknięcie sprawiało mi przeszywający ból.

Zaskrzypiały ciężkie drzwi. Po kamiennej podłodze zbliżały się do mnie kroki, które odbijały się echem od wysokiego sufitu nad moją głową. Kroki, których rytm brzmiał

znajomo.

- Branwen?

- Tak, mój synu - odpowiedział głos w ciemności. - Obudziłeś się. To mnie cieszy. -

Jednak kiedy delikatnie gładziła mój kark, odniosłem wrażenie, że w jej głosie jest więcej smutku niż radości. - Muszę ci zmienić opatrunek. Obawiam się, że to będzie bolało.

- Nie. Nie dotykaj mnie.

- Muszę to zrobić, jeżeli masz wyzdrowieć.

- Nie.

- Emrysie, muszę.

- Zgoda, tylko ostrożnie! I tak mnie bardzo boli.

- Wiem, wiem.

Robiłem, co mogłem, żeby się nie ruszać, kiedy Branwen ostrożnie odwiązywała bandaż, dotykając mnie z delikatnością motyla. Podczas zmieniania opatrunku skropiła mi twarz czymś, co pachniało świeżym lasem po deszczu i nieco złagodziło ból. Kiedy poczułem się odrobinę lepiej, trysnęła ze mnie fontanna pytań.

- Jak długo spałem? Co to za miejsce? Czyje to głosy?

- Jesteśmy - przepraszam, jeżeli szczybie - w kościele Świętego Piotra. Ugościły nas tutejsze zakonnice. To ich śpiew słyszałeś.

- Kościół Świętego Piotra! To w Caer Myrddin.

- Zgadza się.

Poczułem chłodny przeciąg od strony okna bądź drzwi i naciągnąłem na ramiona szorstki wełniany koc.

- Ale to kilka dni drogi, nawet konno.

- Zgadza się.

- Ale...

- Nie ruszaj się, Emrysie, teraz to odwiążę.

- Ale...

- Spokojnie... dobrze. Jeszcze chwila. O już.

Po zdjęciu bandaża moje pytania dotyczące naszego przybycia zeszły na dalszy plan.

Pojawiła się inna kwestia, która przyćmiła pozostałe niewiadome. Gdyż mimo że moje oczy nie były już zakryte, nic nie widziałem.

- Dlaczego jest tak ciemno?

Branwen nie odpowiedziała.

- Nie przyniosłaś świecy?

Znowu nie odpowiedziała.

- Czy teraz jest noc?

Nadal nie było odpowiedzi. Branwen nie musiała mi jej udzielać, gdyż zrobiła to za nią śpiewająca nieopodal kukulka.

Palce mojej nieobandażowanej dłoni zadrżały, kiedy dotykałem obolałej skóry wokół

oczu. Jęknąłem, kiedy wyczułem połączenie strupów na poparzonej skórze. Nie miałem brwi.

Nie miałem też rzęs. Mrugając, dotknąłem palcami krawędzi obolałych, zabliznionych, pokrytych strupami powiek.

Wiedziałem, że mam otwarte oczy. Wiedziałem, że nic nie widzę. I zadrżałem, gdyż wiedziałem coś jeszcze.

Byłem ślepy.

Zawyłem z rozpacz. Kiedy usłyszałem raz jeszcze śpiew kukułki, zrzuciłem z siebie koc. Pomimo słabości nóg zmusiłem się, żeby wstać z posłania. Odtrąciłem dłoń próbującej mnie zatrzymać Branwen i poszedłem chwiejnym krokiem po kamieniach w kierunku dźwięku.

Potknąłem się o coś, przewróciłem i upadłem na ramię. Wyciągnąłem ręce, ale nie wyczuwałem pod sobą nic oprócz kamiennej powierzchni. Kamienie były twarde i zimne jak grobowiec.

Zakręciło mi się w głowie. Czulem, jak Branwen pomaga mi wstać, słyszałem jej tłumiony szloch. Znowu ją odtrąciłem. Zataczając się do przodu, trafiłem dłońmi na ścianę z litej skały. Odgłos kukułki dochodził z lewej strony. Palcami dłoni, na której nie miałem bandaża, wyczułem brzeg okna.

Uchwyciłem się parapetu i podciągnąłem bliżej. Chłodne powietrze szczypało mi twarz. Kukułka zaśpiewała tak blisko, jakby jej skrzydła były na wyciągnięcie dłoni. Po raz pierwszy chyba od tygodni poczułem na twarzy muśnięcie słońca. Jednak choć bardzo starałem się odnaleźć je wzrokiem, nigdzie go nie widziałem.

Ukryty. Cały świat jest ukryty.

Nogi ugięły się pode mną. Upadłem na podłogę, położyłem głowę na kamieniach. I zapłakałem.

# VIII

## DAR

W następnych tygodniach, a potem miesiącach moje cierpienie wypełniło sale kościoła Świętego Piotra. Zakonnice, poruszone pobożnością Branwen i stopniem moich obrażeń, otworzyły dla nas bramy swojego sanktuarium. Nietrudno im było współczuć kobiecie, która całe dni spędzała na modlitwie i opiece nad swoim poranionym synem.

Jednakże mnie zakonnice wolały unikać, co w ogóle mi nie przeszkadzało.

Każdy dzień był dla mnie mroczny - zarówno dla mojej duszy, jak i wzroku. Czułem się jak małe dziecko ledwie zdolne do raczkowania po zimnej kamiennej podłodze komnaty, którą dzieliłem z Branwen. Moje palce dobrze się zapoznały z jej czterema kątami, z jedynym oknem, przy którym wystawałem niekiedy godzinami, wyęzając wzrok. Jednak zamiast dać mi widok na świat okno dręczyło mnie tylko radosnym śpiewem kukułki i odległym harmidrem targowiska w Caer Myrddin. Niekiedy dochodziły do mnie zapachy przyrządzanej potrawy albo rozkwitającego drzewa, które splatały się z unoszącymi się nad niskim stolikiem przy posłaniu Branwen woniami tymianku i korzenia buka. Ale ja nie mogłem udać się na poszukiwanie tych rzeczy. Byłem więźniem zamkniętym w lochu swojej ślepoty.

Dwa lub trzy razy zebrałem się na odwagę, żeby wyjść za ciężkie drewniane drzwi, dłońmi szukając drogi w labiryncie przejść i komnat. Wsłuchując się z uwagą w echo swoich kroków, nauczyłem się oceniać długość i wysokość korytarzy oraz rozmiar pomieszczeń.

Pewnego dnia natrafiłem na schody, których kamienne krawędzie były zaokrąglone, bo wytarte po wielu latach użytkowania. Delikatnie wyczuwając palcami ścianę, zszedłem, otworzyłem drzwi na dole i znalazłem się na wonnym podwórzu. Mokra trawa dotykała moich stóp, a ciepły wiatr dmuchał mi w twarz. Przypomniałem sobie nagle, jakie to piękne uczucie być na dworze, na trawie, na słońcu. Wtedy usłyszałem śpiewające w pobliskich klasztorach zakonnice. Przyspieszyłem kroku, by je odszukać. Znienacka wpadłem na kamienną kolumnę i zderzyłem się z nią tak mocno, że przewróciłem się do tyłu i wpadłem do płytkiej kałuży. Kiedy starałem się podnieść, poślizgnąłem się na kamieniu i upadłem na bok.

Uderzyłem lewą stroną twarzy w podstawę kolumny. Poobijany i zakrwawiony, leżałem tak z podartymi bandażami, aż Branwen mnie znalazła.

Potem nie wstawałem z posłania w mojej komnacie, przekonany, że już do końca swoich dni będę tylko ciężarem dla Branwen. Nawet kiedy próbowałem myśleć o czymś innym, mój umysł zawsze wracał do tego sądnego dla mnie dnia. Widok Branwen, związanej i zakneblowanej przy drzewie. Furia, która się we mnie zagotowała. Śmiech Dinatiusa, który przeszedł we wrzaski. Wszędzie piekielne płomienie. Przygniecione ręce i pogruchotane przez konar drzewa ciało. Mój krzyk, kiedy dotarło do mnie, że płonie mi twarz.

Nie pamiętałem naszej wędrówki do murów Caer Myrddin, choć lakoniczna opowieść Branwen wystarczała, żebym mógł to sobie dobrze wyobrazić. Niemal widziałem pyzatą twarz Luda

przyglądającego się, jak przemierzamy wzgórze na wozie wędrownego handlarza, który ulitował się nad kobietą o szafirowych oczach i jej ciężko poparzonym synem. Czulem bujanie wozu ciągniętego przez konie, słyszałem pisk kół i uderzenia kopyt o ścieżkę flisacką.

Czulem smak własnej zwęglonej skóry, słyszałem swoje deliryczne jęki podczas trwającej dniami i nocami podróży.

Teraz właściwie nic nie naruszało monotonii mojego życia. Śpiew zakonnicy. Szuranie ich stóp, kiedy szły do klasztorów, na posiłki, na medytacje. Ciche modły i śpiewy Branwen, która robiła wszystko, żeby moja skóra się zagoiła. Nieustanne nawoływanie kukułki siedzącej na nieznanym mi drzewie o szeleszczących liściach.

I ciemność. Cały czas ciemność.

Nieraz, kiedy siadałem na posłaniu, przebiegałem ostrożnie palcami po strupach na policzkach i pod oczami. Wyżłobienia na mojej skórze były okropnie głębokie niczym kora sosny. Wiedziałem, że pomimo umiejętności Branwen moja twarz będzie już na zawsze okaleczona. Nawet gdyby jakimś cudem wrócił mi wzrok, te blizny będą oznajmiać światu moją brawurę. Wiedziałem oczywiście, że takie myśli były oznaką próżności. Niemniej nachodziły mnie.

Pewnego dnia stwierdziłem, że mam ochotę zapuścić brodę. Wyobraziłem sobie wielką falującą brodę, która mogłaby należeć do prastarego, wielusetletniego mędrca. Cóż to była za broda! Cała kręcona i siwa, pokrywała moją twarz niczym masa chmur.

Podejrzywałem, że jakiemuś ptakowi mogłoby przyjść do głowy, by się w niej zagnieździć.

Jednak takie tęskne chwile nie trwały długo. Coraz częściej dopadała mnie rozpacz.

Już nigdy nie będzie mi dane wspiąć się na drzewo. Nigdy nie będę biegał beztrąsko po polu.

Nigdy, poza światem wspomnień, nie zobaczę twarzy Branwen.

Zacząłem zostawiać nietknięte posiłki. Pomimo nalegań Branwen, żebym więcej jadł, nie miałem apetytu. Pewnego ranka przyklęła koło mnie na kamieniach naszej komnaty i bez słowa zaczęła opatrywać mi rany. Kiedy chciała zmienić mi bandaż, odsunąłem się, kręcąc głową.

- Trzeba było pozwolić mi umrzeć.

- To nie był właściwy czas na twoją śmierć.

- Skąd wiesz? - odburknąłem. - Czuję się, jakbym już był martwy! To nie jest życie!

To niekończąca się męka. Wolałbym żyć w piekle niż tutaj.

Złapała mnie za ramiona.

- Nie opowiadaj takich rzeczy! To bluźnierstwo.

- To prawda! Widzisz, co sprawiły twoje moce, rzekomy dar od Boga? Niech będą przeklęte! Lepiej by było, gdybym nie żył.

- Przestań!

Wyrwałem się, serce waliło mi w piersi.

- Nie mam życia! Nie mam imienia! Nie mam nic!

Branwen zaczęła się modlić, łkając:

- Najdroższy Panie, Zbawco mej duszy, autorze wszystkiego, co napisane w Wielkiej Księdze Nieba i Ziemi, proszę cię, pomóż temu chłopcu! Błagam! Wybacz mu. Bo nie wie on, co mówi. Gdybyś tylko przywrócił mu wzrok, nawet odrobinę, choćby na chwilę, przysięgam Ci, że zasłuży sobie na Twoją łaskę. Nigdy już nie użyje swoich mocy, jeżeli tak postanowisz. Tylko mu pomóż. Proszę Cię, pomóż mu.

- Nigdy nie użyję swoich mocy? - prychnąłem. - Z radością oddałbym je za wzrok! I tak nigdy mi na nich nie zależało.

Szarpnąłem z goryczą bandaż na czole.

- A jakie jest teraz twoje życie? Nie lepsze od mojego! To prawda, możesz trzymać fason. Może uda ci się nabrać zakonnice. Ale nie mnie. Wiem, że jesteś nieszczęśliwa.

- Pogodziłam się z losem.

- To kłamstwo.

- Pogodziłam się - powtórzyła.

- Pogodziłaś się! - krzyknąłem. - Pogodziłaś się z losem! To dlaczego masz spierzchnięte dłonie od ciągłego pocierania ich? Dlaczego na policzkach masz ślady...

Nie dokończyłem.

- Dobry Boże - wyszeptała.

- Nie rozumiem.

Niepewnie wyciągnąłem dłoń ku jej twarzy, delikatnie wycierając jej policzek.

W tej chwili oboje zdaliśmy sobie sprawę, że jakimś cudem udało mi się wyczuć ślady jej łez. Choć nie widziałem ich na własne oczy, wiedziałem, że tam są.

- To kolejny dar. - W głosie Branwen pobrzmiwał podziw. Mocno chwyciła mnie za dłoń. - Dar magicznego wzroku.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Czy to była ta sama zdolność, której kiedyś użyłem, żeby rozewrzeć płatkę kwiatu? Nie. Czułem, że to coś innego. Coś, nad czym lepiej panowałem. Czy dzięki temu ujrzałem barwy kwiatu, zanim się otworzył? Być może. Jednak ta zdolność była nieco inna. Bardziej przypominała... odpowiedź na modły Branwen. Dar boży.

- Czy to możliwe? - zapytałem potulnie. - Czy to naprawdę możliwe?

- Dzięki Bogu, tak.

- Wystaw mnie na próbę - zażądałem. - Podnieś kilka palców.

Zrobiła to.

Zagryzłem wargę, usiłując wyczuć liczbę.

- Dwa?

- Nie. Spróbuj jeszcze raz.

- Trzy?

- Spróbuj jeszcze raz.

Koncentrując się, odruchowo zamknąłem oczy, choć oczywiście nie robiło to żadnej różnicy. Po dłuższej chwili powiedziałem:

- Dwie dłonie, nie jedna. Mam rację?

- Zgadza się! A teraz... Ile palców?

Upływały minuty. Pot wystąpił mi na zabliźnione czoło, piekąc wrażliwą skórę. Ale ja nie ustąpiłem. W końcu zapytałem niepewnie:

- Czy to może... siedem?

Branwen odetchnęła z ulgą.

- To siedem.

Uściskaliśmy się. W tej chwili wiedziałem, że moje życie zmieniło się na zawsze. I podejrzewałem, że do końca swoich dni będę darzył siódmką szczególnymi względami.

Jednak, co najważniejsze, wiedziałem, że została złożona obietnica. Nie miało znaczenia, czy złożyłem ją ja, czy Branwen, czy my oboje. Nigdy więcej nie będę poruszał

przedmiotów siłą woli. Choćby to był płatek kwiatu. Nie będę też przepowiadał przyszłości ani usiłował zapanować nad innymi mocami, które miały być moje. Za to mogłem znów widzieć. Mogłem



znów żyć.

Od razu rzuciłem się na jedzenie. Pałaszowałem je bez końca - zwłaszcza nie mogłem się oderwać od mojego ulubionego chleba maczanego w mleku. Albo piętki z dżemem z jeżyn. Albo musztardy zmieszanej z surowymi jajami gęsi, która miała tę dodatkową zaletę, że wszystkie zakonnice mdliło na jej widok. Pewnego popołudnia Branwen zdobyła na targu soczysty daktyl, który pozwolił nam wyprawić iście królewską ucztę.

Wraz z apetytem wróciła mi odwaga. Zacząłem badać korytarze, klasztory, dziedzińce kościoła Świętego Piotra. Cały kościół był moim królestwem. Moim zamkiem! Kiedyś, pod nieobecność zakonnicy, zakradłem się na dziedziniec i wykopałem w płytkiej sadzawce. Z

trudem powstrzymałem się, by nie śpiewać na całe gardło w trakcie kąpieli.

Tymczasem pracowaliśmy z Branwen wiele godzin każdego dnia, usiłując wyostrzyć mój magiczny wzrok. Do pierwszych praktyk używaliśmy łyżek, naczyń i innych codziennych przyborów, które Branwen znalazła gdzieś w kościele. Z czasem zacząłem ćwiczyć z małym ołtarzem o subtelnych konturach i ze słojami w drewnie. W końcu doszedłem do kielicha z dwiema rączkami i misternym grawerunkiem. Choć zajęło mi to prawie tydzień, w końcu udało mi się przeczytać wyryty wzdłuż krawędzi napis: „Proście, a będzie wam dane”.

Zdałem sobie sprawę, że najlepiej postrzegam przedmioty nieruchome i niezbyt oddalone. Jeżeli przemieszczały się zbyt szybko albo znajdowały za daleko, często gubiłem trop. Lecący ptak po prostu stapał się z niebem.

Co więcej, kiedy się ściemniało, mój dar magicznego widzenia słabł. O zmroku postrzegałem już tylko rozmazane kontury. W nocy nie widziałem nic, chyba że pochodnia albo księżyc rozświetlały mrok. Mogłem wyłącznie snuć domysły, dlaczego mój dar wymaga światła. Przede wszystkim nie był to normalny zmysł wzroku. Dlaczego ciemność miałaby mu nie sprzyjać? Choć z drugiej strony mój magiczny wzrok był skierowany po części do środka, a po części na zewnątrz. Być może w niepojęty dla mnie sposób opierał się na tym, co zostało z moich oczu. A może potrzebował czegoś, co nawet posiadałem, ale co nie zdało egzaminu.

Tak więc choć dar magicznego widzenia z całą pewnością był lepszy niż zupełna ślepotą, nie zastąpił mi utraconego wzroku. Nawet przy świetle dziennym zaledwie wychwytywałem barwy, większość świata widziałem w odcieniach szarości. Mogłem stwierdzić, że Branwen nosi na głowie i szyi welon jaśniejszy od jej luźnych szat, ale nie umiałem określić, czy welon jest szary, czy brązowy. Zacząłem coraz bardziej zapominać tego, czego nauczyłem się o kolorach od przybycia do Gwynedd.

Byłem jednak skłonny pogodzić się z tymi ograniczeniami. O tak - i to chętnie. Moje zdolności rozwijały się, a ja chodziłem do klasztorów albo towarzyszyłem Branwen podczas posiłków. Siadałem obok zakonnicy i chwilę z nią rozmawiałem, udając, że patrzę jej w oczy, a ona nie domyślała się, iż są one bezużyteczne. A pewnego ranka pobiegłem nawet przez dziedziniec ślalomem między kolumnami i przeskoczyłem sadzawkę.

Tym razem rozśpiewałem się na cały głos.

# IX

## MŁODY PTAK

Mój dar jasnowidzenia się wyostrzał, a Branwen pomagała mi czytać łacińskie teksty w liturgicznych rękopisach. Za każdym razem, kiedy otwierałem któryś z woluminów, czułem silny zapach skóry i pergaminu. A obrazy, coraz wyraźniejsze, porywały moją wyobraźnię - do płonącego rydwanu Eliasza, na ostatnią wieczerzę Jezusa, ku kamiennym tablicom Mojżesza.

Czasami, kiedy studiowałem te teksty, moje problemy znikaly. Słowa mnie pochłaniały, ukazywały mi wydarzenia, kolory i twarze o bogactwie i wyrazistości, jakich nigdy nie doświadczyłem zmysłem wzroku. I po raz pierwszy zrozumiałem, że książki to cudowna rzecz. Odważyłem się rozmarzyć i wyobrazić sobie, że pewnego dnia mógłbym się otoczyć dziełami z wielu epok i w wielu językach, tak jak zrobiła to kiedyś Branwen.

Z każdym mijającym dniem mój zmysł się wyostrzał. Pewnego ranka odkryłem, że potrafię odczytać wyraz twarzy Branwen z ułożenia jej ust i błysku w oku. Innego ranka, kiedy stałem przy oknie i patrzyłem na szarpane wiatrem gałęzie, uświadomiłem sobie, że szumiące drzewo, na którym zagnieździła się kukulka, to głóg, gruby i ciemny. A pewnej nocy zobaczyłem, pierwszy raz od podpalenia, połyskującą na niebie gwiazdę.

Następnej nocy stanąłem na środku dziedzińca, z dala od pochodni. Nisko na północnym horyzoncie zamruwała druga gwiazda. Kolejnej nocy pojawiły się trzy nowe.

Potem jeszcze pięć. Osiem. Dwanaście.

Pewnego wieczoru na dziedzińcu dołączyła do mnie Branwen. Położyliśmy się oboje na kamieniach twarzami ku niebu. Branwen wskazała gestem gwiazdozbiór Pegaza, po czym niespiesznie i miarowo opowiedziała mi historię tego wielkiego skrzydlatego konia. Kiedy mówiła, poczułem, jak szybuję po niebie na szerokim grzbiecie Pegaza. Przeskakiwaliśmy z jednej gwiazdy na inną, szybowaliśmy obok księżycy, galopowaliśmy po horyzoncie.

Potem już co noc, jeżeli tylko chmury nie zasnuły całego nieba, kładliśmy się z Branwen pod kopułą mroku. Choć uwielbiałem czytanie kościelnych rękopisów, studiowanie podniebnego manuskryptu ekscytowało mnie jeszcze bardziej. Mając Branwen za przewodnika, spędzałem wieczory w towarzystwie Łabędzia, Wodnika i Niedźwiedzia, którego pazury przejechały mi kilka razy po plecach. Stawiałem Żagiel, pływałem z Rybami, maszerowałem u boku Herkulesa.

Niekiedy podczas studiowania gwiazd wyobrażałem sobie, jak całe niebo zmniejsza się do rozmiaru jednej wspaniałej peleryny. Natychmiast ją wkładałem. Granatowa, rozgwieżdżona szata opadała mi na ramionach, połyskując w rytm moich ruchów. Gwiazdy szybowały niesione na moich barkach. Planety otaczały mi biodra. Pewnego dnia zapragnąłem mieć taką pelerynę!

Jednak nawet wtedy, kiedy cieszyłem się z mojego nowego zmysłu, nie zapominałem, ilu jeszcze rzeczy nie jest mi dane zobaczyć. Pochmurne niebo zasłaniało niektóre gwiazdy; moja pochmurna wyobraźnia skrywała więcej. Cały czas ekscytacja wszystkim, co widziałem, przewyższała frustrację

wynikającą z ograniczeń magicznego wzroku. Pomimo chmur gwiazdy nigdy nie świeciły tak jaskrawo.

Ale było we mnie mroczne miejsce, do którego nie docierało nawet światło gwiazd.

Nie przestawały mnie dręczyć duchy przeszłości. Zwłaszcza to, co zrobiłem Dinatiusowi.

Ciągle słyszałem jego krzyki, ciągle widziałem przerażenie w jego oczach, ciągle czułem, jak dotykam jego pogruchotanych i bezwładnych rąk. Kiedy zapytałem Branwen, czy Dinatius przeżył, nie umiała mi odpowiedzieć.

Wiedziała tylko, że kiedy opuszczaliśmy wioskę, walczył o życie. Co do jednego nie miałem wątpliwości: choć to on sprowokował moją furję, jego agresja nie usprawiedliwiała mojego brutalnego odwetu.

Nękało mnie jeszcze coś tkwiącego głębiej niż poczucie winy. Strach. Bałem się siebie i swoich strasznych mocy. Sama myśl o nich wzniecała w moim umyśle ścianę ognia, płomieni, które paliły mi duszę. Gdyby zabrakło mi siły woli, żeby dotrzymać obietnicy, czy nie stałbym się tylko bezwolnym narzędziem tych mocy? Jeżeli zaślepiony furją mogłem z taką łatwością powalić i człowieka, i drzewo, co jeszcze mógłbym pewnego dnia zniszczyć?

Czy mogłem unicestwić siebie samego, tak jak zrobiłem to ze swoimi oczami?

Kim tak naprawdę jestem? Być może Dinatius miał jednak rację. Być może istotnie w moich żyłach krążyła krew demona i w każdej chwili mogła wezbrać we mnie straszliwa magia, wychynąć ze mnie niczym potworny wąż wynurzający się z najmroczniejszych otchłani morza.

Tak więc nawet kiedy cieszyłem się nową jasnością swoich dni, nie przestawał mnie dręczyć mrok moich lęków. Mijały tygodnie, a mój organizm nabierał sił, tak samo jak mój dar. Towarzyszył temu jednak ciągły niepokój. W głębi duszy wiedziałem, że nigdy się go nie pozbędę - dopóki nie uda mi się odkryć swojej tożsamości.

Pewnego popołudnia usłyszałem za oknem swojej komnaty nowy odgłos. Zbliżyłem się zaintrygowany. Wyteżając magiczny wzrok, zlokalizowałem źródło dźwięku: dochodził

spomiędzy gałęzi głogu. Patrzyłem i przysłuchiwałem się przez chwilę. Potem odwróciłem się do Branwen, która siedziała tam gdzie zawsze, na podłodze obok mojego posłania, i mełła ziola.

- Na głogu uwiła gniazdo kukułka - powiedziałem z mieszanką pewności siebie i smutku, a Branwen odstawiła moździerz i tłuczek. - Przyglądam się jej - widziałem ją - w gnieździe każdego dnia. Zniosła tam swoje jedyne jajo. Strzegła je przed wrogami. A teraz, w końcu, wykuło się z niego pisklę. Z mroku wynurzył się młody ptak.

Branwen uważnie przyjrzała się mojej twarzy, po czym zapytała drżącym głosem:

- Czy młody ptak poleciał?

Pokręciłem powoli głową.

- Jeszcze nie. Ale niedługo będzie to musiał zrobić.

- Czy on... - Przełknęła ślinę i zaczęła jeszcze raz: - Czy nie mógłby pobyc z matką trochę dłużej, nie opuszczać jeszcze gniazda?

Zmarszczyłem czoło.

- Kiedy ktoś jest gotów do lotu, nie może tego odwlekać.

- Ale dokąd? Dokąd polecisz?

- W moim wypadku musi się dowiedzieć, kim jest. - Po chwili dodałem: - A żeby to zrobić, musi odnaleźć swoją przeszłość.

Branwen złapała się za serce.

- Nie. Nie mówisz poważnie. Twoje życie nie będzie nic warte, jeżeli tam wrócisz.

- Moje życie nie będzie nic warte, jeżeli tu zostanę.

Zrobiłem krok w jej stronę. Choć moje oczy nie widziały, przyjrzałem się jej magicznym zmysłem.

- Jeżeli nie możesz albo nie chcesz powiedzieć mi, skąd pochodzę, muszę to odkryć sam. Proszę cię, zrozum! Muszę poznać swoje prawdziwe imię. Muszę odnaleźć prawdziwą matkę i prawdziwego ojca. Muszę odszukać swój prawdziwy dom.

- Zostań - błagała zrozpaczona Branwen. - Masz dopiero dwanaście lat! I do tego prawie nie widzisz! Nie masz pojęcia o ryzyku. Emrysie, posłuchaj mnie. Jeżeli zostaniesz jeszcze kilka lat ze mną, wkroczysz w wiek męski. Potem zdecydujesz, kim chcesz zostać.

Bardem. Mnichem. Kim tylko zapragniesz.

Na widok pustki w moich oczach spróbowała inaczej:

- Cokolwiek postanowisz, nie podejmuj decyzji teraz. Mogę opowiedzieć ci jakąś historię, która pomoże ci lepiej rozważyć ten szalony plan. Może którąś z twoich ulubionych?

Tę o wędrownym druidzie, który uratował świętą Brygidę z niewoli? - Nie czekając na moją odpowiedź, zaczęła opowieść:

- W życiu młodej Brygidy nadszedł taki dzień, kiedy...

- Przestań - pokręciłem głową. - Muszę poznać swoją historię.

Branwen podniosła się z trudem.

- Zostawiłam za sobą więcej, niż podejrzewasz. A wiesz dlaczego? Żebyśmy byli bezpieczni, ty i ja. Czy to ci nie wystarcza?

Nic nie odpowiedziałem.

- Naprawdę musisz to zrobić?

- Mogłabyś pójść ze mną.

Oparła się o ścianę.

- Nie. Nie mogę.

- W takim razie powiedz mi, jak tam wrócić.

- Nie.

Poczułem nagłą chęć, żeby poszperać w jej umyśle jak wśród płatków kwiatu. Wtedy rozbłysły płomienie, przyćmiewając moje myśli. Przypomniałem sobie obietnicę - i lęk.

- Powiedz mi jedną rzecz - poprosiłem. - Kiedyś wspominałaś, że znałaś mojego dziadka. Znałaś też mojego ojca?

Skrzywiła się.

- Tak. Znałam go.

- Czy on... nie był człowiekiem? Czy był... demonem?

Całe jej ciało się napięło. Po długim milczeniu przemówiła nie swoim głosem:

- Powiem tyle. Jeżeli kiedykolwiek go spotkasz, pamiętaj: on nie jest tym, na kogo wygląda.

- Będę o tym pamiętał. Ale nie mogłabyś opowiedzieć mi więcej?

Pokręciła głową.

- To mój ojciec! Chcę go tylko poznać.

- Lepiej, żebyś tego nie robił.

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, pokręciła tylko smutno głową. Podeszła do niskiego stolika z kolekcją ziół leczniczych. Podniosła zręcznie kilka z nich, potem utarła je na proszek, który wsypała do skórzanej sakiewki na rzemieniu. Podając mi sakiewkę, powiedziała zrezygnowana:

- To zwiększy twoje szanse na przeżycie.

Szykowałem się do odpowiedzi, kiedy znów się odezwała:

- I weź to, od kobiety, która kazała ci nazywać się matką.

Powoli sięgnęła za pazuchę i wyciągnęła swój cenny naszyjnik. Choć nie widziałem wyraźnie, dostrzegłem połysk zieleni.

- Przecież on jest twój!

- Tobie przyda się bardziej niż mnie.

Zdjęła naszyjnik i ostatni raz ścisnęła umieszczony w środku klejnot, po czym założyła mi ramię na szyję.

- Nazywa się... Galator.

Na dźwięk tego słowa wciągnąłem powietrze.

- Dobrze go pilnuj - mówiła. - Ma wielką moc. Jeżeli on ci nie pomoże, to znaczy, że już tylko moc niebios będzie w stanie cię uratować.

- Troszczyłaś się o mnie. Zbudowałaś solidne gniazdo.

- Może na jakiś czas. Ale teraz... - Oczy miała pełne łez. - Teraz musisz odlecieć.

- Tak. Teraz muszę odlecieć.

Dotknęła delikatnie mojego policzka. Odwróciłem się i wyszedłem z komnaty, a moje kroki niosły się echem po kamiennym korytarzu.

## STARY DĄB

Kiedy przekroczyłem próg rzeźbionych drewnianych wrót kościoła Świętego Piotra, wszedłem w chaos i harmider Caer Myrddin. Trwało chwilę, zanim mój nowy, słabszy wzrok dostosował się do zamieszania. Wozy i konie klekotały na kamiennych uliczkach, tak jak osły, świnie, owce i kilka kudłatych psów. Handlarze przekrzykiwali się, zachwalając swoje towary, żebracy łapali za szaty przechodniów, wokół zonglującego na ulicy mężczyzny zbierali się widzowie, a mijali ich przeróżni ludzie z koszami, zawiniątkami, świeżymi warzywami i belami materiału.

Zerknąłem przez ramię na głóg, którego gałęzie ledwie widziałem nad murem kościoła. Wiedziałem, że pomimo bólu, którego doświadczyłem w tym miejscu, będę tęsknić za spokojem mojej komnaty, powolnym śpiewem zakonnic, ptakiem ukrytym w gęstwinie tego drzewa. Co więcej, na pewno będę tęsknił za Branwen bardziej, niż się tego spodziewałem.

Przyglądając się rozmazanej plamie ludzi, zwierząt i towarów, zauważyłem po przeciwnej stronie ulicy coś na kształt kapliczki. Zaciekawiony, postanowiłem lepiej się temu przyjrzeć, choć wymagało to przedostania się na drugą stronę wartkiego strumienia przechodniów. Zagryzłem wargę i ruszyłem naprzód.

Od razu poczułem trącanie, kopanie i popychanie. Ponieważ nie widziałem na tyle dobrze, żeby wymijać ludzi, wpadłem na mężczyznę niosącego drewno na opał. Gałęzie rozsypały się na wszystkie strony. Za nimi posypały się przekleństwa. Potem wszedłem prosto w bok konia. Kilka sekund później prawie straciłem palce stóp pod kołem wozu.

Jednak jakoś udało mi się przedostać na drugą stronę. Podeszedłem do kapliczki.

Nie był to żaden okazały pomnik, lecz zwykła rzeźba sokoła nad miską brudnej wody.

Jeżeli ktoś się tym miejscem w ogóle opiekował, to nie zaglądał tu od lat. Skrzydła ptaka odłamały się. Kamienie wokół podstawy kruszyły się. Prawdopodobnie zaledwie garstka przechodzących tu co dzień ludzi zwracała uwagę na ołtarz.

Jednak coś w tej starej, zapomnianej kapliczce mnie zaintrygowało. Zbliżyłem się i dotknąłem wytartego dziobu ptaka. Z opowieści Branwen mogłem wywnioskować, że ołtarz postawiono, by uhonorować Myrddina, jednego z najbardziej czczonych bogów dawnych Celtów, który czasem przybierał postać sokoła. Jednego z ich Apollów, jak powiedziałyby Branwen. Choć nadal nie mogłem się zgodzić z jej teorią, jakoby takie duchy nadal istniały, wróciłem myślami do jelenia i dzika, które walczyły o nas kilka lat temu. Jeżeli to byli istotnie Dagda i Rhita Gawr, czy istniało prawdopodobieństwo, że duch Myrddina również jeszcze żył?

Wpadł na mnie obładowany ciężkimi sakwami osioł. Przewróciłem się na kapliczkę, a dłoń wpadła mi do mętnej wody. Kiedy się podniosłem i otrzepałem rękę, spróbowałem sobie wyobrazić, jak wiele wieków temu mogłoby wyglądać Caer Myrddin. Branwen powiedziała mi, że zamiast gwarnego miasta było tu tylko spokojne wzgórze ze źródłem, przy którym przystawali wypocząć

wędrowni pasterze. Z czasem okolica zamieniła się w ośrodek handlu, do którego przywożono towary z gospodarstw Gwynned i rejonów tak odległych jak Gwent, Brycheiniog i Powys Fadog. Kiedy przybyli Rzymianie, postawili fortecę na stromych brzegach Tywy. A teraz stare drogi wojskowe, tak jak ta prowadząca do Caer Vedwyd, łączyły miasto z porośniętymi bujną roślinnością dolinami i pełnymi jeleni lasami na północy, jak również prowadziły wzdłuż rzeki do morza. Nawet jeżeli nikt w tych czasach nie zadawał

sobie trudu, żeby wspominać takie sprawy, ten rozsypujący się ołtarz - i sama nazwa miasta - nawiązywały do odległej przeszłości Caer Myrddin.

Zdałem sobie sprawę, że to był cel mojej podróży. Odkryć swoje imię. Odnaleźć swoją przeszłość. Dom. Rodziców. I choć nie miałem pojęcia, dokąd mogła mnie zaprowadzić ta podróż ani gdzie miał być jej koniec, nagle zrozumiałem, gdzie powinna się zacząć.

Morze. Muszę wrócić do morza. Do miejsca, w którym fale wyrzuciły mnie ponad pięć lat temu na skały.

Być może po przybyciu na tamten złowrogi brzeg napotkam tylko poszarpane głązy, pisk mew i falujące morze. A może znajdę jakąś wskazówkę, której poszukiwałem. Albo przynajmniej wskazówkę, gdzie szukać wskazówki. Nie przedstawiało się to szczególnie obiecująco, ale to była moja jedyna nadzieja.

Wiele godzin musiało upłynąć, kiedy wędrowałem po mieście, starając się trzymać bocznych uliczek, żeby mnie nie stratowano. Jakby trzeba mi było przypominać, że słabo widzę, potknąłem się wiele razy, boleśnie obijając sobie palce w skórzanych butach. Jednak nie poddawałem się. Choć z pewnością wielu ludzi wzięło mnie - słusznie - za oferwę, nie miałem wątpliwości, że niewielu z nich zdawało sobie sprawę, iż moje oczy były zupełnie bezużyteczne.

Słowa współczucia, które zdarzało mi się usłyszeć, odnosiły się do moich blizn, nie zaś ślepoty.

W końcu dotarłem do murów miasta, grubych na dziesięć kroków i wysokich na dwa razy tyle. Przeszedłem po szerokim moście, uważnie, żeby nie potknąć się o nierówne kamienie. Potem ruszyłem dalej leśną doliną.

Kiedy wędrowałem wzdłuż rzeki, ostrożnie stawiałem każdy krok. Gdybym choć na chwilę się zdekoncentrował, niechybnie upadłbym na ziemię. Wielokrotnie tak właśnie się kończyło. Raz przewróciłem się na środku placu i omal nie stratował mnie osioł.

Jednak dawałem sobie radę. Szedłem przez trzy dni, żywiłem się malinami, jeżynami oraz gomółką sera, którą dostałem od zakonnicy. Przez ten czas z nikim nie rozmawiałem i nikt nie rozmawiał ze mną. Pewnego dnia o zmierzchu pomogłem pasterzowi wyciągnąć jagnię z jamy i dostałem w podziękę piętke chleba, ale to był mój jedyny kontakt z innymi ludźmi.

Z czasem droga przeszła w prowadzącą przez Caer Vedwyd starą ścieżkę flisacką. Po rzece pływały barki, mijając rodziny kaczek i łabędzi. Ostatni odcinek do wioski pokonałem pod osłoną lasu,



poruszając się równolegle do ścieżki. Dzięki temu nikt mnie nie zobaczył. Co jakiś czas żywiłem się korzonkami, jagodami i jadalnymi liśćmi. Napiłem się jeszcze raz wody ze strumyka pod wielką sosną, gdzie złapała mnie burza, lecz pożałowałem, że zszedłem niżej. O dziwo, lepiej się czułem tutaj, w dzikim lesie, niż gdziekolwiek indziej w Gwynedd.

Później tego popołudnia zatrzymałem się nieopodal mostu w Caer Vedwyd.

Dostrzegłem wysoki, choć powyginany kształt po drugiej stronie. Wyteżyłem zmysły, podczas gdy wokół hulał wiatr. To mogło być stare drzewo, choć nigdy wcześniej nie zauważyłem w tym miejscu drzewa. Nie mogłem oprzeć się poczuciu, że to powyginane ciało człowieka - człowieka, który miał kikuty zamiast rąk.

Nie zatrzymywałem się. Pomimo przeszkód przedzierałem się przez las, omijając kilka kolejnych wiosek. Cienie się wydłużały, mój zmysł postrzegania słabł, więc wędrowałem coraz wolniej. W końcu, kiedy zostawiłem ludzi daleko w tyle, dotarłem na szeroką łąkę. Poobcierany od upadków i wymęczony marszem, znalazłem wgłębienie w miękkiej trawie i ułożyłem się, zwinięty w kłębek, do snu.

Obudziły mnie promienie słońca na twarzy. Przeciąłem łąkę i dotarłem do drogi nieopodal miejsca, gdzie odchodziła od rzeki. Ale oprócz jednego starszego mężczyzny, któremu postrzępiona siwa broda podskakiwała na piersi wraz z każdym jego krokiem, nie spotkałem nikogo. Kiedy przyglądałem się starcowi, znowu pożałowałem, że nie mogę jeszcze zapuścić brody, by ukryć koszarne blizny. Może pewnego dnia. Jeżeli dożyję.

Pomimo braku jakichkolwiek osad nie czułem się zdezorientowany. Szlak do morza zadziwiająco dobrze utkwiał mi w pamięci. Choć przebyłem go tylko raz w życiu, wiele razy przemierzyłem go w snach. Przyspieszyłem kroku. Zdawało mi się, że słyszę w oddali odgłos fal uderzających o brzeg.

Co jakiś czas sięgałem za pazuchę i dotykałem Galatora. Choć wiedziałem o nim niewiele, świadomość, że tam jest, dodawała mi otuchy. To samo dotyczyło skórzanej torby Branwen, którą miałem na ramieniu.

Stara droga stopniowo pogarszała się, aż została po niej tylko zarośnięta trawą ścieżka. Doprowadziła mnie do wyrwy w ścianie kruszejących klifów. Wyczuwałem w powietrzu delikatny powiew soli. Znałem to miejsce, intuicja mówiła mi, że to tu.

Czarna skała wznosiła się pionowo na dwudziestokrotność mojego wzrostu. Mewy trójpalczaste wrzeszczały i nurkowały między granie. Szlak skręcał gwałtownie w prawo i kończył się w miejscu, które było mi znane.

Przy oceanie.

Przede mną rozciągały się szaroniebieskie wody, bez końca i bez dna. Od zapachu krasnorostów kręciło mnie w nosie. Fale przyływały i cofały się, rozcierając piasek o skały.

Krążące nad brzegiem mewy skrzeczały hałaśliwie.

Przekroczyłem barierę czarnych skał, minąłem baseny pływowe i odłamki wyrzuconego na brzeg drewna. Nic się nie zmieniło, pomyślałem. Kiedy fale obmywały mi stopy, spojrzałem na zachód. Mgła nad wodą stopiła się z mgłą przesłaniającą mi wzrok.

Wyteżyłem zmysły, ale bezskutecznie.

Nic się nie zmieniło. Czarne skały, słona bryza, niekończący się rytm fal. Tak jak wtedy. Czy gdzieś tu była ukryta wskazówka? A jeżeli tak, jak mogłem ją odnaleźć? Morze było tak olbrzymie, a ja taki... maleńki. Głowa opadła mi na pierś. Zacząłem chodzić bez celu, a moje skórzane trzewiki rozpryskiwały chłodną wodę.

Wtedy ujrzałem jeden kształt, który się zmienił. Pradawny dąb, choć nadal gigantyczny, teraz stał obdarty z większości kory, której poszarpane kawałki leżały między korzeniami. Szczątki gałęzi wały się porozrzucane na kamienistej plaży. Nawet jama w pniu, w której przetrwałem atak dzika, była przedziurawiona, jej ściany połamały się i odkształciły. Stare drzewo w końcu umarło.

Podchodząc do jego szczątków, potknąłem się i uderzyłem golenią o ostrą skałę.

Stłumiłem jednak odruchowy okrzyk bólu, nie chcąc przyciągać uwagi dzików, które mogły przebywać w pobliżu. Nie wiedziałem, czy tamten dzik to był naprawdę Rhita Gawr, ale krwiożerczości nie można było mu odmówić. Gdyby zwierz pojawił się teraz, nie miałbym gdzie się schować. I raczej nie mogłem liczyć na pomoc Dagdy.

Bolały mnie ramiona i nogi. Usiadłem na martwych korzeniach. Przebiegłem dłonią po krawędzi jamy; dało się jeszcze wyczuć ślady kłów dzika. To wspomnienie było tak żywe, tak bliskie. Niemniej z tego pradawnego drzewa, którego potęga wydawała się wieczna, został

zaledwie szkielet.

Kopnąłem kawałek kory, świadom, że mój los jest niewiele lepszy. Wróciłem do tego miejsca, nawet jeżeli jeszcze żywy, to bliski śmierci. Byłem prawie zupełnie ślepy.

Kompletnie zagubiony.

Usiadłem z głową w dłoniach. Przyglądałem się linii brzegu nieobecny wzrokiem.

Widziałem, że przypływ się cofa. Stopniowo poszerzało się pasmo między ostrymi skałami a morzem - kontury tej połączy piasku układały się w miniaturowe góry i oceany.

Po piaskowym krajobrazie przebiegł krab pustelnik. Patrzyłem, jak krab zмага się z zakopaną do połowy muszlą na skraju basenu pływowego. Po długiej próbie drapania i chwytania w końcu otrzymał nagrodę: konchę pokrytą lekko pomarańczowymi smugami.

Wyobraziłem sobie, jak krab świętuje znalezienie w końcu nowego domu. Jednak zanim mógł

się nacieszyć swoim sukcesem, niespodziewana fala zabrała mu muszlę. Ta zsunęła się do płytkiego basenu, gdzie unosiła się niczym miniaturowa tratwa, podskakując w rytm fal.

Na widok bezradnego kraba przypatrującego się, jak jego cenna zdobycz odpływa, pozwoliłem sobie na sardoniczny uśmiech. Tak to wygląda. Człowiek myśli, że odniósł

zwycięstwo, po czym wszystko traci. Człowiek myśli, że odnalazł dom, po czym patrzy, jak zabierają mu go fale.

Fale. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem.

Szalony, wariacki, niemożliwy do zrealizowania.

Zbuduję tratwę! Być może drzewo, które już kiedyś mi pomogło, znowu okaże się przydatne. Być może ten przypływ, który kiedyś wyrzucił mnie na brzeg, teraz wyniesie mnie na szerokie morze. Muszę im zaufać. Po prostu zaufać. Drzewu. Falom.

Nie miałem nic do stracenia - oprócz życia.



# ŻEGLOWANIE

Zbudowałem tratwę, wiążąc podłużnymi kawałkami kory połamane konary starego dębu. Polegając tylko na swoim magicznym wzroku, często źle oceniałem wytrzymałość węzłów i niewłaściwie dobierałem konary. Mimo to, gałąź za gałęzią, moja tratwa się powiększała. Na środku umieściłem duży, wklęsły kawałek z jamy drzewa, który miał być moim siedzeniem. Brzegi tratwy związałem kilkoma długimi pasmami krasnorostów, które znalazłem między skałami.

Kiedy skończyłem, słońce właśnie zachodziło. Pociągnąłem prowizoryczną łódź na skraj fal. Ni z tego, ni z owego przed odbiciem od brzegu podbiegłem do basenu pływowego, gdzie ciągle unosiła się koncha. Wyłowiłem ją i położyłem na piasku, żeby krab mógł znaleźć swój dom.

Pisk mew był jak śmiech, kiedy wkraczałem w chłodne fale. Przed wdrapaniem się na wąty statek zawahałem się. Wzywały mnie dwa światy. Stałem na ich granicy - lądu i morza, przeszłości i przyszłości. Na chwilę moja determinacja osłabła. Woda chlupotała mi o uda, ta sama, w której kiedyś prawie utonąłem. Być może postępowałem zbyt pochopnie. Być może powinienem wrócić na brzeg i obmyślić lepszy plan.

Wtedy zauważyłem złotą poświatę na resztkach starego drzewa. Promienie zachodzącego słońca otoczyły pień płomienną aureolą. Przypomniałem sobie wtedy inne drzewo, którego płomienie nadal w głębi duszy mnie paliły. I wiedziałem, że muszę znaleźć odpowiedzi na moje pytania.

Wdrapałem się na tratwę. Usadawiłem się we wklęsłym środku, podwinąłem nogi przed sobą. Jeszcze raz spojrzałem na czarne klify, potem odwróciłem się od brzegu.

Zanurzyłem dłonie w chłodnej wodzie i wiosłowałem nimi przez chwilę, aż ręce mi się zmęczyły. Od blasku zachodzącego słońca, nadal na tyle silnego, by ogrzać moją mokrą skórę, woda mieniła się tyloma kolorami, że niektórych nawet nie wychwytywałem. Jednak na przekór ślepotcie wyczuwałem siatkę różowych i złotych świateł tańczących tuż pod falami.

Kiedy prąd niósł mnie coraz dalej od brzegu, na plecy opadła mi bryza. Dokąd zabierze mnie morze, tego nie wiedziałem. Musiałem mu zaufać.

Pomyślałem o dawnych żeglarzach, jak Bran Błogosławiony, Odyseusz i Jonasz, których historie usłyszałem od Branwen. I zastanawiałem się, czy kogokolwiek oprócz Branwen mogłaby obchodzić moja oceaniczna wyprawa. Miałem nadzieję, że pewnego dnia będę mógł jej o niej opowiedzieć. Ale w głębi duszy wiedziałem, że już nigdy jej nie zobaczę.

Minęła mnie czarnogłowa mewa przeczesująca wzrokiem powierzchnię fal w poszukiwaniu kolacji. Zaskrzeczała głośno, przechyliła się w stronę tratwy i usiadła na jednym ze zwisających z boku krasnorostów. Schwyciła dziobem zielony liść i zaczęła go zaciekle wyciągać.

- Uciekaj!

Machnąłem jej przed oczami. Ostatnie, czego mi było teraz trzeba, to żeby głodne ptaszysko rozszarpało moją łupinę.

Mewa puściła krasnorost, odleciała, skrzecząc, po czym okrążyła tratwę. Chwilę potem ponownie wylądowała - tym razem na moim kolanie. Oko ptaka, które wydawało mi się żółte jak słońce, bacznie mi się przyglądało. Najwyraźniej mewa doszła do wniosku, że jestem za duży (albo za twardy), aby mnie zjeść, bo przechyliła czarną głowę i odleciała na dobre, kierując się z powrotem do brzegu.

Ziewnąłem, przyglądając się znikającemu ptakowi. Nieustanne bujanie fal usypiało mnie, tym bardziej że byłem zmęczony po wielodniowej wędrówce przez Caer Myrddin. Ale jak miałem położyć się do snu? Mogłem zsunąć się z tratwy albo, co gorsza, przegapić coś ważnego.

Spróbowałem wypocząć bez snu. Skuliłem się i oparłem głowę o kolana. Aby nie zasnąć, skoncentrowałem się na zachodzącym powoli słońcu. Wielka płonąca kula wisząca teraz nad samą wodą opromieniała fale migotliwym pasmem światła, które sięgało mojej tratwy. To była złota aleja, droga przez wodę.

Zastanawiałem się, dokąd może prowadzić ta ścieżka. Tak samo jak zastanawiałem się, dokąd może prowadzić droga, którą obrałem.

Zerknąłem przez ramię i stwierdziłem, że odpłynąłem już na sporą odległość od brzegu. Choć bryza zelżała, dotarło do mnie, że tratwa mogła natrafić na prąd morski.

Podskakiwałem na falach, które ciągle mnie ochlapwały. Jednak pomimo bujania moje przewiązy miały się dobrze, również drewno okazało się solidne. Oblizując wargi, posmakowałem słonej mgiełki. Kiedy położyłem znowu głowę na kolanach, nie mogłem opanować kolejnego ziewnięcia.

Nabrzmiąte szkarłatne słońce rozpałiło chmury barwami, które częściowo udało mi się dostrzec. Wyraźniej wyczuwałem kształt słońca, kiedy rozpląszczało się na horyzoncie.

Chwilę później, niczym bańka, która w końcu pękła, zniknęło ono pod falami.

Nie zauważyłem nadejścia ciemności, gdyż zmorzył mnie sen.

Obudziło mnie gwałtowne chlupnięcie zimnej wody. Dokoła najciemniejszego sierpa księżyca, jaki kiedykolwiek widziałem, zebrało się mnóstwo gwiazd. Wsłuchałem się w bezustanne bujanie i ssanie fal, w uderzenia wody o drewno. Tej nocy już nie spałem.

Dygocząc, podciągnąłem nogi do piersi. Mogłem tylko czekać na to, co miało mi ukazać morze.

Kiedy wzeszło za mną słońce, odkryłem, że wybrzeże Gwynedd zniknęło. Nawet potężne klify przestały być widoczne. Tylko słaby kontur chmury rozciągał się jak chorągiew z miejsca, które wedle mojego rozeznania było szczytem Y Wyddfa, choć nie mogłem być pewien.

Zauważyłem, że drewniana belka wysunęła się z przewiązu, i szybko to naprawiłem.

Dzień mijał, a plecy i nogi okropnie mi zdrętwiały, lecz nie mogłem wstać i ich rozprostować, bo moja łódź by się wywróciła. Fale uderzały bezlitośnie w tratwę i we mnie. Słońce prażyło mi kark. W ustach i w gardle paliło mnie pragnienie, w miarę upływu dnia coraz silniejsze.

Nigdy wcześniej nie chciało mi się tak bardzo pić.

O zachodzie słońca dostrzegłem grupę dużych opływowych kształtów skaczących nad powierzchnią oceanu. Choć było to siedmiu albo ośmiu osobników, wszyscy pływali w doskonałej harmonii. Poruszali się jak jedna fala, wznosili się i opadali. Potem, mijając tratwę, grupa zmieniła kierunek i opłynęła mnie dokoła. Stworzenia okrążyły mnie raz, dwa, trzy razy, wyskakując do góry i wskakując w pozostawione przez siebie na wodzie ślady.

Czy to były delfiny? Czy może ludzie morza? Ci, których Branwen nazywała ludem mer, ci, którzy mieli ciało po części człowieka, a po części ryby? Nie widziałem na tyle dobrze, żeby to stwierdzić. Jednakże ich obecność mnie urzekła. Kiedy stworzenia te odpływały, a ich ciała lśniły w złotym świetle, obiecałem sobie, że jeżeli tylko będę żył

wystarczająco długo, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zbadać tajemnicze podmorskie głębiny.

Minęła kolejna noc równie zimna jak poprzednia. Sierp księżycy zupełnie zniknął

wchłonięty przez gwiazdy. Nagle przypomniałem sobie gwiazdozbiory i opowieści Branwen o ich pochodzeniu. Po długim wypatrywaniu udało mi się znaleźć kilka z nich, w tym jeden z moich ulubionych, skrzydlatego Pegaza. Wyobraziłem sobie, że nieustanne huśtanie tratwy to galop, galop wierzchowca po niebie.

Zasnąłem i przyśniło mi się, że jestem na grzbiecie potężnego skrzydlatego stwora, choć nie byłem pewien, czy to Pegaz. Nagle poszybowaliśmy na pole walki. Wyrósł przed nami mroczny zamek, którego broniły duchy. I owszem! Zamek się obracał, kręcił się na swoich fundamentach. Pociągał nas w dół, do kręcącego się gmachu. Usiłowałem za wszelką cenę zmienić kurs, ale nie mogłem. Za kilka sekund zderzymy się z murami zamku.

W tym momencie się obudziłem. Zadrzałem, nie tylko z zimna. Sen chodził mi po głowie jeszcze następnego dnia, choć nie udało mi się zgłębić jego znaczenia.

Późnym popołudniem horyzont na zachodzie zrobił się czarny. Niespotykane wysokie fale miały moją łodzią na wszystkie strony, a wiatr chlustał na mnie wodą. Tratwa skrzypiała i trzeszczała. Kilka pasm krasnorostów pękło, a w dużym kawałku drewna z jamy starego dębu pojawiła się rysa. Jednak koniec końców burza minęła mnie bokiem.

O zmierzchu powróciły łagodniejsze fale. Byłem oczywiście przemoczony do suchej nitki i straszliwie spragniony, ale ani mnie, ani mojej łodzi nic się nie stało.

Tej nocy zrobiłem, co mogłem, by naprawić zerwane więzy. Potem, kiedy siedziałem po turecku, przejmujący wiatr zaczął smagać mnie po twarzy. Inny cień, ciemniejszy niż wcześniej, przesłonił gwiazdy. Szybko zakrył południowe niebo, potem sklepienie nade mną, aż w końcu całe niebo zrobiło się czarne.

Zostałem wchłonięty przez ciemność i magiczny wzrok opuścił mnie, bezużyteczny w tak pełnym mroku. Nic nie widziałem! Byłem ślepy jak po przybyciu do kościoła.

Potężne fale zaczęły się unosić i wirować, rzucając tratwę na wszystkie strony jak gałązką. Woda zmoczyła mi twarz, plecy, ręce i nogi. Tym razem burza nie przeszła bokiem.

Wzmagająca się, z każdą minutą przybierała na sile. Schyliłem się nisko na siedzeniu i skuliłem jak drżący o własne życie jeż. Złapałem się krawędzi tratwy i przyłgnałem do skrawków drewna, które utrzymywały mnie na wodzie.

Moje moce! Przez chwilę rozważałem, czy z nich nie skorzystać. Być może udałoby mi się scalić tratwę albo wręcz uspokoić fale! Ale nie. Złożyłem obietnicę. Poza tym moce te wzbudzały we mnie silny lęk, silniejszy nawet niż ta straszna wichura. Tak naprawdę nie wiedziałem właściwie nic o magii - poznałem tylko jej straszliwe konsekwencje: woń palonego ciała, krzyki, potworny ból moich płonących oczu. Niezależnie od tego, jak mogłyby mi pomóc moje zdolności, wiedziałem, że nigdy więcej ich nie użyję.

Przez całą czarną noc burza wyla i szalała. Spadały na mnie ściany wody. Tłukły mnie gigantyczne fale. W pewnej chwili przypomniałem sobie historię Brana Błogosławionego, który przetrwał gwałtowny sztorm, co dodało mi nadziei, że być może i ja przeżyję. Jednak nadzieja ta niebawem zatonąła w starciu z oceanem.

Moje dłonie zdrętwiały z zimna, jednak nie odważyłem się puścić się tratwy, żeby je rozgrzać. Kolejne krasnorosty popękały. Jeden kawałek drewna pękł wzdłuż. Bolały mnie plecy, choć ból serca był silniejszy. W głębi duszy wiedziałem bowiem, że ten sztorm będzie końcem mojej podróży.

Wschodzące słońce tylko nieznacznie rozświetliło niebo, ale to wystarczyło, żebym mógł rozróżniać kształty. Mój dar widzenia zaczął wracać, kiedy potężna fala uderzyła z taką mocą, że nie mogłem złapać tchu. Tratwa podskoczyła i w końcu pękła.

W tej przerażającej chwili zostałem wyrzucony w kipiącą topliwą i miotającą mną prądy.

Szczęśliwy przypadek sprawił, że trafił mi w ręce unoszący się na powierzchni kawałek drewna. Zakryła mnie kolejna fala, i kolejna, i kolejna.

Traciłem siły i mój uchwyt słabł. Sztorm nadal szalał. Kiedy nadchodził nowy dzień, nie miałem wątpliwości, że będzie on moim ostatnim. Nie zauważyłem chmury o dziwnym kształcie, która unosiła się nisko nad morzem, choć wyglądała jak wyspa z mgły.

Krzyknąłem rozpaczliwie i wypuściłem drewno z rąk. Woda zalała mi płuca.

CZEŚĆ DRUGA



# XII

## POWALONY WOJOWNIK

Przestało bujać.

Przestałem się topić.

Ponownie w swoim życiu obudziłem się na nieznanym brzegu. Ten sam szum morza wypełniał moje uszy. Ten sam słonawy smak zalegał na moich ustach. Ten sam lęk ścisnął

mój żołądek.

Czyżby koszmar moich lat w Gwynedd był tylko snem? Okropnym, dziwnym snem?

Znałem odpowiedź, jeszcze zanim moje oblepione piaskiem palce dotknęły blizn na policzkach i bezużytecznych oczu. I Galatora na szyi. Kraina Gwynedd była prawdziwa. Tak prawdziwa jak dziwny, intensywny zapach, który unosił się w powietrzu w miejscu, w którym się znalazłem.

Przewróciłem się na bok, przygniatając biodrem muszlę. Podniosłem się i zacząłem łykać powietrze. Miało słodki smak letniej łąki, lecz ostrzejszy. Prawdziwszy.

Niedaleko słyszałem szum przyplływających fal, ale mój magiczny wzrok ich nie dostrzegał. Nie wynikało to z jego ograniczeń. Fale były skryte za kłębamii mgły, mgły tak gęstej, że wszystko zasłaniała.

Za ścianą mgły wychwytywałem intrygujące kształty, które układały się na kilka sekund, po czym znikaly. Zobaczyłem wielkie sklepienie przejście z zamkniętymi wrotami.

Kiedy się rozplnęło, jego miejsce zajął spiczasty ogon, tak dużych rozmiarów, jakby należał do smoka. Potem na moich oczach ogon przemienił się w gigantyczną głowę z kartoflowatym nosem. Niczym olbrzym utkany z mgły obróciła się ona powoli do mnie, poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, po czym rozproszyła się w kłębach.

Rozejrzałem się, skręcając zdrętwiały grzbiet. Ta plaża, w odróżnieniu od północnego wybrzeża Gwynedd, łagodnie spajała ląd z morzem. Wybrzeże nie było usiane zbitkami ostrych skał, na drobnoziarnistym piasku widać było tylko różowe, białe i purpurowe muszle.

Obok mojej stopy liściaste pnącze wiło się po plaży jak lśniący zielony wąż.

Róż. Purpura. Zieleń. Serce zabiło mi mocniej. Wyczuwałem barwy! Może nie tak dobrze jak we wspomnieniach sprzed pożaru, ale znacznie lepiej niż wtedy, zanim morze roztrzaskało moją tratwę na kawałki.

Ale chwileczkę. To nie mogła być prawda. Kiedy badałem swoją skórę, a potem fałdy mojej tuniki,

widziałem, że ich kolory nie były intensywniejsze niż przedtem.

Zerknąłem znów na plażę i zrozumiałem. Nie widziałem lepiej. To krajobraz mienił się barwami. Muszle, lśniące liście, nawet piasek - wszystko było tu jaskrawsze i wyrazistsze.

Jeżeli mój dar pozwalał mi postrzegać tak intensywne kolory, to jakież żywe musiały być dla zdrowych oczu!

Podniosłem jedną z muszli w kształcie spirali. Purpurowe linie owijały się wokół jej lśniącej bieli. Dobrze leżała mi w dłoni, jakby była moją przyjaciółką.

Przyłożyłem muszlę do ucha, gdyż spodziewałem się usłyszeć w jej wnętrzu szum wody. Zamiast tego doszedł mnie dziwny, lekko chropawy, odległy głos. Szeptał w niezrozumiałym dla mnie języku. Usiłował mi coś powiedzieć.

Wstrzymałem oddech. Opuściłem muszlę i zajrzałem do środka. Wnętrze wydawało się zwyczajne. Wyobraźnia musiała mi spleść figła. Znowu przyłożyłem ją do ucha. I znów ten głos! Tym razem wyraźniejszy. Wydawało mi się, że mówi: Strzeeeeż się... strzeeeeż się.

Odłożyłem szybko muszlę. Miałem spocone dłonie, czułem ucisk w żołądku.

Wstałem. Bolały mnie odrętwiałe nogi, ręce i plecy. Zerknąłem jeszcze raz na muszlę, potem pokręciłem głową. Woda naląła mi się do uszu. Może to dlatego.

Woda. Muszę znaleźć słodką wodę. Gdybym ugasił pragnienie, poczułbym się lepiej.

Wdrapałem się na wznoszącą się nad plażą wydmxę. Widok zapał mi dech w piersiach.

Daleko na zachód rozciągał się gęsty las, a w nim kolorowe ptaki śmigwały między strzelistymi drzewami. Wzdłuż horyzontu wyrastały fale spowitych mgłą wzgórz, gdzie zieleń lasu przechodziła w granat. Przed lasem rozpościerał się miękki dywan porośniętej bujną roślinnością doliny. Mieniące się w słońcu strumienie wypływały z lasu i przez łąki, po czym łączyły się w wielką rzekę, która prowadziła do morza. W oddali widać było kolejną połąć drzew, choć te, mniej dzikie i rosnące w równych rzędach, przypominały zasadzony przez kogoś dawno temu sad.

Miałem zejść do doliny i ugasić pragnienie, kiedy moją uwagę zwróciło coś jeszcze.

Choć widziałem tylko kawałek wschodniego brzegu rzeki, wydawał się on dużo mniej zielony niż teren po drugiej stronie. Był raczej brązowo-czerwony, barwy suchych liści. Albo rdzy.

Na początku trochę mnie to zaniepokoiło, ale potem pomyślałem, że to prawdopodobnie jakiś dziwny gatunek roślin. Może też złudzenie optyczne wywołane masą czarnych chmur wiszących nad horyzontem na wschodzie.

Ogromnie spragniony, skierowałem się do lasu i porośniętej bujną zielenią doliny przed sobą. Czas się napić! Potem zbadam spowitą mgłą wyspę, jeżeli to faktycznie była wyspa. Nie umiałem wyjaśnić

dlatego, ale miałem ochotę tu zostać i rozejrzeć się po okolicy

- pomimo dziwnego doświadczenia z muszlą. Być może stały za tym żywe kolory. A może po prostu ufałem falom, które mnie tu przywiodły. Tak czy inaczej miałem zamiar zatrzymać się tu na chwilę - ale tylko na chwilę. Jeżeli nie znajdę wskazówek na temat swojej przeszłości, bez wahania ruszę dalej. Zbuduję kolejną łódź, solidniejszą od poprzedniej, i będę kontynuował wyprawę.

Zacząłem schodzić po wydmie. Piasek zastąpiła trawa, której smukłe źdźbła pochylały się na wonnym wietrze. Choć nadal byłem odrętwiały po podróży, schodząc, przyspieszyłem.

Po chwili biegłem już po otwartym polu. Czułem wiatr na twarzy i uświadomiłem sobie, że biegnę pierwszy raz, od kiedy wyruszyłem z Caer Myrddin.

Dotarłem do jaskrawego strumienia i ukląknąłem na brzegu przy omszałych kamieniach.

Natychmiast zanurzyłem całą głowę. Zetknięcie skóry z czystą, zimną wodą orzeźwiło mnie równie intensywnie, jak wcześniej zszokowały mnie barwy i zapachy tej krainy. Piłem, aż poczułem się napompowany, beknąłem i piłem dalej.

W końcu zaspokojony, oparłem się na łokciu, połykając już nie wodę, lecz rześkie, wonne powietrze. Trawa łaskotała mnie w brodę. Leżąc wśród wysokich traw, przypominałem brązową kłodę przy strumieniu. Wsłuchałem się w subtelny szelest ocierających się o siebie łodyg, opadający i wzmagający się w lesie wiatr, miarowe płasanie wody. Długonogi chrząszcz w czerwonym odcieniu pełzł leniwie po fałdach mojej tuniki.

Z zadumy wyrwał mnie nagły świst powietrza tuż nad moją głową. Coś przeleciało obok mnie jak strzała tak szybko, że nie miałem pojęcia, co to takiego. Ostrożnie się uniosłem. Magicznym wzrokiem wychwyciłem jakiś ruch w trawie, w dole strumienia.

Wstałem.

Z trawy dobiegł mnie przenikliwy gwizd, a potem syk i warczenie. Gniewne odgłosy przybierały na sile, kiedy się zbliżałem. Kilka kroków dalej zatrzymałem się oniemiały.

Przede mną walczył największy szczur, jakiego widziałem, gruby jak moje udo, z potężnymi nogami i zębami ostrymi jak sztylety. Jego przeciwnikiem był mały sokół z pręgowanym brązowym ogonem i szarym grzbietem. Drzemlik\*. Choć szczur był

przynajmniej trzy razy większy od ptaka, pojedynek wydawał się wyrównany.

\* (ang.) merlin - przyp. tłum.

Zwierzęta zmagaly się zaciekle. Silne szpony drzemlika mocno wczepiły się w kark szczura. Ten się wił, próbując gryźć i drapać głowę przeciwnika, uderzając nim o ziemię. Ptak był jednak zaskakująco odważny mimo niepozornych rozmiarów, gdyż tylko zaskrzeczał i jeszcze głębiej wbił szpony, przebijając nimi twardą skórę szczura i raniąc go do krwi.

Furkotały pióra, krew bryzgała na trawę. Zwierzęta kotłowały się wściekle, drapiąc, gryząc i warcząc.

Walka mogła tak trwać bez wyłonienia zwycięzcy, gdyby nie to, że z zarośli przy strumieniu wyszedł drugi szczur. Czy powodowany lojalnością wobec swojego pobratymca, czy - co bardziej prawdopodobne - znechęny perspektywą łatwej zdobyczy, ruszył do boju.

Wgryzł się w skrzydło drzemlika i zaczął szarpać go zaciekle.

Drzemlik zaskrzeczał z bólu, ale wytrzymał atak. Drugi szczur, ten z pyskiem poszarpanym przez ptasi dziób, rozluźnił uchwyt i zaszedł małego sokoła z drugiej strony.

Poharatane skrzydło ptaka zwisało teraz bezwładnie i odpadł mu jeden szpon. Wyczuwając zwycięstwo, drugi szczur strzepnął pierze, które utkwilo mu między zębami. Napiął nogi, szykując się, żeby skoczyć na osłabionego ptaka.

Wtedy podbiegłem i kopnąłem drugiego szczura w pierś tak mocno, że poturlał się w zarośla. Na ten widok pierwszy szczur przestał się miotać i spiorunował mnie spojrzeniem krwistoczerwonych oczu. Brutalnie cisnął drzemlika na ziemię. Ptak leżał na grzbiecie, zbyt słaby, żeby się ruszyć.

Szczur syknął groźnie. Podeszedłem bliżej. Podniosłem dłoń, markując uderzenie.

Szczur, najwyraźniej zmęczony już walką, odwrócił się i czmychnął między trawy.

Nachyliłem się, żeby zbadać drzemlika. Jego oczy, dwa czarne punkciki w żółtych obwódkach, choć ledwie otwarte, przyglądały mi się uważnie. Kiedy sięgnąłem po ptaka, zagwizdał i machnął szponem, przecinając mi skórę na nadgarstku.

- Co ty wyprawiasz, głupie ptaszysko! - krzyknąłem i possałem zakrwawiony przegub dłoni. - Chcę ci pomóc, nie zrobię ci krzywdy.

Znowu sięgnąłem w stronę tego powalonego wojownika. Ptak ponownie zagwizdał i uderzył szponem.

- Dość tego! - Pokręciłem głową skonsternowany i wstałem.

Kiedy odchodziłem, zerknąłem raz jeszcze na drzemlika. Jego oczy w końcu się zamknęły. Leżał na trawie i dygotał.

Wziąłem głęboki oddech i wróciłem. Podniosłem ostrożnie ptaka, uważając na szpony, gdyby nagle się obudził. Kiedy trzymałem w dłoni ciepłe, opierzone ciało, zastanowiło mnie, jak tak zaciekle stworzenie może być zarazem tak miękkie. Głaszcząc zranione skrzydło, zorientowałem się, że choć skóra i mięśnie były poharatane, ptak nie miał

złamanych kości. Sięgnąłem do torby, którą dostałem od Branwen, wyjąłem szczyptę zaszuszonych ziół i pokropiłem je wodą ze strumyka. Rąbkiem tuniki oczyściłem rany po zębach szczura. Kilka było głębokich, zwłaszcza przy górnej krawędzi skrzydła. Delikatnie nałożyłem kompres z ziół.

Drzemlik naprężył się i otworzył oko. Jednak tym razem mnie nie zaatakował.

Najwyraźniej zbyt słaby, żeby nawet zaświstać, przyglądał mi się tylko nieufnie.

Kiedy skończyłem, stałem z małym ptakiem w dłoniach i zastanawiałem się, co teraz zrobić. Zostawić go przy strumyku? Nie, szczury z pewnością wrócą, żeby dokończyć dzieła.

Wziąć go ze sobą? Nie, niepotrzebny mi był pasażer, zwłaszcza tak niebezpieczny.

Na skraju lasu zobaczyłem dąb z szerokimi konarami i przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Odłożyłem ptaka na chwilę, zerwałem trochę trawy i uwiłem z niej prowizoryczne gniazdo. Wziąłem gniazdo i ptaka pod ramię, wspiąłem się na niską, mocno omszałą gałąź.

Umieściłem gniazdo w miejscu, gdzie konar wyrastał z pnia, po czym włożyłem do niego bezbronnego ptaka.

Popatrzyłem przez chwilę w zadziorne oczy z żółtymi obwódkami. Potem zszedłem z drzewa i ruszyłem do lasu.

# XIII

## CHMURA LIŚCI

Kiedy szedłem między strzelistymi wierzchołkami i posplatanyymi gałęziami tego pradawnego lasu, poczułem coś dziwnego.

Uczucie to nie miało nic wspólnego z moim darem magicznego widzenia, choć światła było istotnie niewiele w tych mrocznych zagajnikach, gdzie promienie słońca z rzadka docierały do poszycia. Wrażenie to nie miało też związku z unoszącym się w powietrzu zapachem żywicy, którego nigdy wcześniej nie czułem tak mocno, a przywodził mi wspomnienia tego dnia, kiedy przeczekałem burzę na wielkiej sośnie u stóp Y Wyddfa. Nie miało również związku z otaczającymi mnie odgłosami - szelestem poruszanych wiatrem liści, szumem i skrzypieniem gałęzi, trzaskiem igieł pod moimi stopami.

Dziwne uczucie nie miało nic wspólnego z żadną z tych rzeczy. A może jego źródłem było wszystko naraz. Dźwięk. Zapach. Pograżony w półmroku zagajnik. I przede wszystkim swoiste przekonanie. Że coś w tym lesie wie o mojej obecności. Że coś mnie obserwuje. Że dziwny szept, podobny do tego, który usłyszałem w muszli, nadal mi towarzyszy.

Zauważyłem guzowaty kij, porównywalny długością do mojego wzrostu, oparty o pień starego cedru. Porządny kij pomógłby mi w przemierzaniu mrocznych zakątków lasu.

Sięgnąłem po niego. Kiedy moja dłoń miała uchwycić go w połowie, skąd wystawała zbitka gałązek, wciągnąłem gwałtownie powietrze i cofnąłem się.

Kij się ruszył! Gałązki zaczęły drgać niczym małe nogi i zawtórowały im kolejne, na górze i na dole. Guzowaty trzon zgiął się i kij zsunął się po łuszczącej się korze cedru, przeszedł nad korzeniami i zniknął w kępie paproci. Kilka sekund później po żywym kiju nie było już śladu. Uznałem więc, że kij nie będzie mi potrzebny.

Wtedy poczułem znajomy impuls. Wspiąć się na jedno z drzew! Może nie na sam szczyt, ale na tyle wysoko, żeby widzieć korony. Wybrałem tyczkowatą lipę, której liście w kształcie serca drżały jak powierzchnia wartkiej rzeki, i ruszyłem w górę. Moje stopy i dłonie znalazły mnóstwo punktów zaczepienia i wspinałem się szybko.

Kiedy byłem na wysokości odpowiadającej pięciokrotności mojego wzrostu, panorama zupełnie się zmieniła. Przez gąszcz gałęzi przenikało więcej światła, dzięki czemu widziałem dużo lepiej. Przez drżące liście lipy zobaczyłem parę pomarańczowo-niebieskich motyli, które latały między drzewami. Z pobliskiej gałęzi zwisał swobodnie pająk, a na jego pajęczynie perliła się rosa. Wiewiórki z dużymi oczami popiskiwały hałaśliwie. Ptak o złocistym pierzu przeskakiwał z gałęzi na gałąź. Tylko jedno się nie zmieniło: nadal słyszałem dziwny szept.

Odwróciłem się w stronę lasu, w kierunku trawiastego pola, na którym napotkałem drzemlika. Kawalek dalej wypatrzyłem migoczącą wielką rzekę znikającą w ścianie mgły, za którą zgodnie z moją wiedzą było morze. Ku mojemu zdziwieniu z jej nurtu wynurzyła się dziwna fala, która

wyglądała prawie jak olbrzymia dłoń. Wiedziałem, że to niemożliwe.

Jednak kiedy z rzeki wyłoniła się dłoń o grubych, ociekających wodą palcach, a potem zniknęła w niej z pluskiem, poczułem przypływ zadziwienia i strachu.

Potem posypała się nade mną sterta liści. Niemniej zamiast spadać, poszybowały do innego drzewa. O dziwo, gałęzie drugiego drzewa schwyciły liście i przytrzymały je potężnymi konarami, po czym cisnęły je dalej. Złapała je kolejna gałąź, która zgięła się pod ich ciężarem, a następnie odrzuciła. Liście wirowały w powietrzu, szybowały nad konarami i między drzewami, kręciły się jak tancerz. Wyglądało to tak, jakby drzewa w zagajniku grały stertą liści niczym piłką, jak dzieci rzucające do siebie kłębek nici.

Z czasem chmura liści spadła na coraz niższe gałęzie. W końcu znalazła się na samym dole, gdzie osiadła na poszyciu z brązowych igieł.

Wciągnąłem gwałtownie powietrze. Z chmury liści nagle wyłoniła się długa ulistniona gałąź. Nie, to nie była gałąź. To była ręka owinięta splecionymi pnączami. Potem druga ręka.

Jedna noga, po niej druga. Głowa z włosami przystrojonymi lśniącymi liśćmi. I para oczu, szarych jak kora buka, o niebieskawym odcieniu.

Odziana w liście postać podniosła się i głośno roześmiała. Śmiech, głęboki i czysty, rozbrzmiewał między drzewami pięknie niczym dzwoneczki.

Wychyliłem się na gałęzi, usiłując dojrzeć więcej. Wiedziałem już, że ta chmura liści to była w rzeczywistości dziewczynka.

# XIV

## RHIA

Konar złamał się bez ostrzeżenia. Poleciałem na ziemię, a mój upadek złagodziło po drodze kilka gałęzi. Uderzyłem o nie piersią, krzyżem, ramieniem i udami. Wylądowałem z głuchym odgłosem na poszyciu z igieł.

Jęknąłem i przewróciłem się na bok. Oprócz odrętwienia po podróży i towarzyszącego mi bólu między łopatkami teraz miałem obite całe ciało. Powoli usiadłem - i znalazłem się twarzą w twarz z dziewczynką.

Przestała się śmiać.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie ruszało. Choć panował półmrok, widziałem, że jest w moim wieku. Przyglądała mi się w bezruchu niczym drzewo. Ale poza błękitnym odcieniem oczu dziewczynki w jej odzieniu z pnączy było tyle zieleni i brązu, że naprawdę można by ją wziąć za drzewo. Tylko oczy ją zdradzały. Połyskiwały w nich iskierki gniewu.

W dziwnym, szeleszczącym języku wypowiedziała jakieś polecenie i machnęła dłonią, jakby przeganiała muchę. Ciężkie gałęzie cykuty owinięły mi się wokół pasa, rąk i nóg.

Gałęzie trzymały mnie mocno, a im bardziej się szarpałem, tym silniej ścisnęły. Uniosły mnie zwinnie. Zawisłem, nie mogąc się ruszyć.

- Puść mnie!

- Teraz już nie spadniesz - dziewczynka odezwała się w moim języku, mowie Celtów, którą posługiwałem się w Gwynedd, ale z dziwnym, śpiewnym akcentem. Gniew na jej twarzy przeszedł w rozbawienie. - Przypominasz mi wielką brązową jagodę, ale niezbyt smaczną.

Zerwała dużą fioletową jagodę, która rosła w mchu u jej stóp, i włożyła ją sobie do ust. Wydeła wargi i wypluła ją.

- Fuj. Nie zostało nic ze słodczy.

- Puść mnie! - ryknąłem.

Szarpałem się, chcąc się uwolnić, ale opasująca mi tors gałąź ścisnęła mnie tak, że prawie nie mogłem oddychać.

- Proszę - wyrzęziłem. - Nie miałem... złych zamiarów.

Dziewczynka przyjrzała mi się surowym wzrokiem.

- Złamałeś prawo Lasu Druma. Obcy nie mają tu wstępu.



- Ale... ja... nie wiedziałem - wysapałem.

- To teraz już wiesz.

Zerwała kolejną jagodę. Najwyraźniej smakowała jej bardziej niż pierwsza, bo pochyliła się po jeszcze jedną.

- Proszę... Wy... puść mnie...

Zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, dziewczynka dalej zrywała jagody, połykając je prawie od razu. Po dłuższej chwili zaczęła się zbierać do opuszczenia polany, nie patrząc w moją stronę.

- Zaczekaj!

Zatrzymała się. Odwróciła się do mnie poirytowana.

- Przypominasz mi wiewiórkę, którą przyłapano na kradzieży orzechów. Teraz chcesz je oddać, ale jest za późno. Wróć po ciebie za dzień, dwa. Jeżeli nie zapomnę.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

- Zaczekaj! - zawołałem ponownie.

Zniknęła za ścianą gałęzi.

Znów spróbowałem się wyswobodzić. Cykuta ścisnęła mnie mocniej, wciskając mi Galatora, którego nadal miałem pod tuniką, głęboko w zębra.

- Poczekaj! Zaklinam cię w imię... Galatora!

Twarz pojawiła się ponownie. Dziewczynka nieufnie wróciła do zagajnika. Stała pod mocarną cykutą i przez jakiś czas na mnie patrzyła. Potem wykonała gest dłonią i wyszeptała kilka szeleszczących słów, których nie rozumiałem.

Gałęzie natychmiast mnie puściły. Upadłem twarzą na ziemię. Wyciągnąłem garść igieł z ust i spróbowałem się podnieść.

Pokazała mi dłonią, żebym się nie ruszał. Posłuchałem jej, nie chcąc, by znowu gałęzie mnie uwięziły.

- Co wiesz o Galatorze?

Zawahałem się. Uświadomiłem sobie, że Galator musi być słynny, skoro ktoś o nim słyszał w tej odległej krainie. Ostrożnie uchyliłem rąbka tajemnicy.

- Wiem, jak wygląda.

- Ja również, przynajmniej wedle legendy. Coś jeszcze wiesz?

- Tylko troszeczkę.

- Szkoda - powiedziała bardziej do siebie niż do mnie, po czym przysunęła się i przyjrzała mi ciekawie. - Dlaczego twoje oczy patrzą w dal? Wyglądają jak dwie gwiazdy ukryte za chmurami.

Spiąłem się. Odburknąłem urażony:

- Moje oczy to nie twoja sprawa.

Znowu mi się przyjrzała. Potem bez słowa wcisnęła mi w dłoń kilka fioletowych jagód.

Powąchałem je niepewnie. Ich zapach przypomniiał mi, jaki jestem głodny, więc wbrew rozsądkowi włożyłem jedną jagodę do ust. Poczulem na języku eksplozję słodczy.

Pozostałe owoce przełknąłem na jeden raz.

Dziewczynka przyjrzała mi się zamyślona.

- Widzę, że dużo wycierpiałeś.

Zmarszczyłem czoło. Musiała zauważyć blizny.

Jak każdy, kto popatrzył mi na twarz. Ale... wydało mi się, jakby zobaczyła też coś pod nimi. Poczulem niewytłumaczalną potrzebę, żeby zwierzyć się tej dziwnej dziewczynce z lasu, ale powstrzymałem się. Przecież w ogóle jej nie znałem. Przed chwilą zamierzała zostawić mnie na pastwę drzew. Nie, nie będę tak naiwny, żeby jej zaufać.

Obróciła nieco głowę, wsłuchując się w odległy szept gałęzi. Zauważyłem misterny wzór liści na jej brązowych lokach. Choć w półmroku zagajnika nie byłem pewien, wydawało mi się, że miała trójkątne, zakończone spiczasto uszy, podobne do moich.

Czy to znaczyło, że tak jak ja musiała znosić szykany, bo miała uszy demona? Czy może wszyscy w tej dziwnej krainie mieli spiczaste uszy? Czy było możliwe, że ona i ja należeliśmy do tej samej rasy?

Otrząsnąłem się z mrzonek. Równie dobrze anioły mogły mieć spiczaste uszy. Albo demony cudowne białe skrzydła!

Nie odrywałem od niej wzroku, kiedy słuchała.

- Usłyszałaś coś?

Jej szaroniebieskie oczy spojrzały na mnie.

- Tylko słowa przyjaciół. Mówią mi, że w lesie jest obcy, ale to już wiem. - Urwała. -

Oprócz tego mówią, żebym się strzegła. Powinnam?

Spiąłem się, bo przypomniałem sobie głos w muszli.

- Zawsze warto uważać. Ale mnie się nie musisz obawiać.

Wydawała się rozbawiona.

- Wyglądam, jakbym się ciebie obawiała?

- Nie. - Też miałem ochotę się uśmiechnąć. - Chyba nie jestem bardzo straszny.

- Nie za bardzo.

- Ci twoi przyjaciele. Czy to... drzewa?

- Tak.

- I ty z nimi rozmawiasz?

Znowu śmiech dzwoneczków rozszedł się echem po zagajniku.

- Oczywiście. Tak jak rozmawiam z ptakami, zwierzętami i rzekami.

- A także z muszlami?

- Jasne. Wszystko ma swój język. Musisz się tylko nauczyć go słyszeć. - Uniosła brew. - Dlaczego ty tak niewiele rozumiesz?

- Przybywam z bardzo daleka.

- To dlatego nie wiesz nic o Lesie Druma ani panujących w nim zwyczajach. -

Zmarszczyła czoło. - A jednak słyszałeś o Galatorze.

- Tylko trochę, jak już mówiłem - dodałem cierpko. Choć powiedziałbym cokolwiek, żeby uwolnić się z tych koszmarnych gałęzi.

Konary cykuty nad moją głową zadrżały. Na ich widok wzdrygnąłem się.

- Wiesz o Galatorze więcej niż tylko trochę - oznajmiła śmiało dziewczynka. - Kiedyś mi to opowiesz. - Ruszyła, nie wiedzieć czemu przeświadczona, że za nią pójdę. - Ale najpierw powiedz mi, jak się nazywasz.

Wyminąłem ostrożnie leżącą na ziemi gałąź.

- Dokąd idziemy? - zapytałem.

- Coś zjeść, oczywiście.

Skręciła w lewo po tylko dla niej widocznej ścieżce wiodącej przez połąć wysokich po pas paproci.

- Czy teraz powiesz mi, jak masz na imię?

- Emrys.

Zerknęła na mnie, jakby mi nie uwierzyła. Nic jednak nie powiedziała.

- A ty?

Zatrzymała się pod bukiem, który, choć stary i powyginany, miał korę gładką jak młode drzewo. Uniosła dłoń ku pełnym gracji gałęziom i powiedziała:

- Mój przyjaciel odpowie.

Liście starego buka zaszeleściły delikatnie. Na początku dźwięk nic mi nie mówił.

Spojrzałem na dziewczynkę zdziwiony. Potem powoli zacząłem wyłapywać rytm.

Rrrrhhhhiiiiiaaaa. Rrrrhhhhiiiiiaaaa. Rrrrhhhhiiiiiaaaa.

- Masz na imię Rhia?

Znów ruszyła, minęła kępę sosen o długich igłach, strzelistych i mocnych.

- Moje pełne imię to Rhiannon, choć nie wiem dlaczego. Drzewa nazywają mnie Rhią.

- Nie wiesz dlaczego? Rodzice ci nie powiedzieli? - zapytałem ją zaintrygowany.

Przeskoczyła nad płynącym wolno strumykiem, gdzie między trzcunami sunęła okrągła kaczka krzyżówka.

- Straciłam rodzinę, kiedy byłam mała, bardzo mała. To było trochę tak, jakby z gniazda wypadło pisklę, które jeszcze nie umie latać. - Nie odwracając się do mnie, dodała: -

Trochę tak jak w twoim wypadku.

Przystanąłem gwałtownie i złapałem ją za rękę. Na widok zniżających się złowieszczo gałęzi, puściłem ją.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzała prosto na mnie.

- Że wyglądasz, jakbyś był zagubiony.

Szliśmy w głąb lasu bez słowa, mijając lisa z czerwoną kitą, który nie oderwał się od posiłku: świeżej kuropatwy. Nasza trasa zaczęła prowadzić pod górę, po stromym zboczu.

Jednak nawet kiedy wędrówka stała się bardziej męcząca, Rhia nie zwolniła kroku.

Miałem wrażenie, że wręcz przyspieszyła. Dysząc ciężko, starałem się dotrzymać jej kroku.

- Jesteś jak... Atalanta.

Rhia zwolniła nieco i zrobiła zdziwioną minę.

- Kto to?

- Atalanta - wysapałem. - Bohaterka... greckiej legendy... która biegła... tak szybko...

że nikt nie mógł... jej dogonić... aż ktoś ją w końcu... pokonał podstępem... i znącił... złotymi jabłkami.

- To mi się podoba. Skąd znasz taką opowieść?

- Od pewnej osoby. - Wytarłem czoło. - Żałuję, że sam nie mam teraz... złotych jabłek.

Rhia uśmiechnęła się, ale nie zwolniła kroku.

Kiedy wspinaliśmy się, z poszycia wystawały, niczym wielkie grzyby, olbrzymie głązy, popękane i pokryte różowymi i fioletowymi porostami. Odstępy między drzewami się powiększały, a przez ich korony przeświecało więcej słońca. Wokół olbrzymich korzeni i przewróconych pni tłoczyły się paprocie i kwiaty.

W pewnej chwili Rhia zatrzymała się, żeby na mnie poczekać za drzewem o białej korze, przy nawisie. Kiedy z wysiłkiem starałem się ją dogonić, przyłożyła do ust złączone dłonie i zaczęła dziwnie pohukiwać. Chwilę później trzy małe sowy o płaskich opierzonych twarzach i wielkich pomarańczowych oczach wyjrzały z dziury w połowie pnia. Przyglądały nam się uważnie, a potem zahukały zgodnie dwa razy i zniknęły z powrotem w dziupli.

Rhia odwróciła się do mnie i uśmiechnęła, po czym podjęła wspinaczkę po stoku. W

końcu dotarła na szczyt i zatrzymała się z rękami na biodrach, chłonąc widok. Jeszcze zanim do niej dołączyłem, wyczułem w powietrzu nową, soczystą woń. Kiedy zziąjany stanąłem obok niej, to, co zobaczyłem, zaparło mi resztkę tchu w piersiach.

Na okrągłej polance przed nami splatały się ze sobą drzewa wszystkich kształtów, rozmiarów i kolorów, pokrywając cały szczyt wzgórza. Ich uginające się pod ciężarem owoców gałęzie sięgały nieomal trawy. I co to były za owoce! Jaskrawopomarańczowe kule, smukłe zielone półksiężyce, zbite gęsto żółte i niebieskie kiście lśniły między połyskującymi skrzydłami motyli i pszczoł. Okrągłe. Kwadratowe. Ciężkie. Wiotkie. Większości owoców nigdy wcześniej nie widziałem nawet w snach. Czułem, jak cieknie mi ślina.

- To mój ogród - oznajmiła Rhia.

Chwilę później zajadaliśmy się wszystkimi owocami, na które mieliśmy ochotę. Ich soki spływały mi po brodzie, szyi, dłoniach i rękach. Pestki przylepiały się do moich włosów, na wpół przeżute skórki lgnęły do mojej tuniki. Z daleka pewnie sam wyglądałem jak drzewo owocowe.

Pomarańczowe kule miały wspaniały cierpki smak, obrałem je więc i najadłem się nimi do syta przed spróbowaniem innych owoców. Jedna odmiana, w kształcie urny, miała tyle pestek, że wyplułem owoc z obrzydzeniem. Rhia się zaśmiała, ja też. Potem spróbowałem innego gatunku, okrągłego, z otworem w środku. Ulżyło mi, gdyż smakował jak słodkie mleko i nie było w nim pestek. Następnie połknąłem pół szarego owocu w kształcie jaja.

Choć prawie nie miał smaku, po zjedzeniu ogarnął mnie smutek, tęsknota za wszystkim, czego brakowało mi w życiu.

Kiedy Rhia zobaczyła, że skosztowałem tego owocu, pokazała mi inną odmianę, w kształcie spirali, barwy jasnioletowej. Ugryzłem. Poczułem w ustach eksplozję purpurowego brzasku. Wszystkie smutki zniknęły jak ręką odjął.

Rhia z kolei jadła olbrzymie ilości maleńkich czerwonych jeżyn, które rosły po pięć, sześć sztuk na jednej łodydze. Spróbowałem jednej, ale była tak nieznośnie słodka, że mnie zemdliło. Nie miałem już ochoty na jedzenie. Przyglądałem się oniemiały, jak Rhia połyka dziesięć naraz.

- Jak możesz ich tyle jeść?

Nie zwróciła na mnie uwagi i jadła dalej.

W końcu poczułem się syty. Więcej niż syty. Usiadłem i oparłem się o jeden z najgrubszych pni w ogrodzie. Między liśćmi i owocami wpadało popołudniowe światło, a na wzgórzu powiewał delikatny wietrzyk. Przyglądałem się, jak Rhia w końcu najadła się słodkimi czerwonymi jeżynami. Dołączyła do mnie przy pniu i siedzieliśmy teraz ramię w ramię. Rozłożyła ręce, pokazując na cudowną różnorodność drzew przed nami.

- I to wszystko - powiedziała z wdzięcznością - z jednego tylko nasiona.

Zrobiłem wielkie oczy.

- Z jednego nasiona? Nie mówisz chyba poważnie.

- Oczywiście, że tak! Z nasiona drzewa shomorra nie wyrasta jedno drzewo, ale całe mnóstwo, nie powstaje jeden gatunek owoców, lecz setki. I choć z nasiona shomorry tyle wyrasta, to bardzo trudno je znaleźć. Krążą legendy o tym, jakie jest niespotykane. „Rzadki jak shomorra”, głosi przysłowie. W całym Lesie Druma jest tylko to jedno.

Zaciągnąłem się wonnym powietrzem polany.

- To nie jest mój dom, ale z chęcią zostałbym tu na dłużej.

- Gdzie w takim razie jest twój dom?

Westchnąłem.

- Nie wiem.

- Czyli to jego szukasz?

- Jego i jeszcze innych rzeczy.

Rhia kręciła pnącze na rękawie.

- A czy twój dom nie jest tam, gdzie jesteś ty?

- Nie mówisz chyba serio - prychnąłem. - Dom to miejsce, z którego pochodzisz. To miejsce, gdzie mieszkają twoi rodzice, gdzie kryje się twoja przeszłość.

- Kryje się? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie pamiętam swojej przeszłości.

Choć Rhia wydawała się zaintrygowana, nie zadała już więcej pytań. Sięgnęła za to po kolejną kiść czerwonych jeżyn i włożyła je sobie do ust. Z pełną buzią powiedziała:

- Być może to, czego szukasz, jest bliżej, niż ci się wydaje.

- Wątpię. - Rozprostowałem ręce i barki. - Rozejrzę się po tej krainie, ale jeżeli nie dowiem się niczego o swojej przeszłości, zbuduję nową łódź i pożegluję tak daleko, jak będzie to konieczne. Nawet na sam horyzont, jeżeli będzie trzeba.

- To pewnie długo tu nie zagościsz.

- Pewnie nie. A tak w ogóle, co to za miejsce? Ta kraina ma jakąś nazwę?

- Ma.

- I jak się nazywa?

Jej mina sposepniała.

- Ta kraina, ta wyspa, nazywa się Fincayra.

# XV

## KŁOPOT

Podskoczyłem jak smagnięty biczem.

- Fincayra?

Rhia przyjrzała mi się zaciekawiona.

- Słyszałeś o niej?

- Tak. Opowiedziano mi o niej trochę. Ale nigdy nie przypuszczałem, że istnieje naprawdę.

Rhia westchnęła ponuro:

- Fincayra jest prawdziwa.

Bez wątpienia, pomyślałem. Tak prawdziwa jak Y Wyddfá. Tak prawdziwa jak Olimp. Gdybym tylko mógł to opowiedzieć Branwen! Spróbowałem przypomnieć sobie, co mówiła o Fincayrze. „Cudowne miejsce. Nie należy ani do Ziemi, ani do Nieba, to most łączący oba te światy”. Wspominała też o jaskrawych kolorach. To się zgadzało. I mówiła coś jeszcze. Coś o olbrzymach.

Kiedy siedzieliśmy z Rhią w milczeniu pogrążeni w myślach, kołdra zmierzchu zaczęła otulać ogród shomorry. Z każdą upływającą minutą barwy zamieniały się w cienie, a kształty w kontury.

W końcu Rhia się poruszyła. Potarła plecami o pień.

- Już noc! Nie mamy czasu na powrót do mojego domu.

Senny po uczcie zsunąłem się na miękką trawę pod drzewem.

- Sypiałem już w gorszych miejscach.

- Popatrz. - Wskazała na niebo, skąd między gałęziami pełnymi owoców docierało do nas migotanie pierwszych gwiazd. - Nie chciałbyś umieć latać? Szybować pośród gwiazd, zjednoczyć się z wiatrem? Chciałabym mieć skrzydła. Prawdziwe skrzydła.

- Ja też bym chciał - przyznałem, szukając śladów Pegaza.

Odwróciła się do mnie.

- O czym jeszcze marzysz?

- O... o książkach.

- Naprawdę?



- Tak! Bardzo pragnę zamknąć się w komnacie pełnej książek. Czytać opowieści wszystkich narodów, wszystkich czasów. Słyszałem, że taka komnata istnieje.

Przyglądała mi się przez chwilę.

- Od matki?

Wciągnąłem długi oddech.

- Nie. Od kobiety, która chciała, żebym uwierzył, że nią jest.

Rhia wydała się zdziwiona, ale nic nie powiedziała.

- W tej komnacie - ciągnąłem - byłyby wszystkie książki, jakie można sobie wyobrazić. Otaczałyby mnie ze wszystkich stron. Przebywanie w takim pokoju byłoby jak lot. Mógłbym latać po stronach, dokąd by mi się zamarzyło.

Rhia się zaśmiała.

- Ja bym wolała prawdziwe skrzydła! Zwłaszcza w taką noc. Widzisz? - Spojrzała między gałęziami.

- Widać już Gwri o Złotych Włosach.

- Nie słyszałem o tym gwiazdozborze. Gdzie jest?

- Tutaj.

Choć wysilałem dar magicznego widzenia, w tej części nieba dostrzegłem tylko jedną gwiazdę, która, o ile było mi wiadomo, stanowiła część skrzydła Pegaza.

- Nie widzę.

- Nie widzisz dziewczyny?

- Nie.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła ją ku górze.

- A teraz?

- Nie. Widzę tylko gwiazdę, która jest częścią Pegaza. I tam. Widzę inną gwiazdę Pegaza.

Rhia spojrzała na mnie zdziwiona.

- Gwiazdy? Konstelacje gwiazd?

Zapytałem równie zdziwiony.

- A niby co?

- Moje konstelacje nie składają się z gwiazd, ale z przestrzeni między gwiazdami.

Mrocznych miejsc. Otwartych przestrzeni, do których umysł może podróżować przez całą wieczność.

Od tej chwili już nigdy nie patrzyłem na niebo w ten sam sposób. Podobnie jak nie patrzyłem na siedzącą obok mnie dziewczynkę w ten sam sposób.

- Opowiedz mi coś więcej. O tym, co tam widzisz.

Rhia odrzuciła brązowe loki. Śpiewnym głosem zaczęła mówić o niesamowitej naturze nieba nad Fincayrą. O tym, że szerokie pasmo gwiazd na środku nocnego nieba to szew łączący dwie połówki czasu, tę, która właśnie się zaczyna, i tę, która właśnie się kończy.

O tym, że najdłuższe połączenie mroku to w rzeczywistości rzeki bogów łączące ten świat z innymi. O tym, że wirujące sklepienia niebieskie to tak naprawdę wielkie koło, którego niekończące się obroty zamieniały życie w śmierć i śmierć w życie.

Do późnej nocy kreśliliśmy na niebie obrazy i opowiadaliśmy sobie historie. Aż w końcu zmorzył nas twardy sen. A kiedy ciepłe promienie nas obudziły, zdaliśmy sobie sprawę, że nie chcemy stąd odchodzić. Jeszcze nie.

Następny dzień i następną noc spędziliśmy więc na tym żyznym wzgórzu, delektując się owocami i rozmową. Choć bałem się zwierzać z najgłębiej skrywanych uczuć, odkryłem, że Rhia ma niepokojący talent do czytania w moich myślach.

Siedzieliśmy pod obwieszoną owocami koroną drzewa i jedliśmy porządne śniadanie składające się z cierpkich pomarańczowych kul (dla mnie) i słodkich czerwonych jeżyn (dla niej). Kiedy zakończyliśmy posiłek, spożywając na spółkę spiralny owoc, Rhia odwróciła się do mnie z pytaniem:

- Ta kobieta, która twierdziła, że jest twoją matką. Jaka ona była?

Spojrzałem na nią zdziwiony.

- Wysoka, o bardzo niebieskich...

- Nie, nie, nie. Nie obchodzi mnie, jak wyglądała. Jaka ona była?

Przez chwilę myślałem o Branwen.

- Była dla mnie dobra. Lepsza, niż na to zasługiwałem. Zazwyczaj. Mocno wierzyła -

w swojego Boga i we mnie. I była cicha. Zbyt cicha. Chyba że opowiadała mi historie. Znała wiele różnych opowieści, więcej, niż dałbym radę zapamiętać.

Rhia oglądała przez chwilę jeżynę, po czym włożyła ją sobie do ust.

- Na pewno niektóre z nich poznała w tej komnacie pełnej książek.

- Zgadza się.

- I nawet jeżeli nie była twoją prawdziwą matką, nie czułeś się inaczej, mając ją koło siebie? Nie byłeś mniej samotny? Nie czułeś się bezpieczniej?

Przełknąłem ślinę.

- Chyba tak. Dlaczego tak się nią interesujesz?

Jej mina, na ogół podszyta uśmiechem, zrobiła się poważna.

- Zastanawiałam się, jaka byłaby matka, prawdziwa matka.

Spuściłem wzrok.

- Chciałbym to wiedzieć.

Rhia przytaknęła. Przebiegła dłonią wzdłuż zwisającego konara z owocami. Patrzyła w dal i myślami była w jakimś odległym miejscu lub czasie.

- Czyli nie pamiętasz swojej matki?

- Byłam bardzo mała, kiedy ją straciłam. Pamiętam tylko uczucia. Jak było mi bezpiecznie. I ciepło. I jak mnie... przytulała. Nie jestem nawet pewna, czy naprawdę to pamiętam. Może to tylko przejaw mojej tęsknoty.

- A twój ojciec? Miałaś rodzeństwo?

- Straciłam wszystkich. - Rozłożyła ręce, wskazując gałęzie nad naszymi głowami. -

Ale odnalazłam Drumę. To jest teraz moja rodzina. I choć nie mam prawdziwej matki, mam kogoś, kto mnie chroni. I przytula. Jest dla mnie prawie jak matka.

- I kto to jest?

Rhia się uśmiechnęła.

- Drzewo. Drzewo o imieniu Arbassa.

Wyobraziłem ją sobie, jak siedzi na gałęziach wielkiego, mocarnego drzewa. I ja też się uśmiechnąłem.

Wtedy pomyślałem o Branwen, mojej prawie matce, i poczułem w piersi dziwne ciepło. Była mi tak odległa, a zarazem, czasami, tak bliska. Myślałem o jej historiach, jej uzdrawianiu, jej smutnych oczach. Żałowałem, że nie chciała mi więcej opowiedzieć o swoich przeżyciach i mojej tajemniczej

przeszłości. Miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś ją zobaczę, choć wiedziałem, że to niemożliwe. Zmówiłem niepewnie cichą modlitwę do Boga, do którego ona tak często się modliła, modlitwę o pokój, którego tak pragnęła.

Nagle powietrze nad moją głową przeszył przenikliwy gwizd. Podniosłem wzrok i zobaczyłem na gałęzi znajomą sylwetkę.

- Nie do wiary.

- Drzemlik - skomentowała Rhia. - Młody samiec. Spójrz, ma zranione skrzydło.

Stracił na nim pierze.

Wykrzywiła szyję podobnie jak sokół i sama głośno zagwizdała. Ptak przechylił

głowę i zaświstał w odpowiedzi. Tym razem jego gwizd trochę świergotał, był bardziej gardłowy. Rhia uniosła gęste brwi. Zwróciła się do mnie:

- Powiedział mi, zresztą niezbyt grzecznie, że uratowałeś mu życie.

- Powiedział ci to?

- To nieprawda?

- Tak, tak, to prawda. Zaopiekowałem się nim po tym, jak wdał się w bójkę. Ale jak się nauczyłaś rozmawiać z ptakami?

Rhia wzruszyła ramionami, jakby odpowiedź była oczywista.

- To tak samo łatwe jak rozmowa z drzewami. - Po czym dodała smutno: - W każdym razie z tymi, które jeszcze nie śpią. A co to była za walka?

- To nie do wiary, jaki on jest odważny. Albo głupi. Wdał się w walkę z dwoma olbrzymimi szczurami, z których każdy był od niego trzy razy większy.

- Wielkie szczury? - Rhia cała się spięła. - Gdzie? W Drumie?

Pokręciłem głową.

- Nie, ale tuż nieopodal. Obok strumyka, który wypływa z lasu.

Rhia spojrzała z powagą na drzemlika, który dziobał zaciekle owoc w kształcie spirali.

- Mordercze szczury na naszym brzegu rzeki - wymamrotała, kręcąc głową. - Nie mają prawa wstępu do Lasu Druma. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby były tak blisko. Twój przyjaciel drzemlik może nie jest dobrze wychowany, ale słusznie postąpił, rzucając się do ataku.

- Myślę, że ten ptak po prostu lubi walczyć. Równie dobrze mógłby zaatakować ciebie albo mnie. I nie jest moim przyjacielem.

Drzemlik jakby chciał temu zaprzeczyć, bo sfrunął z owocu i wylądował na moim lewym ramieniu.

Rhia się roześmiała.

- Wygląda na to, że on ma na ten temat inne zdanie. - Przyglądała się ptakowi z uwagą. - Wiesz, to możliwe, że nie bez przyczyny do ciebie przyleciał.

Skrzywiłem się.

- Jedyne powód jest taki, że jak zwykle przesładuje mnie pech.

- Nie wiem. Mnie jego przylot nie wydaje się pechowy.

Rhia zagwizdała kilka przyjaznych tonów i wyciągnęła do drzemlika dłoń. Ptak zaskrzeczał i dziabnął ją szponem. Cofnęła się szybko, choć szpon zdążył przeciąć grzbiet jej dłoni.

- Ała! - jęknęła i oblizała krew z rany, po czym zagwizdała ostrą reprimendę.

Drzemlik odgwizdał coś równie wrogo.

- Dostyc tego - warknąłem.

Chciałem przegonić drzemlika z ramienia, ale jego szpony mocno się wczepiły, przedziurawiły moją tunikę i wbijały mi się w skórę.

- Trzymaj go ode mnie z daleka - poprosiła Rhia.

- Ten ptak to tylko kłopot.

- Ostrzegałem cię.

- I nie bądź z siebie taki zadowolony! - Podniosła się, żeby odejść. - Pozbądź się go.

Też wstałem z niechcianym pasażerem na ramieniu.

- Nie pomożesz mi?

- To twój przyjaciel.

Ruszyła w dół zbocza.

Kolejny raz spróbowałem pozbyć się drzemlika, ale nie dawał się strącić. Łypiąc na mnie, zagwizdał złowrogo, jakby groził, że wyrwie mi ucho, jeżeli będę się opierał.

Z pomrukiem irytacji pobiegłem za znikającą w lesie Rhia. Ptak trzymał się mnie mocno, machając

skrzydłami. Kiedy w końcu dogoniłem dziewczynę, siedziała na niskiej prostokątnej skale i oblizywała ranę.

- Umiałbyś opatrzeć mi dłoń tak, jak opatrzyłeś skrzydło swojego przyjaciela?

- To nie jest mój przyjaciel! - Potrząsnąłem lewym ramieniem, ale drzemlik się trzymał, mierząc mnie wrogim spojrzeniem. - Nie widzisz? Wygląda, jakby on był moim panem, a ja jego niewolnikiem. - Spiorunowałem ptaka wzrokiem. - Nie umiem się go pozbyć.

Rhia spuściła z tonu.

- Przepraszam. Bardzo mnie boli dłoń.

- Pokaż.

Wzięłem jej dłoń i obejrzałem głębokie cięcie. Nie przestawało krwawić. Sięgnąłem szybko do torby i posypałem otwartą ranę sproszkowanymi ziołami. Zerwałem z pobliskiego krzaka szeroki liść, położyłem go na ranie i ściągnąłem jej krawędzie do siebie, tak jak robiła to wiele razy Branwen. Potem owinąłem mocno dłoń Rhii pnączem z jej rękawa.

Dziewczynka podniosła dłoń z wdzięcznością.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Od Branwen. Tej kobiety, która opowiadała mi historie. Ona bardzo dobrze znała się na leczeniu. - Zamknąłem torbę. - Ale umiała leczyć tylko powierzchowne rany.

Rhia przytaknęła.

- Zranione serce to poważniejsza sprawa.

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Do domu. Mam nadzieję, że pójdziesz ze mną.

- Pomachała do sokoła, który groźnie uniósł w odpowiedzi szpon. - Nawet ze swoim...

ech... towarzyszem.

- Dziękuję - odparłem ponuro. Pomimo kłopotliwego ptaka moja ciekawość, żeby lepiej poznać to miejsce i samą Rhię, była silniejsza. - Chętnie pójde. Ale nie zatrzymam się długo.

- Nie ma sprawy. Bylebyś go potem ze sobą zabrał.

- Mam jakieś inne wyjście?

Ruszyliśmy szybkim krokiem do lasu. Przez resztę poranka i część popołudnia podążaliśmy szlakiem,

który widziała tylko Rhia. Okrążaliśmy wzgórza, przeskakiwaliśmy przez strumienie i brnęliśmy przez bagna, gdzie w powietrzu bzyczały najróżniejsze owady.

W połowie przeprawy przez jedno z takich bagien Rhia wskazała na martwe drzewo, które wyglądało, jakby ktoś pomalował je na jaskrawoczerwono. Dziewczynka klasnęła. Po chwili spośród gałęzi drzewa buchnęła szkarłatna chmura. Motyle - były ich setki, tysiące -

wzniosły się w powietrze, zostawiając po sobie ogołoceny szkielet drzewa.

Przyglądałem się tej szkarłatnej chmarze. Połyskujące w promieniach światła skrzydła motyli były tak jaskrawe, że zastanawiałem się, czy - niczym w klejnotach - nie ma w nich uwięzionych odłamków samego słońca. I miałem nadzieję, że mój dar magicznego widzenia jest coraz silniejszy. Jeżeli mogłem bez sprawnych oczu zobaczyć tak niesamowitą eksplozję barw, to być może pewnego dnia będę mógł widzieć wszystkie kolory świata równie wyraziście jak przed pożarem.

Podążaliśmy naprzód, przemierzając polany sięgających do pasa paproci, mijając przewrócone drzewa, których pnie i konary roztopiały się powoli w glebie, przechodząc pod ryczącymi wodospadami. Kiedy zatrzymywaliśmy się, żeby zebrać trochę jagód albo napić się wody, to tylko na chwilę. Podczas tych krótkich postojów zawsze udawało mi się dojrzeć ogon czmychającego zwierzęcia, wychwycić wonny zapach kwiatu lub usłyszeć wielorakie głosy strumienia.

Robiłem, co mogłem, żeby dotrzymać kroku Rhii, choć jej tempo i moje problemy z widzeniem w ocienionych zakątkach kończyły się tym, że dyszałem ciężko i obijałem sobie golenie. Przez cały czas ptak siedział wczepiony w moje ramię. Zaczynałem powątpiewać, czy jego szpony kiedykolwiek mnie wypuszczą.

Kiedy późnym popołudniem słońce tknęło na krośnie gałęzi świetliste nici, Rhia zatrzymała się gwałtownie. Podeszedłem do niej zziębnięty i zobaczyłem, że spogląda na pień lipy. W połowie pnia drzewo opasane było kolczastym wieńcem mieniącego się złota.

- Co to jest? - zapytałem zdumiony.

Rhia uśmiechnęła się do mnie.

- Jemioła. Złota gałąź. Widzisz, jak zatrzymuje promienie słońca? Wieść głosi, że kto włoży płaszcz z jemioły, ten odnajdzie tajemne przejście do Zaświata duchów.

- Jest piękna.

Przytaknęła.

- Oprócz ptaka alleah z długim ogonem to najpiękniejszy widok w lesie.

Przyjrzałem się uważnie lśniącemu wieńcowi.

- Wygląda zupełnie inaczej niż pozostałe rośliny.

- Bo różni się od nich! To nie jest ani roślina, ani drzewo, ale mieszanka jednego i drugiego. Coś pomiędzy.

Coś pomiędzy, powtórzyłem w myślach, zapamiętując te słowa. Kiedyś Branwen użyła ich, żeby opisać niezwykle miejsca, jak Olimp Greków, gdzie żyli obok siebie śmiertelnicy i nieśmiertelni. I te szczególne substancje, jak mgła, w których elementy tak różne, jak powietrze i woda, łączą się i tworzą coś, co jest podobne do każdego z nich, a zarazem od każdego się różni. Coś pomiędzy.

- Powinniśmy ruszać - zawołała Rhia. - Musimy się pospieszyć, żeby dotrzeć do domu przed zmierzchem.

Maszerowaliśmy między strzelistymi drzewami. Robiło się coraz ciemniej i widziałem coraz gorzej. Byłem też coraz bardziej posiniaczony i podrapany. Pomimo ciągłego poganiania Rhii szedłem przez pogrążający się w mroku las coraz wolniej. Często potykałem się o korzenie i kamienie. Za każdym razem, kiedy się przewracałem, drzemlik ścisnął mnie szponami i skrzeczał groźnie tak głośno, że ucho bolało mnie tak jak ramię. Wędrówka zamieniła się w koszmar.

W pewnej chwili nie zauważyłem gałęzi i wmaszerowałem prosto w nią. Konar uderzył mnie w niewidzące oko. Zawyłem z bólu, ale Rhia była zbyt daleko przede mną, żeby to usłyszeć. Potem, usiłując odzyskać równowagę, wdepnąłem w norę jakiegoś zwierzęcia i skręciłem kostkę. Osunąłem się na przewrócony pień z piekącym okiem i obolałą kostką.

Opuściłem głowę na kolana, gotów przeczekać tu noc, jeżeli będzie trzeba.

Ku mojemu zdziwieniu drzemlik w końcu odleciał. Chwilę później rzucił się na mysz, przegryzł jej kark, po czym ją poniósł. Wylądował na pniu obok mnie i dobrał się do posiłku.

Choć było mi żal myszy, roztarłem z wdzięcznością obolałe ramię. Nie dałem jednak po sobie poznać, że mi ulżyło. Byłem pewien, że ptak, który nawet podczas jedzenia nie spuszczał

mnie z oczu, niedługo wróci na swoje ulubione miejsce. Dlaczego spośród wszystkich zakątków tego lasu musiał sobie wybrać właśnie moje biedne ramię?

- Emrysie!

- Tutaj - odpowiedziałem zboląły.

Nawet dźwięk głosu Rhii nie dodał mi otuchy, gdyż nie miałem ochoty zwierzyć się jej, że widzę zbyt słabo, by kontynuować wędrówkę nocą.

Usłyszałem trzask gałęzi i dziewczynka wyłoniła się z mroku. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie jest sama. Obok niej stała wątła postać, cienka jak młode drzewko, której pociągłą twarz skrywał cień. I choć nie miałem co do tego pewności, wydawało mi się, że z postaci emanuje silny zapach, słodki jak woń kwiatu jabłoni na wiosnę.

Podniosłem się na powitanie. Moja kostka miała się nieco lepiej, ale dalej kuśtykałem.



Z nadejściem nocy widziałem coraz gorzej.

Rhia pokazała na swoją szczupłą towarzyszkę.

- To jest Cwen, moja najstarsza przyjaciółka. Opiekowała się mną, kiedy byłam mała.

- Tak mała, żżżże nie mogła mówić ani nawet ssssię nakarmić - wyszeptała Cwen głosem, który brzmiał jak wiatr szeleszczący niczym pole suchych traw. Trochę tęsknie dodała: - Byłaśśś tak mała wtedy, jak ja jesssstem terazzzz sssstara. - Wskazała na mnie cienką, guzłowatą ręką. - A któżżż to jesssst?

W tej chwili powietrze wypełnił ogłuszający świst i trzepot skrzydeł, po czym Cwen wrzasnęła. Rhia zaczęła się od czegoś oganiać, po czym odciągnęła przyjaciółkę. Sam też jęknąłem, kiedy ostre szpony znów zacisnęły mi się na lewym ramieniu.

- To cośśś mnie zzzzaatakowało! - syknęła Cwen, posyłając drzemlikowi gniewne spojrzenie.

Rozwścieczona Rhia zagwizdała na ptaka. Jednak on tylko przechylił głowę, nie zadając sobie nawet trudu, żeby odpowiedzieć. Rhia spiorunowała mnie wzrokiem.

- Ten ptak to kłopot! Tylko i wyłącznie kłopot!

Zerkając na ramię, przytaknąłem ponuro.

- Chciałbym wiedzieć, jak się go pozbyć.

- Nadziej go na szszszszpikulec - zaproponowała Cwen, trzymając się z daleka. -

Wysssskub mu pióra!

Drzemlik nastroszył spiczaste skrzydła i Cwen zamilkła.

Rhia podrapała się po brodzie zamyślona.

- Ten ptak podąża za tobą jak cień.

- Mnie kojarzy się bardziej z klątwą - burknąłem.

- Posłuchaj mnie - mówiła dalej Rhia. - Czy jest jakaś szansa, choćby najmniejsza, żebyś go oswoił?

- Oszalałaś?

- Mówię poważnie.

- Ale po co miałbym go oswajać?

- Bo jeżeli udałoby ci się go poznać, nawet trochę, to mógłbyś się dowiedzieć, o co mu naprawdę chodzi. A potem mógłbyś znaleźć jakiś sposób, żeby się od niego uwolnić.

- Bzzzzdura - prychnęła Cwen.

Z zapadnięciem mroku ogarnęła mnie beznadzieja.

- To się nigdy nie uda.

- Masz lepszy pomysł?

Pokręciłem głową.

- Jeżeli mam spróbować go oswoić - a łatwiej by mi chyba było oswoić smoka - to najpierw muszę go jakoś nazwać.

- Zgadza się - przyznała Rhia. - Ale to nie będzie łatwa sprawa. Imię musi do niego pasować.

- To żaden problem - jęknąłem. - Sama to powiedziałaś. Powinien się nazywać Kłopot. To tylko Kłopot.

- Dobrze. Teraz możesz zacząć go szkolić.

Spojrzałem przygnębiony na ciemny kształt na ramieniu.

- Chodź - powiedziała Rhia, biorąc Cwen za cienką rękę. - Jesteśmy już tylko o kilkaset kroków od domu.

Trochę się ożywiłem.

- Naprawdę?

- Tak. Możesz się czuć jak u siebie, tylko uważaj na ptaka, bo to tylko...

- Kłopot - dokończyła Cwen.

# XVI

## DRZWI ARBASSY

Kiedy Rhia wyprowadziła nas z gęstego lasu, zauważyłem na nocnym niebie niespodziewaną jasność. Potem, kiedy pajęczyna gałęzi się skończyła, zastanawiałem się, czy nie eksplodowała nad nami gwiazda, wypełniając noc jasnością. Wtedy dotarło do mnie, że źródłem światła nie jest gwiazda ani nawet niebo.

To dom Rhii tak promieniował. Na środku polany wznosił się wielki dąb. Nigdy w życiu nie widziałem potężniejszego drzewa. Wyrastające z pnia do góry i na boki mocarne gałęzie miały grubość kilku normalnych konarów. Pośród nich znajdowała się chatka, która świeciła jak wielka pochodnia i której belki, ściany i okna zakrzywiały się, dopasowując się do kształtu powyginanych gałęzi. Domek na drzewie pokrywały warstwy liści, tak więc emanujące z jego okien światło przenikało przez zasłony zieleni.

- Arbasso - wymawiając imię, Rhia podniosła wysoko rękę.

W odpowiedzi gałęzie nad jej głową zaczęły drgać i na jej uniesioną twarz spadł

łagodny deszcz rosy.

Patrzyłem, jak Rhia podchodzi do drzewa, a w piersi poczułem rozchodzące się ciepło.

Dziewczynka zdjęła wykonane chyba z kory obcisłe buty i weszła na wielkie korzenie o kształcie kielichów. Kiedy wypowiadała ciche, szeleszczące sentencje, korzeń stopniowo zamykał się wokół jej stóp, aż ona i drzewo połączyły się w jedną istotę. Rhia rozłożyła szeroko ręce i przytuliła się do potężnego pnia, choć zdołała objąć tylko kawałek jego obwodu. Jeden z olbrzymich konarów rozwinął się jak liść paproci i objął ją za plecy, odwzajemniając gest.

Chwilę później gałąź uniosła się, a korzeń otworzył. Pień zatrzeszczał, zaskrzypiał i pojawił się w nim mały otwór. Rhia schyliła się i weszła. Idąca sztywno Cwen prześlizgnęła się obok niej.

- Chodź - zawołała mnie Rhia.

Jednak kiedy zbliżyłem się do jamy, drzewo zadrżało. Krawędzie kory otaczające wejście zaczęły się przybliżać. Rhia wydała stanowcze polecenie, ale drzewo nie posłuchało i nadal się zamykało. Zawołałem ją, a Kłopot zatrzepotał nerwowo skrzydłami. Pomimo protestów Rhii przejście się zamknęło.

Stałem bezradny pod drzewem. Nie miałem pojęcia, ani co to znaczyło, ani co powinienem teraz zrobić. Tylko jedno było jasne. Spotkała mnie odmowa - bez wątplenia z powodu kłopotliwego ptaka na ramieniu.

Wtedy kora dębu znów zaczęła się marszczyć. Przejście się otworzyło. Rhia, z buzią czerwoną od krzyku, pokazała mi, żebyśmy wszedł. Zerknąłem niepewnie na wierzące się ptaka i wszedłem do

ciemnej jamy.

Rhia nic nie powiedziała. Odwróciła się tylko i zaczęła wspinać po krętych schodach wewnątrz pnia. Poszedłem za nią, mając nadzieję, że Kłopot nie będzie kłopotliwy.

Sękate stopnie wyrastały z wewnętrznych ścian pnia, więc były tak wonne i wilgotne jak polana po deszczu. Kiedy wchodziliśmy wyżej, na schodkach było coraz jaśniej, dzięki czemu zobaczyłem misterne pismo na ścianach. Tysiące gęsto zapisanych linii wiło się wokół

stopni; były równie piękne jak niezrozumiałe. Żałowałem, że nie umiem ich przeczytać.

W końcu doszliśmy do podestu. Rhia precyzyjnie się przez kotarę z liści i weszła do domu. Szedłem tuż za nią, choć zezłoszczony Kłopot szarpał się z liśćmi, kiedy ocierały mu się o pióra.

Znalazłem się na piętrze z mocno splecionych gałęzi, nierównym, ale solidnym. Na środku pokoju w kominku palił się ogień, tak jasny, że zastanawiałem się, co dodawało mu mocy. Wokół nas wiły się gałęzie wielkiego drzewa, a ponieważ nie oplatały się tak ściśle jak te na podłodze, ze wszystkich stron były prześwitujące służyły za okna.

Meble w tym domu o jednej izbie wyrastały z konarów tak naturalnie, jak te wyrastały z pnia. Niski stolik przy palenisku, dwa proste krzesła, szafka ze sztućcami z drewna i wosku pszczelego, wszystko to było uformowane z żywych gałęzi. Obok szafki stała Cwen i coś mieszała.

Podszedłem do Rhii.

- Co się stało na dole?

Dziewczynka spojrzała nieufnie na mnie, a potem na przycupniętego na moim ramieniu ptaka o ostrych szponach.

- Moja przyjaciółka Arbassa nie chciała cię wpuścić.

- To zrozumiałem.

- Mógł być tylko jeden powód. Żeby zatrzymać z dala od mojego domu kogoś, kto może mi wyrządzić wielką krzywdę.

Poczułem nową falę urazy do Kłopoty. Jeżeli przez jego obecność prawie nie zostałem wpuszczony do domu Rhii, to czy być może nie utrudni mi on również odkrycia mojej przeszłości, mojej tożsamości?

- Żałuję, że spotkałem tego przeklętego ptaka!

Rhia zmarszczyła czoło.

- Wiem. - Pomachała do Cwen, która ciągle stała schylona nad szafką. - Chodź. Czas na kolację.

Szczupła postać polara czymś podobnym do miodu przygotowane danie: tacę z czerwono-brązowymi wonnymi pieczonymi orzechami zawiniętymi w liście. Kiedy zniosła tacę na niski stolik przy palenisku, zerknęła gniewnie na Kłopotą.

- Dla tej passsskudnej besssstii nie ma kolacji.

Dopiero teraz zrozumiałem, że Cwen była bardziej drzewem niż człowiekiem. Jej sękata i pomarszczona skóra wyglądała jak kora, a splątane brązowe włosy przypominały masę pnączy. Podobne do korzeni stopy były nieobute i oprócz srebrnych pierścieni na najmniejszym z dwunastu guzowatych palców nie nosiła żadnych ozdób. Pod szatą z białej tkaniny jej ciało poruszało się jak pochylający się na wietrze pień. Musiała być jednak w podeszłym wieku, gdyż jej plecy ugiwały się jak drzewo zimą pod ciężarem śniegu, a szyja, ręce i nogi były powykręcane i kruche. Mimo to roztaczała wokół siebie woń kwiatu jabłoni.

A jej schowane brązowe oczy w kształcie cienkich łez były jaskrawe jak ogień.

Trzymając się z dala ode mnie, a zwłaszcza od mojego pasażera, postawiła tacę.

Jednak źle wycelowała i przewróciła dębową butelkę wody na stoliku.

- Przeklęte niech będą te sssstare dłonie!

Cwen złapała butelkę i zniosła ją do szafki. Kiedy dolewała do niej wody, słyszałem jak mamrocze:

- Kłątwa czassssu, kłątwa czassssu.

Potem odniosła butelkę na stół, nie przerywając mamrotania.

Rhia usiadła na krześle, pokazując skinieniem, żebym zajął miejsce na drugim.

Patrzyłem, jak bierze z tacy zawiniątko. Później umoczyła je w słoiku z miodem.

Uśmiechnęła się do mnie zawstydzona.

- Miodu nigdy za wiele.

Odwzajemniłem uśmiech. Skinąłem głową w kierunku Cwen i wyszeptałem:

- Ona nie jest osobą jak ty czy ja, prawda?

Rhia spojrzała na mnie zaintrygowana.

- Z całą pewnością jest osobą. Choć istotnie nie taką jak my. Jest ostatnim okazem rasy drzewołaków - pół ludzi, pół drzew. Kiedyś było ich wielu w Fincayrze, w czasach, kiedy krainą władali olbrzymi. Ale cała rasa wyginęła, oprócz Cwen.

Wepchnęła sobie ociekającą miodem porcję do ust, potem sięgnęła po butelkę wody.

Wypiła kilka łyków i podała ją mnie. Zdażyłem już spróbować dania z liści, które były tak lepkie, że ciężko się je przeżuwało, więc chętnie przyjąłem od niej wodę.

Kiedy odstawiałem butelkę na stół, zauważyłem, że ogień, choć niezwykle jasny, nie wytwarza dymu ani ciepła. Nagle zrozumiałem, że to nie był naprawdę ogień. Tysiące maleńkich chrząszczy pulsujących własnym światłem wdrapywało się po stercie okrągłych rzecznych kamieni na środku paleniska. Kamienie musiały być ich domem, gdyż chrząszcze wdrapywały się i schodziły po nich bez przerwy jak pszczoły w ulu. Choć każdy chrząszcz z osobna był tylko maleńkim punkcikiem światła, wszystkie razem wytwarzały potężny blask, który rozświetlał cały domek w drzewie.

Kiedy w końcu przełknąłem lepkie jedzenie, Kłopot przesunął się na ramieniu, wbijając szpony głęboko w moją skórę. Krzyknąłem, po czym zwróciłem się do niego zirytowany:

- Dlaczego mi to robisz? Zejdź z ramienia. Złaź!

Kłopot patrzył tylko na mnie niewzruszony.

Zwróciłem się do Rhii.

- Jak mam go oswoić? Nawet sam Galator by tego nie zrobił!

Stojąca przy otworze okiennym Cwen zeszywniała.

Zaskoczony własnymi słowami, odruchowo dotknąłem tuniki nad piersią, wyczuwając wiszący pod spodem wisior. Wtedy dotarło do mnie, co zrobiłem, i chcąc zamaskować gest, sięgnąłem nieco wyżej, żeby podrapać się w wolne ramię. Powiedziałem do Rhii od niechcenia:

- Czyż nie byłoby cudownie znaleźć jakiś magiczny przedmiot, na przykład Galatora?

Ale gdybym go kiedyś zdobył, nie zmarnowałbym go na ptaka. Użyłbym go, żeby wyleczyć swoje obolałe ciało.

Rhia przytaknęła ze współczuciem.

- Co cię boli?

- Przede wszystkim nogi. Ale męczy mnie też ból między łopatkami. Czuję go, od kiedy sięgam pamięcią.

Rhia uniosła brwi, ale nic nie odpowiedziała. Miałem wrażenie, że ona również nie mówi mi wszystkiego, co wie. Sięgnęła pod stół i wyciągnęła dwa małe srebrne koce wykonane z najcięższego lnu, jaki kiedykolwiek widziałem. Rozłożyła sobie jeden na udach, a drugi wręczyła mnie.

- Jak się porządnie wyśpisz, to poczujesz się lepiej.

Popatrzyłem na lśniący koc pod światło.

- Co to za materiał?

- To jedwab zrobiony przez ćmy.

- Ćmy? Chyba żartujesz.

Uśmiechnęła się.

- Ich jedwab jest równie ciepły jak lekki. Sam zobacz.

Trzymając się na bezpieczną odległość od ptaka, Cwen podeszła do Rhii.

- Czy piossssenka mogłaby cię uśśśpić?

- Bardzo proszę - odpowiedziała Rhia. - Pamiętam, jak mi śpiewałaś, kiedy byłam mała.

Cwen przytaknęła, a jej oczy w kształcie łez były bez wyrazu.

- Zaśśśśpiwam ci piossssenkę, po której zzzzassssypiałaśśśś.

Kiedy Cwen przesunęła cienką dłoń nad lśniącymi chrząszczami, ich światło przygasło. Potem jak stare drzewo chylące się na wietrze wydała wibrujący dźwięk. Nabierał

mocy i cichł, powtarzając w kółko kojącą melodię. Prawie jak głos, choć nie do końca, dźwięk wił się między nami bez słów. Zachęcał nas, żebyśmy się odprężyli, zapomnieli.

Nasunąłem koc na pierś i wyciągnąłem się na krześle, a powieki zaczęły mi ciążyć.

Widziałem, że Rhia już śpi i nawet Kłopotowi głowa zwisała nisko na piersi. Patrzyłem przez chwilę na płynne ruchy Cwen, ale dość szybko sen zmorzył również mnie.

Śniło mi się, że jestem sam, leżę i śpię w leśnej głuszy. Otaczały mnie wysokie drzewa chylące się na wietrze. Miód, nie wiadomo skąd, skapywał mi do ust. Potem pojawili się wrogowie, wszyscy naraz. Nie widziałem ich, ale wyczuwałem. Ukrywali się w drzewach.

A może oni sami byli drzewami! Co gorsza, choć próbowałem ze wszystkich sił, nie mogłem się obudzić, żeby móc się przynajmniej bronić. Jedno z cienkich powyginanych drzew nieopodal pochyliło się nad moją śpiącą sylwetką i wsunęło mi pod tunikę palczastą gałąź.

Galator. Chce Galatora. Największym wysiłkiem woli udało mi się obudzić.

Nadal siedziałem na krześle przy świecącym słabo palenisku. Jedwabna narzuta zsunęła się na podłogę obok mnie. Sięgnąłem po Galatora i ulżyło mi, kiedy poczułem, że ciągle mam go pod tuniką. Wsłuchałem się w sporadyczne ćwierkanie ptaków na dworze, z którego wywnioskowałem, że od świtu dzieli mnie około godziny. Rhia spała na swoim krześle tak skulona, że wyglądała jak piłka, a Cwen leżała i chrapała na podłodze przy szafce.

Kłopot siedział na moim ramieniu z otwartymi oczami w żółtych obwódkach.

Zastanawiałem się, czy Arbassa kiedykolwiek spała. Nawet teraz, kiedy trzymała nas w swoich ramionach, czy nadal obserwowała ptaka z niepokojem? Żałowałem, że nie mogę zapytać wielkiego drzewa, czy w Fincayrze znajdę odpowiedzi na swoje pytania. Czy nadszedł czas, żebym opuścił Las Druma i zbadał inne części tej wyspy? Czy może powinienem zbudować łódź, by szukać zupełnie innego miejsca?

Westchnąłem. Znów bowiem wiedziałem o tej wczesnej porze przed świtem, jak niewiele naprawdę wiem.



# XVII

## PTAK ALLEAH

Rhia nagle krzyknęła. Usiadła sztywno na krześle, bez ruchu, wstrzymała oddech.

Nawet wpadające przez szpary okienne złote światło poranka, w którym mieniły się ulistnione pnącza jej odzienia, nie zamaskowało przerażenia na jej twarzy.

Podskoczyłem na krześle.

- Co się stało?

Spojrzała na mnie wielkimi oczami.

- Wszystko.

- Jak to?

Potrząsnęła gąszczem loków na głowie.

- Miałam sen. Tak realny, jakby miał się naprawdę. - Wzięła głęboki oddech. -

Przestraszyłam się.

Patrzyłem na nią, wspominając własny sen.

Podeszła szczupła postać Cwen.

- Co to był zzzza ssssen?

Rhia odwróciła się do niej.

- Co noc śni mi się Druma. Bez wyjątku.

- Tak? Mnie teżzzz.

- Zawsze jest bezpiecznie. Kojąco. Zawsze czuję się jak... w domu. Nawet kiedy idę spać zmartwiona kłopotami w innych rejonach Fincayry - a tak jest coraz częściej - wiem, że w snach o Drumie zawsze odnajdę spokój.

Cwen zaczęła załamywać guzłowate ręce.

- Terazzzz nie wydajesz się sssspokojna.

- Bo nie jestem! - W oczach Rhii znowu pojawiło się przerażenie. - Tej nocy śniło mi się, że cała Druma - wszystkie drzewa, paprocie, zwierzęta, kamienie - zaczęła krwawić!

Wykrwawiała się na śmierć! Robiłam, co mogłam, ale nie umiałam tego powstrzymać. Las konał! Niebo pociemniało. Wszystko miało kolor zaschniętej krwi. Kolor...

- Rdzy - dokończyłem. - Taki sam jak po drugiej stronie rzeki.

Dziewczynka przytaknęła ponuro, potem podniosła się z krzesła i podeszła szybko do wschodniej ściany, gdzie lawendowe i różowe promienie mieszały się teraz ze złotym blaskiem. Oparła dłonie po obu stronach prześwitu i patrzyła na brzask.

- Od miesięcy staram się przekonać samą siebie, że zaraza po drugiej stronie Nieustającej Rzeki nigdy nie dotrze do Drumy. Że tylko Znękane Ziemie padną jej ofiarą, nie cała Fincayra.

- Tak bardzo się myliszszysz - wtrąciła Cwen. - Przezzzzz wszysstkie te lata, terazzzzz juzzzzz bardzo wiele lat, nigdy nie czułam w Drumie tak wielkiego zzzzagrozzżenia.

Nigdy! Jezzzzzeli mamy przezzzzżyć, potrzeba nam nowej ssssiły. Niezzzzzależzzzznie od zzzźródła tej ssssiły.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dość złowrogo, choć nie byłem pewien dlaczego.

Rhia zmarszczyła czoło.

- To również było w moim śnie - urwała zamyślona. - W lesie pojawił się obcy. Obcy, który zupełnie nikogo nie znał. I miał pewną moc... - Odwróciła się do mnie. - I on - tylko on

- mógł uratować Drumę.

Zbladłem.

- Ja?

- Nie jestem pewna. Obudziłam się, zanim zdążyłam zobaczyć jego twarz.

- Ja w każdym razie nie jestem waszym wybawcą. Tego jestem pewien.

Przyglądała mi się uważnie, choć nic nie mówiła.

Szpony Kłopoty ścisnęły mocniej moje ramię.

Przeniosłem wzrok z Rhii na Cwen i z powrotem na Rhię.

- Mylicie się! Bardzo się mylicie. Kiedyś miałem... Ale nie mogę... Nie mogę nic takiego zrobić! A nawet gdybym mógł, to mam własny cel wyprawy. - Potrząsnąłem lewą ręką. - Pomimo tego ptaka.

- Własssny cel? - zapytała Cwen. - Czyli nie obchodzą cię inni?

- Tego nie powiedziałem.

- Owszem, powiedziałeś. - Rhia spojrzała na mnie gniewnie. - Bardziej obchodzi cię własna misja niż los Drumy.

- Jeżeli tak chcesz to ująć, to zgoda. - Policzki mi się zarumieniły. - Nie rozumiesz?

Muszę poznać własną przeszłość! Dowiedzieć się, jak mam na imię! Nie mogę wplątać się w kłopoty tej krainy. Nie możecie mnie prosić, żebym zrezygnował ze swojej wyprawy tylko dlatego, że miałaś zły sen!

Rhia spiorunowała mnie wzrokiem.

- Jak daleko zaszedłbyś ze swoją wyprawą, gdyby Druma nie była dla ciebie życzliwa?

- Bez obaw. Przybyłem tu przecież o własnych siłach.

- Przypominasz mi dziecko, które twierdzi, że samo się nakarmiło.

- Nie jestem dzieckiem!

Rhia wciągnęła powietrze.

- Posłuchaj. Jestem ostatnią mieszkającą w tym lesie przedstawicielką swojej rasy. Nie znajdziesz tu żadnej innej kobiety ani żadnego innego mężczyzny, ani dziecka oprócz przybywających niekiedy nieznanym takich jak ty. Ale czy uważam, że żyję tu sama? Że mogłabym przeżyć bez innych? Bez Arbassy albo Cwen, albo ptaka alleah, którego piękno podziwiam, nawet gdyby nie byłoby mi dane ponownie go ujrzeć? Jeżeli w Drumie dzieje się źle, to wszyscy mają powód do zmartwień. Ja również go mam. - Rozłożyła błagalnie ręce. -

Proszę. Pomożesz mi?

Odwróciłem wzrok.

- Nie pomożzże nam - wyrzuciła z siebie Cwen.

Rhia poszła szybko do schodów.

- Chodź. Chcę, żebyś zobaczył, co jeszcze zginie razem z Drumą.

Kiedy ruszyła w dół po schodach we wnętrzu Arbassy, poszedłem za nią, choć niechętnie. Czułem coraz wyraźniej, że moja wyprawa zaprowadzi mnie w inne miejsca - do innych rejonów Fincayry, a może w ogóle gdzie indziej. Tak czy inaczej z dala od Drumy. I nawet gdybym zatrzymał się tu na jakiś czas, jak miałbym pomóc Rhii bez ulegania pokusie, żeby sięgnąć po zakazane moce? Pokręciłem głową, pewien, że nasza dopiero co nawiązana przyjaźń nie ma przyszłości.

Zerknąłem przez ramię na Cwen. Nie dała po sobie poznać, że moje wyjście wzbudziło w niej jakiegokolwiek emocje, z jednym wyjątkiem. Jej oczy w kształcie łez przyglądały się gniewnie Kłopotowi, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że cieszy się ze zniknięcia porywczego ptaka. A on

jakby w odpowiedzi podniósł nogę i złowrogo machnął w jej kierunku szponami.

Idąc w dół po krętych schodach, poczułem znajomą wilgotną woń, przeświadczony, że to mój ostatni raz we wnętrzu tego wielkiego drzewa. Zatrzymałem się, żeby przyjrzeć się intrygującemu pismu na ścianach Arbassy.

Rhia zawołała do mnie z dołu:

- Chodź.

- Chciałem jeszcze zerknąć na to pismo.

Nawet w półmroku schodów wyraźnie widziałem, że jest zdziwiona.

- Pismo? Jakie pismo?

- Na ścianie. Nie widzisz go?

Wróciła do mnie na górę. Przyjrzała się miejscu, które jej pokazałem, skonsternowana, jakby nic tam nie widziała.

- Potrafisz to odczytać?

- Nie.

- Ale to widzisz?

- Tak.

Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem.

- Ty widzisz inaczej, prawda?

Przytaknąłem.

- Widzisz bez oczu.

Znowu przytaknąłem.

- I postrzegasz coś, czego ja nie widzę wzrokiem. - Rhia zagryzła wargę. - Wydajesz mi się teraz jeszcze bardziej tajemniczy, niż kiedy cię spotkałam.

- Może będzie dla ciebie lepiej, jeżeli nie poznasz moich tajemnic.

Kłopot zatrzepotał nerwowo skrzydłami.

- Nie podoba mu się tu - zauważyła, ruszając w dół po schodach.

Poszedłem za nią.

- Prawdopodobnie wie, co Arbassa o nim sądzi. - Po chwili dodałem: - Nie mówiąc o tym, co ja o nim sądzę.

Drzwi zaskrzypiały, potem się otworzyły. Wyszliśmy przez nie na poprzecinane cieniami ulistnionych gałęzi światło poranka, a przejście za nami zamknęło się.

Rhia zerknęła do góry na grube konary Arbassy, potem szybko wkroczyła do lasu.

Kiedy za nią szedłem, mój chód irytował Kłopotą, więc jego szpony ścisnęły mnie mocniej niż zwykle. Rhia zbliżyła się do wielkiego buka o szarej, pomarszczonej wiekiem korze.

- Podejdź tutaj - poleciła. - Chcę ci coś pokazać.

Podszedłem. Uniosła dłoń i położyła ją płasko na pniu.

- Żadne drzewo nie przemawia tak chętnie jak buk. Zwłaszcza stary. Posłuchaj.

Wpatrując się w gałęzie, wydała powolny świszczący odgłos. Gałęzie natychmiast pomachały w odpowiedzi i zaczęły cicho szeptać. Rhia zmieniała tonację, tempo i natężenie, a buk odpowiadał tym samym. Chwilę potem dziewczynka i drzewo pograżyły się w żywiołowej rozmowie.

Po jakimś czasie Rhia zwróciła się do mnie i przemówiła ponownie w naszym języku:

- Teraz ty spróbuj.

- Ja?

- Ty. Najpierw połóż dłoń na pniu.

Posłuchałem jej pomimo sceptycznego nastawienia.

- Zanim zaczniesz mówić, wsłuchaj się.

- Słyszałem szum gałęzi.

- Nie słuchaj uszami. Słuchaj dłońmi.

Wcisnąłem wewnętrzną stronę dłoni w powierzchnię pnia. Moja skóra przylgnęła do chłodnej, gładkiej kory. Poczulem lekkie pulsowanie w koniuszkach palców, które rozeszło się stopniowo na całą dłoń, a potem rękę. Wydawało mi się, że czuję przepływający przez drzewo subtelny rytm powietrza i ziemi, rytm, który łączył w sobie moc fali oceanu z czułością oddechu dziecka.

Bez zastanowienia zacząłem wydawać świszczący odgłos podobny do tego, który usłyszałem u Rhii. Ku mojemu zdziwieniu gałęzie odpowiedziały, machając z gracją nade mną. W powietrzu rozszedł się szept. Prawie się uśmiechnąłem na myśl, że choć nie rozumiałem słów, drzewo coś do mnie

mówiło.

Powiedziałem do Rhii i starego buka:

- Kiedyś chciałbym się nauczyć tego języka.

- Na nic ci się nie przyda, jeżeli Druma zginie. Tylko tutaj w całej Fincayrze są jeszcze drzewa na tyle przytomne, żeby mówić.

Wzruszyłem ramionami.

- I co ja mogę w tej sprawie zrobić? Powiedziałem ci już, że nie jestem osobą z twojego snu.

- Sen nie ma znaczenia! Jest w tobie coś szczególnego. Coś... niezwykłego.

Od jej słów zrobiło mi się ciepłej na duszy. Nawet jeżeli ja nie wierzyłem w nie, fakt, że ona mi zaufała, miał dla mnie ogromne znaczenie. Pierwszy raz od bardzo dawna wyobraziłem sobie, jak siedzę na trawie i koncentruję się na kwiatku, sprawiam, że jego płatki otwierają się jeden po drugim. Wtedy przypomniałem sobie, dokąd zaprowadziła mnie tamta droga, i zadrzałem.

- Kiedyś było we mnie coś niezwykłego. Ale ta część mnie już nie istnieje.

Jej szaroniebieskie oczy świdrowały mnie.

- Cokolwiek masz, masz to ze sobą teraz.

- Mam tylko siebie i swoją wyprawę, która pewnie zaprowadzi mnie daleko stąd.

Pokręciła stanowczo głową.

- To nie wszystko, co masz.

Nagle zrozumiałem, co ma na myśli. Galator! Nie zależało jej na mnie. Potrzebny był

jej wisior, który nosiłem, a którego moc była dla mnie nieprzenikniona. Nie miało znaczenia, w jaki sposób doszła do wniosku, że mam go ze sobą. Ważne było, że jakimś cudem to wiedziała. Jakież byłem naiwny, myśląc choćby przez chwilę, że zobaczyła coś niezwykłego we mnie. W mojej osobie, a nie w moim naszyjniku.

- To nie mnie potrzebujesz - mruknąłem.

Zrobiła zdziwioną minę.

- Tak myślisz?

Zanim odpowiedziałem, szpony Kłopoty wpiły się w moje ramię z niespodziewaną siłą. Jęknąłem z bólu. Nie mogłem zrobić nic więcej, bo wiedziałem, że ptak może rzucić się na mnie tak zaciekle, jak

wtedy na szczura przy strumyku. Mogłem tylko próbować znieść ból, narzekając na to, że drzemlik upatrzył sobie do siedzenia właśnie moje ramię. Ale dlaczego wybrał mnie? Czego on naprawdę chciał? Nie miałem najmniejszego pojęcia.

- Popatrz! - Rhia wskazała na jaskrawą plamę opalizującej czerwieni i purpury, która zniknęła między drzewami. - Ptak alleah!

Ruszyła za nim, potem zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Chodź! Musimy podejść bliżej. Ptak alleah to szczęśliwy omen! Od lat nie widziałam żadnego.

Pomknęła za ptakiem, a ja zauważyłem, że w tej samej chwili drzewami poruszył

wiatr i gałęzie energicznie zaszumiały. Nawet jeżeli naprawdę coś mówiły, Rhia nie zwracała na to uwagi. Pognałem za nią.

Ścigaliśmy ptaka, pędząc po leżących na ziemi gałęziach i iglastych paprociach. Za każdym razem, kiedy zbliżaliśmy się na tyle, żeby mu się lepiej przyjrzeć, odlatywał, tryskając barwami, pokazując tylko tyle swojego pióropusza, byśmy chcieli zobaczyć więcej.

W końcu ptak alleah usadowił się na niskiej gałęzi w kępie martwych drzew.

Najprawdopodobniej wybrał to miejsce, ponieważ giętkie żywe konary kołysały się na wietrze. Pierwszy raz jego jaskrawych piór nie zasłaniały liście. Rhia i ja, zziajani po pościgu, usiłowaliśmy stać w bezruchu, kiedy chłoniliśmy widok płomiennie purpurowego czuba na głowie ptaka i feerii szkarłatu wzdłuż jego ogona.

Rhia z ledwością opanowała ekscytację.

- Zobaczmy, jak blisko uda nam się podejść.

Zaczęła się skradać, wymijając martwą gałąź.

Nagle Kłopot głośno zagwizdał. Kiedy wzdrygnąłem się od świstu przy samym uchu, sokół poderwał się do lotu. Serce zabiło mi mocniej, kiedy zrozumiałem, że szykuje się do ataku na pięknego ptaka.

- Nie! - krzyknąłem.

Rhia zaczęła szaleńczo wymachiwać rękami.

- Stój! Stój!

Drzemlik nie zwracał na to uwagi. Wydał z siebie kolejny złowieszczy świst i pomknął jak strzała prosto ku swojej ofierze. Napadnięty z zaskoczenia ptak alleah zaskrzeczał z bólu, kiedy Kłopot zatopił szpony głęboko w jego miękkiej szyi i zaczął dziobać mu oczy. Mimo to bronił się z zaskakującą zaciekłością. Gałąź złamała się pod ich ciężarem.

Pierze fruwało na wszystkie strony, kiedy oba ptaki poleciały na ziemię.

Rhia pobiegła do nich, ja tuż za nią. Kiedy dotarliśmy na miejsce, oboje zamarliśmy.

Przed nami na brązowych liściach stał Kłopot z zakrwawionymi szponami wbitymi w bezwładne ciało swojej zdobyczy. Zauważyłem, że ptak alleah miał tylko jedną nogę. Drugą pewnie wyrwał mu sokół podczas walki. Poczulem mdłości na widok pogniecionych piór, świetlistych skrzydeł, które już nigdy nie polecą.

Kiedy tak przyglądaliśmy się zdumieni, ptak alleah zaczął się przeobrażać. Zmieniając się, wydostał się ze swojej skóry, zupełnie jak liniejący wąż. Została po nim szorstka, prawie przezroczysta powłoka, pofałdowana w miejscach, gdzie były pióra. Tymczasem skrzydła ptaka wyparowały, a pierzasty ogon zamienił się w wielkie węzowe cielsko pokryte matowoczerwonymi łuskami. Głowa się powiększyła i wyłoniły się z niej potężne szczęki wypełnione powykrzywianymi zębami, które bez trudu mogły odgryźć rękę. Nie zmieniły się tylko oczy, czerwone jak łuski. Wężowe stworzenie leżało martwe, z cienką skórą z poprzedniego ciała u boku.

Wziąłem Rhię za rękę.

- Co to znaczy?

Kiedy odwróciła się do mnie, miała bladą twarz.

- To znaczy, że twój sokół uratował nam życie.

- Co to jest?

- To jest - albo była - zjawa mimiczna. Może przybrać dowolną postać, dlatego jest szczególnie niebezpieczna.

- Te szczęki rzeczywiście wyglądają groźnie.

Ponura Rhia trąciła zrzuconą skórę kijem.

- Jak mówiłam, zjawa mimiczna może się zmienić we wszystko. Ale zawsze jest jakiś defekt, coś, co ją zdradzi, jeżeli się dobrze przyjrzysz.

- Ptak miał tylko jedną nogę.

Rhia pokazała na szepczące ciągle gałęzie za kępą martwych drzew.

- Drzewa próbowały mnie ostrzec, ale ich nie posłuchałam. Zjawa mimiczna w Drumie! Wcześniej to się nigdy nie zdarzyło. Och, Emrysie... mój sen ziścił się na moich oczach!

Schyliłem się i wyciągnąłem dłoń do drzemlika, który teraz muskał sobie piórka.

Kłopot przechylił głowę na jedną stronę, potem na drugą, w końcu wskoczył mi na nadstawiony



nadgarstek. Szybko wszedł mi bokiem na ramię. Jednak tym razem tak bardzo mi nie ciążył.

Spojrzałem na Rhię, która miała zmarszczone z obawy czoło.

- Wszyscy się myliliśmy co do tego wojownika - powiedziałem. - Nawet Arbassa się pomyliła.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Arbassa się nie pomyliła.

- Ale...

- Kiedy Arbassa zamknęła drzwi, nie zrobiła tego, żeby nie wpuścić drzemlika. -

Wzięła długi oddech. - Zrobiła to, żeby nie wpuścić ciebie.

Cofnąłem się o krok.

- Zdaniem tego drzewa mogę być dla ciebie zagrożeniem.

- Zgadza się.

- A ty w to wierzysz?

- Tak. Ale i tak postanowiłam cię wpuścić.

- Dlaczego? To było przed twoim snem.

Przyjrzała mi się zaintrygowana.

- Być może kiedyś ci opowiem.

# XVIII

## IMIĘ KRÓLA

Przeniosłem magiczny wzrok z kruchej jak wysuszony liść skóry zjawy mimicznej na żywe konary Drumy.

- Powiedz mi, co się dzieje w Fincayrze.

Rhia zmarszczyła brwi, a nie zdarzało jej się to zbyt często.

- Wiem niewiele, dowiedziałam się tego od drzew.

- Powiedz mi, co wiesz.

Wyciągnęła do mnie dłoń i zahaczyła jeden ze swoich palców o jeden mój.

- Fincayra przypomina mi koszyk słodkich jagód, które skwaśniały. Tak bardzo, że nie da się ich zjeść. - Westchnęła. - Kilka lat temu zaczęły się dzieć dziwne rzeczy. Złe rzeczy.

Tereny na wschód od rzeki, niegdyś prawie tak zielone i pełne życia jak ten las, dotknęła Plaga. Łądz czerniał, a wraz z nim czerniało niebo. Wcześniej Druma zawsze była bezpieczna.

Miała tak silną moc, że żaden wróg nie odważył się tu wkroczyć. Aż do dziś.

- Ile jest zjaw?

Kłopot zatrzepotał skrzydłami, po czym się uspokoił.

- Nie wiem. - Zmarszczki na czole dziewczynki pogłębiły się. - Ale zjawy mimiczne nie są naszymi najgorszymi wrogami. Są nimi gobliny wojownicy. Wcześniej mieszkali pod ziemią, w swoich jaskiniach. Teraz można je spotkać wszędzie i zabijają dla przyjemności. Są też upiornicy - nieśmiertelni żołnierze, którzy strzegą Spowitego Zamku. I jest Stangmar, ich król.

Na dźwięk tego imienia żywe gałęzie otaczające kępę martwych drzew zaczęły się trząść i stukotać. Kiedy w końcu się uspokoiły, zapytałem:

- Kim jest ten król?

Rhia przygryzła wargę.

- Stangmar jest straszny, zbyt straszny, żeby go opisać słowami. Trudno w to uwierzyć, ale wedle opowieści drzew, które słyszałam, kiedy doszedł do władzy, nie był tak podły. W tamtych czasach jeździł czasami po Drumie na wielkim czarnym koniu, nawet zatrzymywał się, żeby wsłuchać się w odgłosy lasu. Potem coś - nikt nie wie co - wywołało u niego przemianę. Zburzył swój zamek, miejsce muzyki i przyjaźni. A na jego miejscu postawił Spowity Zamek, twierdzę okrucieństwa i terroru.

Przez chwilę Rhia siedziała poważna.

- Znajduje się daleko na wschodzie, na najczarniejszym z Mrocznych Wzgórz, gdzie panuje niekończąca się noc. Nie słyszałam, żeby ktokolwiek, oprócz podwładnych samego króla, udał się tam i powrócił żywy. Nikomu to się nie udało! Więc nie wiadomo, jak jest naprawdę. Mimo to... wieści głoszą, że w zamku jest zawsze ciemno i że bez przerwy się obraca, tak szybko, że nikt nie może go zaatakować.

Zesztywniałem na wspomnienie swojego snu na morzu. Nawet teraz ten straszliwy zamek wydawał mi się aż nazbyt realny.

- Przez ten czas Stangmarowi udało się zatruć większość Fincayry. Wszystkie tereny na wschód od Drumy i niektóre na południe zostały oczyszczone, jak powiedzieliby jego poplecznicy. Naprawdę znaczy to, że wszystko pokrył strach - zimny, pozbawiony życia strach. To mi przypomina śnieg, z tym że śnieg jest miły. Wioski są spalone. Drzewa i rzeki są ciche. Zwierzęta i ptaki są martwe. A olbrzymi zniknęli.

- Olbrzymi?

W oczach Rhii błysnął gniew.

- Nasz pierwszy i najstarszy lud. Fincayra jest ojczyzną olbrzymów ze wszystkich krain. Jeszcze zanim z gór zaczęły spływać rzeki, Fincayrę znaczyły ślady stóp olbrzymów.

Długo zanim Arbassa wypuściła pierwsze pędy, ich basowe śpiewy rozchodziły się echem nad graniami i lasami. Nawet teraz, Lledra, ich najstarsza pieśń, to pierwsza piosenka, jaką śpiewa się dzieciom.

Lledra. Czy ja już kiedyś nie słyszałem tej nazwy? Wydawała mi się znajoma. Ale jak to możliwe? Chyba że była to jedna z pieśni Branwen.

- Kiedy urosną, nasi olbrzymi mogą być więksi od drzewa. Albo nawet wzgórza.

Jednak przez całe wieki wiedli pokojowy żywot. Oprócz wojen terroru dawno temu, kiedy gobliny chciały zdobyć Varigal, pradawne miasto olbrzymów. Zazwyczaj są łagodni jak motyle, chyba że ktoś ich rozgniewa.

Rhia tupnęła stopą.

- Ale kilka lat temu Stangmar wydał rozkaz - z jakiegoś znanego tylko sobie powodu -

żeby pozabijać olbrzymów, gdzie tylko się ich spotka. Od tamtej pory żołnierze polują na nich bez litości. Choć żeby zabić jednego olbrzymia, trzeba przynajmniej dwudziestu żołnierzy, prawie zawsze dopinają swego. Słyszałam, że z Varigal zostały ruiny. Możliwe, że kilku olbrzymów przeżyło, przybierając postać klifów albo grani, ale muszą się zawsze ukrywać, lękać o własne życie. Podczas wszystkich wędrówek po Drumie nie spotkałam ani jednego z nich.

Wpatrywałem się w zwłoki zjawy mimicznej.

- Jest jakiś sposób, żeby powstrzymać tego króla?

- Jeżeli jest, to nikt go nie znalazł! Moce Stangmara są potężne. Oprócz armii udało mu się zebrać prawie wszystkie Skarby Fincayry.

- Co to za Skarby?

- Magiczne. Potężne. Skarbów zawsze używano z korzyścią dla krainy i wszystkich jej mieszkańców. Ale nie teraz. Teraz wszystkie są jego: Kula Ognia, Zaklinacz Marzeń, Siedem Mądrych Narzędzi. Miecz o nazwie Głębotnij - o dwóch ostrzach, jednym, które wbija się w samą duszę, i drugim, które potrafi wyleczyć każdą ranę. Najpiękniejszy skarb, Harfa Kwitnienia, której muzyka sprowadza wiosnę na każdą łąkę i każde wzgórze. I najstraszniejszy, Kocioł Śmierci.

Jej głos zniżył się do szeptu:

- Tylko jeden z legendarnych Skarbów nie wpadł jeszcze w jego łapy. Ten, którego moc jest podobno większa niż wszystkich pozostałych razem wziętych. Galator.

Serce zabiło mi mocniej pod naszyjnikiem schowanym za tuniką.

Palec Rhii mocniej ścisnął mój.

- Słyszałam opowieści drzew, jakoby Stangmar zaprzestał poszukiwań Galatora, że zniknął on z Fincayry wiele lat temu. Słyszałam jednak również, że nadal szuka on czegoś, co będzie ostatnim ogniwem jego potęgi, a co nazywa ostatnim Skarbem. To może być tylko jedno.

- Galator?

Rhia przytaknęła powoli.

- Komuś, kto wie, gdzie jest ukryty, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ostrzeżenie było jednoznaczne.

- Wiesz, że to ja go mam.

- Tak - odpowiedziała spokojnie. - Wiem.

- I twoim zdaniem może on pomóc uratować Drumę.

Wydeła wargi zamyślona.

- Może tak, może nie. Tylko sam Galator może to powiedzieć. Ale i tak uważam, że mógłbyś nam pomóc.

Zrobiłem krok w tył i zadrapałem sobie szyję o złamaną gałąź. Kłopot zaskrzeczał na mnie z wyrzutem.

Jednak nie przejmowałem się ani bólem w szyi, ani bólem w uchu. W głosie Rhii usłyszałem bowiem coś, czego nie pozwoliłem sobie usłyszeć wcześniej. Naprawdę widziała we mnie kogoś wartościowego! Uważałem, że się myli. Ale jej wiara była swoistym skarbem, tak cennym jak ten, który miałem na szyi.

Dotarł do mnie sens tych słów. Tak cennym jak ten, który miałem na szyi. Nagle zrozumiałem, że mam wskazówkę! Wskazówkę, której szukałem.

Do tej pory wychodziłem z założenia, że o Galatorze słyszano w Fincayrze - nie, że jego miejsce jest w Fincayrze. Teraz znałem prawdę. To był najpotężniejszy ze Skarbów tej krainy. I być może zniknął w czasach, kiedy fale wyrzuciły mnie i Branwen w Gwynedd.

Gdyby tylko udało mi się dowiedzieć, jak Galator znalazł się w posiadaniu Branwen, albo przynajmniej poznać więcej jego sekretów, być może miałbym klucz do rozwiązania swojej zagadki.

- Galator - powiedziałem. - Co jeszcze o nim wiesz?

Rhia puściła moją dłoń.

- To wszystko. A teraz muszę iść. Z tobą albo bez ciebie.

- Dokąd?

Zaczęła coś mówić, po czym zamarła i nasłuchiwała. Wczepiony mocno w moje lewe ramię Kłopot również znieruchomiał.

Rozpuszczone brązowe włosy Rhii poruszyły się jak gałęzie, kiedy przez las przeszedł

kolejny powiew wiatru. Jej rysy stężały od koncentracji, a ja zastanawiałem się, czy jej przypominający dzwoneczki śmiech zabrzmiał jeszcze kiedyś między tymi drzewami. Leśne odgłosy były coraz wyraźniejsze: chór szelestów i trzasków, stuknięć i pojękiwań.

Kiedy wiatr zelżał, Rhia nachyliła się do mnie.

- W lesie są gobliny! Nie ma czasu do stracenia.

- Złapała mnie za fałdę tuniki. - Pójdiesz ze mną? Pomożesz mi znaleźć sposób na uratowanie Drumy?

Zawahałem się.

- Rhio... Przepraszam. Galator. Muszę się o nim dowiedzieć czegoś więcej! Nie rozumiesz tego?

Jej oczy się zwęziły. Odwróciła się bez pożegnania, szykując się do odejścia.

Podbiegłem do niej i złapałem za pnącze z jej rękawa.

- Życzę ci powodzenia.

- Ja tobie też - odparła chłodno.

W zaroślach za nami usłyszeliśmy hałas. Odwróciliśmy się i ujrzelśmy młodego jelenia z zaczątkami poroża nad brązową głową. Jeleń przeskoczył leżące na ziemi gałęzie, uciekając przed czymś. Przez ułamek sekundy wejrzałem w jego jedno brązowe oko, ciemne i głębokie, pełne lęku.

Przypomniałem sobie inną sytuację, kiedy widziałem jelenia. Jednak wtedy to ja miałem strach w oczach. I wówczas jeleń zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby mi pomóc.

Rhia wyszarpnęła rękę i zaczęła odchodzić.

- Zaczekaj! Pójdę z tobą.

Twarz jej rozpromieniała.

- Naprawdę?

- Tak... ale tylko do czasu, kiedy nasze ścieżki się rozejdą.

Przytaknęła.

- Czyli przez chwilę.

- Dokąd więc pójdziemy?

- Odnaleźć jedyną istotę w całej Drumie, która może wiedzieć, co robić. Nazywa się Wielka Eluza.

Z jakiegoś powodu imię to nie wzbudziło we mnie zachwyty.

# XIX

## MIÓD

Rhia puściła się pędem, zwinna jak jelen. Choć nadal miałem odrętwiałe nogi, starałem się nie stracić jej z oczu, kiedy gnaliśmy przez gęste zarośla i przebiegaliśmy nad strumieniami o omszałych brzegach. Mimo to często musiała przystawać, żeby na mnie zaczekać.

Słońce było wysoko na niebie, pasma promieni dobrze oświetlały poszycie, więc łatwiej mi było wymijać przeszkody niż zeszłej nocy. Potykałem się jednak na tyle często, że Kłopot w końcu sfrunął z mojego ramienia. Trzymał się blisko, przelatując z gałęzi na gałąź. I choć moim barkom ulżyło, nie miałem mu za złe, że łąpał na mnie okiem, co jeszcze przed chwilą mi przeszkadzało.

Uciekały przeróżne zwierzęta. Ptaki o małych szarych ciałach albo jaskrawozielonych skrzydłach, albo olbrzymich żółtych dziobach, czasami stadami, a niekiedy same, przelatywały nad naszymi głowami. Minąłem także wiewiórki o dużych oczach, bobry, łanię z jelonkiem i złotego węża. W oddali wyły wilki. W pewnej chwili spomiędzy drzew wyszedł

powoli olbrzymi kształt, czarny jak noc. Zamarłem przestraszony, ale wtedy za stworzeniem pojawiły się dwa mniejsze i wiedziałem, że napotkałem rodzinę niedźwiedzi. U wszystkich zwierząt widziałem ten sam lęk, który zobaczyłem u jelenia. I wszystkie uciekały stamtąd, dokąd my zmierzaliśmy.

Późnym rankiem, ocierając pot z czoła, wszedłem na ocienioną polanę. Cedry, które wyglądały na bardzo stare, tworzyły idealny okrąg. Ich kora była tak kosmata, że na pierwszy rzut oka można by je wziąć za zgromadzenie członków starszyny, których długie włosy i brody spływają po ich zgarbionych ciałach. Nawet delikatny szum ich gałęzi różnił się od szeptu innych drzew. Przypominały ludzi na pogrzebie nucących ponurą, smętną pieśń żałobną.

Wtedy na środku polany zauważyłem wąski kopiec z ziemi. Nie szerszy od mojego ciała, miał długość dwukrotności mojego wzrostu. Otaczały go okrągłe, wypolerowane kamienie, które połyskiwały jak niebieski lód. Ostrożnie zbliżyłem się do niego.

Kłopot wrócił na moje ramię. Jednak zamiast jak zwykle usadowić się, wiercił się nerwowo.

Wstrzymałem oddech. Kiedyś już tu byłem. To wrażenie - przeświadczenie -

poczułem nagle. Jak zapach kwiatu, który pojawia się i znika, zanim uda się znaleźć jego źródło, naszło mnie i zaraz potem zniknęło niczym mgliste wspomnienie. Być może to był

tylko sen albo wspomnienie snu. Jednak nie mogłem pozbyć się uczucia, że w pewnym sensie, choć nie wiedziałem jakim, kopiec w kręgu cedrów jest mi znajomy.

- Emrysie! Chodź!

Wołanie Rhii ściągnęło mnie na ziemię. Zerknąłem ostatni raz na kopiec i na smętne cedry, po czym

opuściłem polanę. Po chwili dziwne nucenie ustało. Jednak nadal pobrzmiwało w najskrytszych zakamarkach mojego umysłu.

Teren robił się coraz bardziej bagnisty. Rechet żab był tak głośny, że czasami nie słyszałem własnego oddechu. Czaple, żurawie i inne wodne ptaki nawoływały się nawzajem niesamowitymi, odbijającymi się echem głosami. Powietrze zaczynało cuchnąć zgnilizną. W

końcu zobaczyłem Rhię, która stała przy wysokich trawach na skraju mrocznej połaci ziemi.

To było bagno.

Zniecierpliwiona, poganiała mnie:

- Chodźmy.

Przyjrzałem się bagnu nieufnie.

- Musimy się tędy przeprowić?

- To najszybsza droga.

- Jesteś pewna?

- Nie. Ale goni nas czas. Widziałeś te wszystkie uciekające zwierzęta? A jeżeli się uda, to zaoszczędzimy przynajmniej godzinę. Po drugiej stronie bagna są wzgórza Wielkiej Eluzy.

Odwróciła się do wrzosowiska, ale złapałem ją za rękę.

- Kim właściwie jest Wielka Eluza?

Strząsnęła moją dłoń.

- Tak naprawdę nie wiem! Jej prawdziwa tożsamość jest tajemnicą, nawet dla Arbassy. Wiem tylko, że według legend mieszka wśród żywych kamieni Mglistych Wzgórz.

Wie rzeczy, których nie wie nikt, w tym rzeczy, które się dopiero wydarzą. I jest stara, bardzo stara. Słyszałam nawet, że była już wtedy, kiedy Dagda wyrzeźbił z boku góry pierwszego olbrzyma.

- Powiedziałaś... żywe kamienie?

- Tak się nazywają. Ale nie wiem dlaczego.

Zerknąłem w mrok pełen martwych drzew i zastałych bagien. W oddali zawołał

żuraw.

- Jesteś pewna, że ta istota nam pomoże?



- Nie... ale to niewykluczone. Jeżeli najpierw nas nie zje.

Cofnąłem się przerażony.

- Nie zje?

- Legenda mówi, że zawsze jest głodna. I zacieklejsza niż przyparty do muru olbrzym.

Kłopot pochylił się do Rhii. Zagwizdał nisko i długo.

Zmarszczyła brwi.

- Co się stało? - zapytałem.

- Kłopot obiecuje, że nas obroni. Ale nigdy wcześniej nie słyszałam w jego głosie niepokoju.

Prychnąłem.

- Współczuję Wielkiej Eluzie, jeżeli przyjdzie jej do głowy zjeść Kłopotą. Ten ptak nie wie, co to strach.

- Właśnie dlatego martwi mnie jego obawa.

Rhia odwróciła się w kierunku bagna. Stała na kawałku zaschniętego błota, skąd przeskoczyła na skałę. Kiedy za nią szedłem, zauważyłem, że na błocie zostają odciski naszych stóp, ale nie przejmowałem się tym, że zostawiamy ślady. Byliśmy tak głęboko w lesie, że nie miało to znaczenia.

Przeskakując ze skał na kłody i znowu na skały, przemierzaliśmy powoli bagno.

Suszki wyciągały do nas długie uschnięte odnoża. Dziwne głosy, inne niż te wydawane przez ptaki czy żaby, rozchodziły się echem nad mętną wodą, a co jakiś czas dołączał do nich gwizd Kłopotą. Kiedy staraliśmy się trzymać płytszych miejsc, często coś uderzało z pluskiem o powierzchnię wody albo poruszało się w jej ciemnych głębinach. Nie wiedziałem, co może się kryć za tymi odgłosami. I nie miałem ochoty się dowiedzieć.

Po pewnym czasie bagno się skończyło, a szara mgła zgęstniała. Dotarliśmy do mokrego pola wysokich traw, które stopniowo przeszło w twardy grunt. Przed nami stało wysokie, usiane skałami wzgórze, z którego wyciągały się w naszym kierunku przezroczyste ręce.

Rhia zatrzymała się.

- Mgliste Wzgórze. Gdyby tylko udało mi się znaleźć kiść słodkich jagód! Przydałaby się nam porcja dodatkowej energii na wspinaczkę. - Zerknęła na mnie niepewnie. - I na wszystko inne, co nas czeka.

Kiedy zaczęliśmy się wdrapywać, Kłopot poderwał się z mojego ramienia. Leciał w ciszy, zakreślając w powietrzu powolne, stateczne kręgi nad naszymi głowami. Domyśliłem się, że wypatruje w lesie śladów niebezpieczeństwa, ale chyba też świetnie się czuł, delektując się

wolnością szybowania w przestworzach.

Tu i ówdzie między drzewami pojawiały się głazy, niektóre wielkości domu Rhii.

Drzewa rosły coraz rzadziej, a ich sękaty korzenie mocno trzymały się stoku. Jednak pomimo większej odległości między pniami w lesie wcale nie było jaśniej. Może sprawiały to cienie gigantycznych głazów. A może wijąca się wokół nich mgła. A może jeszcze coś innego. Ale las robił się coraz ciemniejszy.

Kiedy wspinaliśmy się z wysiłkiem po stromym zboczu, wątpliwości osaczały mnie tak jak mgła. Nie wiedziałem, czym była w istocie Wielka Eluza, ale z pewnością nie wybrała sobie tego miejsca, bo lubiła przyjmować gości. A co się stanie, jeżeli najpierw znajdą nas gobliny z lasu? Dotknąłem Galatora pod tuniką, ale nie dodało mi to otuchy.

Nagle tuż przede mną wyrósł wielki szary kamień. Zamarłem. Być może to było tylko złudzenie optyczne, które zmyliło mój magiczny wzrok. Głaz nie wyglądał jak kamień, lecz jak twarz, pobrużdżona i enigmatyczna. Twarz, która na mnie patrzyła. Potem usłyszałem -

albo wydawało mi się, że usłyszałem - zgrzytanie, jakby ktoś odchrząkiwał. Głaz poruszył się nieznacznie.

Nie czekałem, co się stanie. Pognałem po stoku, potykając się o korzenie, skały i własne stopy.

W końcu dotarłem na wierzchołek. Ponad własnym przyspieszonym sapaniem usłyszałem gniewne bzyczenie. Pszczoły. Tysiące pszczoł kłębiących się wokół złamanego pnia martwego drzewa. Choć we mgle trudno było mieć pewność, wyglądało, jakby burza, prawdopodobnie niedawno, powaliła drzewo. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że pszczoły nie były z tego powodu zadowolone.

Rhia,

opierając

ręce

na

biodrach,

obserwowała

wściekle

bzyczenie

z

zainteresowaniem.

Odgadnąłem jej myśli i pokręciłem głową.

- Nie chcesz chyba - wysapałem - dobrać się do ich miodu?

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Miodu nigdy za wiele! To zajmie tylko minutę. Nie stracimy dużo czasu.

- Nie możesz tego zrobić! Popatrz na te pszczoły.

Wtedy Kłopot poszybował w dół, delektując się ostatnim lotem nurkowym przed wylądowaniem na moim ramieniu. Ten ptak ubóstwiał latać. Usadził się i zaświergotał

zadowolony. Zaskoczyło mnie to jak znajomy, wręcz naturalny był teraz jego ciężar na ramieniu. Tyle się od wczoraj zmieniło! Drzemlik złożył pręgowane skrzydła na grzbiecie, po czym przechylił głowę w moją stronę.

Wiedziony impulsem, mrugnąłem do niego.

Kłopot mrugnął w odpowiedzi.

Rhia dalej przyglądała się złamanemu pniowi.

- Gdybym tylko znalazła sposób, żeby odwrócić uwagę pszczół, choćby na kilka sekund. To by wystarczyło.

Kłopot zaskrzeczał nagle i poderwał się do lotu. Skierował się w sam środek roju.

Wleciał między pszczoły i wymłócił je skrzydłami, po czym czmychnął we mgłę. Rój rzucił się za nim w pościg.

- Szaleństwo! Ten ptak lubi walkę tak bardzo, jak ty lubisz...

Nie dokończyłem, gdyż Rhia już wspinała się na złamany pień w poszukiwaniu pszczelich zapasów miodu. Nasłuchiwałem bzyczenia, ale nic nie słyszałem. Podbiegłem do niej. Kiedy podciągałem się na niską gałąź, pień zatrzeszczał i zachybotał się.

- Rhia, uważaj! - zawołałem. - To drzewo może w każdej chwili runąć.

Ale ona, zaferowana, nachylała się już nad poszarpaną krawędzią pnia.

Wyprostowałem się na gałęzi i nachyliłem obok dziewczynki. Pod nami był zbiornik złocistego miodu otoczonego plastrami grubymi jak moja pierś. W gęstym syropie pływały kawałki gałęzi, kory i plastrów. Zanurzyłem dłoń, wyciągnąłem sporą porcję, po czym napiłem się słodkiego lepkiego płynu. Nigdy w życiu nie kosztowałem tak pysznego miodu.

Rhia najwyraźniej zgadzała się ze mną w tej kwestii, gdyż pochłonęło ją smakowanie miodu, który wyciągała oburącz i który skapywał jej z brody i policzków.

- Musimy ruszać - oznajmiła w końcu. - Weź ostatni łyk.

Złapałem spory plaster, który pływał tuż przede mną. Jednak kiedy go pociągnąłem, plaster nie chciał się ruszyć. Zaparłem się, chwyciłem go mocno i pociągnąłem z całej siły.

W tej chwili ze zbiornika coś się wynurzyło z ogłuszającym wyciem. Nagle dotarło do mnie, że trzymałem nie plaster miodu, lecz czubek wielkiego kartoflowatego nosa. Rhia wrzasnęła, a ja odskoczyłem w bok z dala od głowy, całej w miodzie, która unosiła się w naszą stronę. Właśnie wtedy podstawa grubego pnia zatrzęszczała, przechyliła się i złamała.

Pień przewrócił się na stok zbocza, a my poleciliśmy z nim.

## SHIM

Rhia i ja toczyliśmy się po wzgórzu. Przed nami potężna kłoda, pełna miodu i innych poukrywanych w jej wnętrzu rzeczy, turlała się i podskakiwała na stoku, nabierając prędkości.

W końcu uderzyła o olbrzymi głaz i roztrzaskała się na kawałki.

Kiedy już się zatrzymałem, świat dokoła jeszcze chwilę wirował. Usiadłem z trudem, ciągle oszołomiony.

- Rhia.

- Tutaj.

Podniosła głowę z trawy tuż przede mną, a w brązowych kosmykach miała miód i gałązki.

Oboje w tej samej chwili odwróciliśmy się w stronę jęku, który dobiegł ze szczątków pnia. Rhia sięgnęła ku mnie i zahaczyła swój palec o mój palec. Wstaliśmy i ostrożnie podeszliśmy bliżej.

Ujrzelśmy leżący pod głazem niewielki kopczyk, cały w miodzie, kijkach i liściach.

Potem kopczyk poturlał się, otrząsnął się energicznie i usiadł.

- To człowiek - powiedziałem z podziwem. - Mały człowieczek.

- Krasnolud - poprawiła mnie Rhia. - Nie wiedziałam, że w Fincayrze zostały jeszcze jakieś krasnoludy.

W masce z miodu otworzyło się dwoje różowych oczu.

- Oba się myli! Najzupełniej, najstraszliwiej, najwstrętniej! Ja nie jest krasnoludem.

Rhia przyjrzała mu się nieufnie.

- Nie? To kim jesteś?

Człowieczek wydmuchał z bulwiastego nocha miód. Kiedy ten ściekał mu po brodzie, mały oblizał sobie palce, dłonie i nadgarstki. Kiedy oczyścił ręce, zaczął rozglądać się na boki.

- Nie jest przyjaciółami króla?

Rhia skrzywiła się.

- Oczywiście, że nie.

- A ten twój czarnowłosy przyjaciel, co to pociąga innych za nosacze?

- Też nie.

- Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej?

Rhia uśmiechnęła się mimo woli.

- Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej.

- No to dobrze.

Maluch odkleił się od ziemi i wstał. Potem podszedł szybkim krokiem do Rhii. Choć sięgał jej trochę nad kolano, dumnie odchylił głowę.

- Ja nie jest krasnoludem. Jest olbrzymem.

- Kim? - zawołałem ze śmiechem.

Człowieczek spiorunował mnie wzrokiem, a jego różowe oczy połyskiwały.

- Ja jest olbrzymem - powtórzył, ale jego duma zaczęła znikać. Zrobił smutną minę i zgarbił się. - Tyle że ja jest bardzo, bardzo, bardzo małym olbrzymem. Żałuje, naprawdę żałuje, że nie może być wielki. Jak powinien być olbrzym.

- Nie wierzę ci. - Nachyliłem się, żeby mu się lepiej przyjrzeć. - Nie wyglądasz jak olbrzym. Nawet bardzo mały.

- Ale ja jest!

- A ja jestem grzybem.

- Co to za grzyb, co pociąga innych za nosacze?

Rhia się roześmiała, potrząsając każdym listkiem na szacie z pnączy.

- Emrysie, daj mu spokój. Skoro twierdzi, że jest olbrzymem, to właściwie mogę mu uwierzyć.

Zadowolony maluch poklepał swój sterczący brzuch.

- Właśnie je pysznotę, nikomu nie wadzi, kiedy mu przerywa.

- Ja mam na imię Rhia. A ty?

Mały obejrzał się nerwowo przez ramię, po czym wymamrotał:

- Najostrożności nigdy za wiele.

Zrobił małeńki krok bliżej.

- Nazywa się Shim.

Przyglądałem mu się nieufnie.

- I powiedz nam, Shimie, czy zawsze nurkujesz w miodzie, kiedy chcesz się go napić?

- Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej! Jak nie chce, żeby pokugły go pszczoły, to najlepszy ze sposobów.

Rozbawiona Rhia uśmiechnęła się.

- Coś w tym jest. Tylko trudno się potem wydostać.

Mały olbrzym wyrzucił z siebie:

- Ty... ty... ty się ze mnie podśmiewa!

- Ani trochę - droczyłem się. - W ogóle nie jesteś śmieszny.

Robiłem, co mogłem, żeby nie chichotać, ale w pewnej chwili wybuchnąłem gromkim śmiechem. Ryczałem, trzymając się za bok.

Małuch podbiegł do mnie i kopnął mnie z całej siły w stopę. Wtedy nie było mi już do śmiechu. Zawyłem i puściłem się w pogoń.

- Nie, przestanie! Prosi, przestanie! - krzyczał Shim, chowając się za nogami Rhii. -

Nie chcę cię skrzywdzić. Najprawdziwiej, najzupełniej, najszczerzej.

- Właśnie, że chciałeś! - Usiłowałem złapać lepłą masę kryjącą się za Rhia. - Jak cię dorwę, to ci dopiero ścisnę, i nie tylko nosacza.

- Daj spokój - poleciła Rhia i przytrzymała mnie za ramię. - Musimy się zbierać.

Zmitrężyliśmy już za dużo czasu.

Odsunąłem się niechętnie.

- Chyba masz rację. Tak czy siak zaraz wrócą pszczoły z żądlami gotowymi do ataku.

- Zerknąłem na Shima. - Na twoim miejscu bym się porządnie wykąpał, zanim się do ciebie dobiorą.

Różowe oczy zaokrągliły się ze strachu.

- Do mnie?

- Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej.

Mały olbrzym wciągnął powietrze.

- Naprawdę nie znosi, jak się go kugłuje!

Po czym rzucił się w kłębiącą się za głazem mgłę. Jednak zaraz po tym, jak zniknął, wrzasnął przerażony. Podbiegłem z Rhią zobaczyć, co się stało.

Za chwilę my również krzyknęliśmy. Wpadliśmy i sturlaliśmy się do głębokiego tunelu prowadzącego w głąb ziemi. W końcu zatrzymaliśmy się. Było zupełnie ciemno.

- Oooch, moja głowa - wymamrotałem.

Coś pode mną zaczęło się wiercić.

- Złazi ze mnie, głuptaku!

Ręka albo noga, lepka i umorusana błotem i liśćmi, uderzyła mnie prosto w twarz.

- Ała! Uważaj, ty ciamajdowata pajdo miodu!

- Przestańcie! - krzyknęła Rhia. - Musimy się stąd wydostać.

- A gdzie w ogóle jesteśmy? - zapytałem. - Musieliśmy wpaść do dziury. Głębokiej dziury. Tak głębokiej, że nie widzę nawet światła na górze. I ta ziemia! Jakaś taka nierówna, zupełnie nie przypomina skały.

- Jaaa mogę oodpowieeedzieć na waaaasze pytaaaania - zagrzmiął tubalny głos z głębi ciemności.  
- Odnaleeeezliście moooją kryyyjówkę.

- Czyją kryjówkę? - zapytaliśmy wszyscy naraz.

Nastąpiła długa pauza.

- Kryjóóówkę Wieceelkiej Eluuuzy.



## WIELKA ELUZA

Ściany komnaty drżały od potężnego głosu.

Rhia przyłgnęła do mojego boku. Staralem się coś dojrzeć, ale mój magiczny wzrok był bezużyteczny w tak zupełnej ciemności. Przez chwilę rozważałem, czy nie złamać złożonej w Caer Myrddin obietnicy i nie odwołać się do mocy, którą być może jeszcze władałem. Dla obrony. Ale sama myśl o tym podsycała wszystkie moje dawne lęki i siedziałem sparaliżowany.

- Czy ty jest - wyszeptał Shim w mrok - stworzeniem, które, które, które wszystko zadajada?

- Zjaaadam to, na co maaam ochoootę - zagrzmiął tubalny głos, a jego drzenie osaczyło nas ze wszystkich stron. - A teeraz, zaaanim waaas zjeeem, powieeedzcie mi, kiiiiim jesteeecie.

Wykrzesalem odwagę i odchrząknąłem.

- Ja mam na imię... Emrys.

- Eeeemrys skąąąd?

Tym razem mój głos był słabszy.

- Nie wiem.

- A ja jestem Rhia, z Lasu Druma.

Po chwili Wielka Eluza zagrzmiiała:

- Ktooo jeeeeszcze tu jeeest?

Nikt nie odpowiedział.

- Ktooo jeeeeszcze tu jeeest? - Jej głos był tak głośny, że na głowy posypała nam się ziemia.

Nie było odpowiedzi. Tylko sapanie, zapewne przestraszonego małego olbrzyma.

- To Shim - wyjaśniła Rhia. - Również z Drumy.

- Wzięła głęboki oddech. - Proszę, nie zjadaj nas. Przyszliśmy po pomoc.

- Jaaaaką poomoc?

- Żeby uratować Drumę! Mój dom!

- I również mój - dodałem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

Wtedy, zupełnie znenacka, komnatę zalało światło. Spojrzeliśmy po sobie, naprawdę oszołomieni. Znaleźliśmy się bowiem w olbrzymiej jaskini wykutej w skale. Choć ściany wokół nas lśniły, nie było wiadomo, skąd dochodzi światło. Jeszcze bardziej tajemnicze było to, że nie widzieliśmy nigdzie śladu Wielkiej Eluzy. W promiennej jaskini oprócz nas nie było nikogo.

- Gdzie ona jest? - rozejrzałem się po połyskujących ścianach.

Rhia zmarszczyła brwi.

- Nie mam pojęcia.

Tymczasem Shim siedział rozdygotany z twarzą w dłoniach.

- I to światło... - Sięgnąłem do ściany. - Patrzcie! To same skały świecą!

- Kryształy - powiedziała zdumiona Rhia. - Jaskinia świecących kryształów.

Rzeczywiście, ściany, sufit i podłoga jaskini emanowały jaskrawym, tańczącym światłem. Kryształy wokół nas skrzyły się i połyskiwały jak mieniąca się w słońcu powierzchnia podziemnej rzeki. I jestem pewien, że moja twarz również świeciła, gdyż nawet w czasach, kiedy widziałem normalnie, kiedy kolory były intensywniejsze, a światło jaskrawsze, nigdy nie widziałem niczego, co dorównywałoby pięknem tej kryształowej jaskini.

Poczułem niespodziewaną falę ciepła na piersi. Zerknąłem za pazuchę tuniki i podskoczyłem. Galator świecił tak jasno jak ściany! Z klejnotu w sercu wisiora wydobywał

się żywy zielony blask. Kiedy podniosłem wzrok, Rhia przyglądała mi się z uśmiechem.

- Podoba wam się moja jaskinia? - Z jednej ze ścian dobiegł inny, arogancki i cienki głos.

Choć Shim nadal trząsał się ze strachu, ja i Rhia nachyliliśmy się do źródła głosu. Tam, pośród wielkiego kręgu kryształów, wisiała delikatna pajęczyna. Jej nici rozchodziły się ze środka jak światło promieniujące z gwiazdy. Na sieci wisiał pająk wielkości paznokcia. Jego maleńką głowę i równie tygi grzbiet pokrywały mikroskopijne włoski, które świeciły na biało jak kryształy.

- Mnie się bardzo podoba - odparłem.

- Przypomina mi wszystkie gwiazdy, które w życiu widziałam - powiedziała Rhia.

Przyglądałem się, jak okrągły grzbiet pajęczycy podryguje, kiedy ta wspinała się na wyższą nić.

- Czy ty jesteś...

- Tak - oznajmiła. - Jestem Wielką Eluzą.

- Ale twój głos był wcześniej... taki potężny.

Ignorując mnie, biała pajęczycza doczepiła do sieci jedwabną nić. Przerzuciła żyłkę nad porwanym kawałkiem pajęczyny i przeskoczyła na niższy poziom. Szybкими ruchami dwa z jej ośmiu odnóży zawiązały żyłkę. Po zakończeniu napraw wróciła na środek.

- Jakim cudem miałaś tak potężny głos? - zapytałem znowu.

- Och, jak chcę, mogę być potężna. - Pajęczycza wskazała na Shima. - Na tyle potężna, żeby połączyć ten tam trzęsący się ze strachu kasek za jednym posiedzeniem.

Mały olbrzym, który nadal miał twarz schowaną w dłoniach, jęknął.

- Jeżeli nie mam ochoty na pożeranie gości - mówiła dalej nonszalanckim, cienkim głosikiem - to na jakiś czas się zmniejszam. Mój żołądek się kurczy, ale bynajmniej nie apetyt. Tak czy inaczej to, co widać, rzadko odpowiada rzeczywistości. Jak z całą pewnością wiesz, Emrysie, to jest pierwsza reguła magii.

Wstrzymałem oddech.

- Nie wiem nic o magii! Oprócz tego, że jest niebezpieczna, bardzo niebezpieczna.

- Czyli jednak wiesz coś o magii.

- Więcej już niczego się nie dowiem.

- Szkoda. W przyszłości magia mogłaby ci się do czegoś przydać.

- Nie mnie. W mojej przyszłości nie ma miejsca dla magii. Przynajmniej nie dla mojej magii.

Pajęczycza przyglądała mi się przez chwilę.

- Skoro tak twierdzisz.

Wypatrzyła dwa razy od siebie większego chrząszcza, który wleciał w jej pajęczynę, podbiegła do niego, przegryzła mu szyję i zaczęła, aż przestanie się szarpać. W mgnieniu oka mocno związała go jedwabną nitką. Oderwała mu jedną nogę i zaczęła ją przeżuwać.

- Ale jeść lubię. To akurat jest prawda.

- Możesz nam pomóc? - poprosiła Rhia. - Druma... jest w tarapatach.

Wielka Eluza oderwała kolejną nogę chrząszcza.

- Oczywiście, że jest w tarapatach! Jak cała reszta Fincayry! W takich samym tarapatach jak ten chrząszcz, którego zjadam kawałek po kawałku. Dopiero teraz zdałaś sobie z tego sprawę?

Rhia zwiesiła głowę.

- Nie chciałam w to uwierzyć.

- I uwierzyłaś dopiero teraz, kiedy Plaga prawie puka do twoich drzwi! Czekalaś za długo.

- Wiem! Ale może jeszcze nie jest za późno. Pomożesz nam?

Pajęczycza odgryzła kolejny kąsek i przeżuwała go zawzięcie.

- I co miałabym niby zrobić?

- Mogłabyś wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje.

- Po co? - Dalej przeżuwała. - Trwałoby to za długo, gdybym chciała wam wszystko opowiedzieć. Skończyłoby mi się jedzenie i wtedy musiałabym zjeść was.

- Tylko mi powiedz, czy można ją zatrzymać w jakikolwiek sposób. - Po czym Rhia dodała, zerkając na mnie: - Może jest ktoś, kto tego dokona.

Pajęczycza podrapała się odnóżem po włochatym grzbiecie.

- Powiem ci tyle. Fincayra - w tym Druma - jest skazana na zagładę, chyba że uda się obalić króla zwanego Stangmarem.

- Obalić! Czy to możliwe?

- To zależy - oznajmiła pajęczycza - od tego, co Stangmar nazywa ostatnim Skarbem.

To coś, co kiedyś posiadał, a potem, dawno temu, stracił.

Spojrzałem w dół na tunikę, pod którą świecił Galator.

- Możesz nam opowiedzieć o jego mocy?

Pajęczycza zastanawiała się przez chwilę, po czym wyjaśniła:

- Ostatni Skarb ma wielką moc, większą, niż wam się wydaje. - Złapała kolejną nogę i odgryzła dolną połowę. - Stangmar jest przeświadczony, że kiedy go znajdzie, jego moc będzie pełna.

- I ma rację - westchnęła Rhia.

- Nie! Myli się. To nie jego moc będzie pełna, tylko jego niewola.

- Niewola?

- Będzie niewolnikiem najstraszniejszego spośród wszystkich duchów, zwanego Rhitą Gawrem.

Zesztywniałem.

- Dla Rhity Gawra wasz król to tylko środek do ważniejszego celu. - Pajęczycza poskubała kolano chrząszcza, po czym cmoknęła zadowolona. - Zapanować nad wszystkim: nad tym światem, nad Ziemią i Zaświatem. To jest jego prawdziwy cel.

Ponownie cmoknęła, po czym wgrzyła się w staw.

- Jego największy przeciwnik, Dagda, walczy z nim na wielu frontach, zbyt wielu, żeby je wymienić. Jednak Rhita Gawr zjednął sobie Stangmara i wykorzystał króla, żeby opanować sporą część Fincayry. Z niewielu rzeczy, które mogą go teraz zatrzymać, najważniejsza to...

Kolejne cmoknięcie, kolejny chrzęst.

- Ostatni Skarb. Jeżeli on również wpadnie mu w łapy, to z całą pewnością Rhita Gawr podbije Fincayrę. Wtedy będzie kontrolował pomost między Ziemią a Zaświatem.

Będzie mógł podbić samą Ziemię. Twardy kąsek, choć łakomy - teraz mówiłam o tej nóżce.

A jeżeli tak się stanie, to będzie po wszystkim.

Zmarszczyłem brwi, usiłując zrozumieć.

- Czy król nie wie, że jest wykorzystywany?

- Wie. Ale Rhita Gawr już dawno temu go przekabacił.

Pajęczycza połknęła ostatni kawałek nogi, potem starannie wytarła sobie usta odnóżami najbliższej głowy.

- Stangmar zatracił umiejętność samodzielnego podejmowania decyzji.

- Jednak gdyby udało się go jakoś obalić, moglibyśmy powstrzymać Rhitę Gawra.

- Być może.

Rozczarowana Rhia oparła się o ścianę lśniących kryształów.

- Ale jak?

Wielka Eluza wgrzyła się w brzuch chrząszcza.

- Mmm, wybornie kruchy.

- Jak? - powtórzyła Rhia.

Pajęczycza przełknęła.

- Jest tylko jedna możliwość. Nie, nie. To właściwie nawet nie jest możliwość.

- Jaka?

- Trzeba zniszczyć zamek króla.

Rhia zamrugła.

- Spowity Zamek?

- Tak. To dzieło samego Rhity Gawra i przez jego mury moc złego ducha emanuje na Stangmara i jego armię. Sami upiornicy są częścią zamku, którego strzegą. - Pajęczyca ugryzła kolejny kęs brzucha. - Mmm. Pyszne. Na czym to ja stałam? Ach tak, upiornicy. To dlatego nigdy nie wychodzą poza mury zamku. Jeżeli uda się wam zniszczyć zamek, zgładzicie także ich.

- To niemożliwe! - krzyknęła Rhia. - Spowity Zamek zawsze się kręci, zawsze jest pogrążony w mroku. Nie da się go nawet zaatakować, a co dopiero zniszczyć.

- Jest pewien sposób. - Pajęczyca, nadal przeżuając, zwróciła się do mnie: - Tak samo jak jest sposób, żeby ślepy znów widział.

Podskoczyłem przestraszony.

- Jak się o tym dowiedziałaś?

- Tak samo jak ty widzisz magicznym wzrokiem rzeczy, których inni nie widzą zwykłymi oczami.

Spojrzałem na Rhię.

- Pismo na ścianach Arbassy! To dlatego go nie widziałaś.

- A jeżeli przeżyjesz, twój magiczny wzrok będzie jeszcze silniejszy. Pewnego dnia może będziesz nie tylko widział, ale i rozumiał.

- Chcesz powiedzieć, że mógłbym odczytać, co tam było napisane?

- Jeżeli przeżyjesz.

- Naprawdę?

- Nie lekceważ potęgi swojego magicznego wzroku! Pewnego dnia nauczysz się na nim polegać. Kochać go. Może nawet bardziej niż kiedyś kochałeś swoje oczy. - Pajęczyca urwała, żeby podjąć czoło chrząszcza. - Sama nie pogardzę dobrym okiem.

- Powiedziałaś, że jest jakiś sposób - przypomniała Rhia.

Białe stworzenie chwyciło trzema odnóżami pozostałości chrząszcza i wyjadło mu resztę brzucha.

Pajęczycza przeżuwała powoli, delektując się smakiem.

- Chyba nie starczy mi czasu, żeby wam to wyjaśnić. W rzeczy samej, powinniście zbierać się do wyjścia, dopóki możecie. Niedługo skończę z tym kąskiem, a potem, biorąc pod uwagę mój apetyt, obawiam się, że nadejdzie wasza kolej.

Shim znowu jęknął zza złożonych dłoni.

- Jaki to sposób?

- Wiesz coś o Kotle Śmierci? - zapytała pajęczycza, czyszcząc jedno z odnóży.

- Kogo się do niego wrzuci, ten od razu ginie - przytaknęła ponuro Rhia.

- To prawda. Ale prawdą jest również, że ma on jeden poważny defekt. Gdyby ktoś się do niego wczołgał z własnej woli, nieprzymuszony, to kocioł zostałby zniszczony.

- Wpełznąć z własnej woli? A kto by coś takiego zrobił?

- Nikt, kto chciałby trochę pożyć. - Pajęczycza przez chwilę jeszcze przeżuwała, mlaskając. - Jednak w podobnym sensie również zamek ma słaby punkt. Niewielki, ale zawsze.

- Co to za słaby punkt?

- Istnieje pradawna przepowiednia, tak stara jak sami olbrzymi.

W tym momencie Shim rozłożył palce na tyle, żeby móc przez nie wyjrzeć.

Pajęczycza przeskoczyła na inną nić, oderwała czulek, który został po dawnej ofierze, i przełknęła go na jeden raz. Wracając do prawie zjedzonego chrząszcza, zaśpiewała: Gdzie w ciemności zamek wiruje miarowo,

Małe stanie się wielkie, koniec zacznie na nowo,

Tylko kiedy olbrzymi zatańczą w sali,

Wszystkie bariery runą i zło się oddali.

- Co to znaczy? - zapytała Rhia. - Tylko kiedy olbrzymi zatańczą w sali...

- Wszystkie bariery runą i zło się oddali. - Odgarnąłem sobie z twarzy czarne włosy. -

Czyli mury zamku runęłyby, gdyby kiedyś zatańczyli tam olbrzymi?

Kiedy pajęczycza skończyła jeść brzuch chrząszcza, oderwała skrzydło.

- Tak twierdzi przepowiednia. i Rhia spochmurniała.

- A więc dlatego Stangmar chce wybić wszystkich olbrzymów! On też musiał słyszeć proroctwo. Robi wszystko, co może, żeby upewnić się, że ono się nie spełni.

Pajęczycza schrupała resztę skrzydła.

- Zamierza też zniszczyć Varigal, najstarsze z miast.

- Ooooooch - jęknął Shim. - Ja wcale nie mów poważnie, kiedy mówię, że chce być duży. Wcale nie mówię. Najprawdziej, najzupełniej, najszczerzej.

Wielka Eluza zmierzyła wzrokiem rozdygotaną masę błota, gałązek i miodu.

- Żal mi cię, przykurczu. Choć twoi rodzice pochodzili z rasy olbrzymów, nie pojąłeś, że wielkość to coś więcej niż rozmiar kości.

- Ale ja jest szczęśliwy mały! To tylko głupkowaty kaprys, żeby być wielki. Wielki i martwy! Ja jest najszczęśliwiejszy, kiedy jest najżywiejszy.

- Niech ci będzie - odparła pajęczycza. - Teraz powinnam was ostrzec. Na kasku zostało jeszcze tylko jedno skrzydełko i kawałek głowy.

Oderwała skrzydło, wepchnęła sobie do ust i przeżuwała je przez kilka sekund.

- Hmm. A teraz już tylko głowa. Jestem nadal okropnie głodna. I zmęczona moim obecnym rozmiarem. Jeżeli w najbliższym czasie nie opuścicie mojej kryształowej jaskini, to będę zmuszona skosztować waszych rąk i nóg.

Rhia złapała mnie za rękę.

- Ona ma rację. Uciekajmy stąd.

- Ale jak?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała pajęczycza - ale wydaje mi się, że mogłoby się wam udać wspiąć po kryształach.

- Oczywiście! - krzyknęła Rhia. - Chodźmy.

Zaczęła się wspinać po świetlistej ścianie, łapiąc się co większych kryształów i stawiając na nich nogi. Shim ją wyminął, wdrapując się po stromej ścianie tak szybko, jak pozwalały mu krótkie kończyny. Na kryształach zostawały po nim ślady lepkiego syropu.

Widząc mnie pod sobą, Rhia zawołała:

- Szybko! Albo skończysz jak ten chrząszcz.

Zawahałem się, gdyż chciałem zadać Wielkiej Eluzie jeszcze jedno pytanie.



- Chodź!
- Idź - odparłem. - Ja zaraz do was dołączę.
- Lepiej to zrób. - Pajęczycyca sięgnęła po głowę chrząszcza, z której po chwili została tylko jedwabna pętla. - Bo choć jesteś wymizerowany, ale jadalny.
- Błagam, powiedz mi jedną rzecz - poprosiłem. - O moim domu. Moim prawdziwym domu. Możesz mi powiedzieć, gdzie on jest? Galator - który teraz świeci - to moja jedyna wskazówka.
- Ach, Galator! Podejdź tu i pokaż mi go.
- Boję się. Mogłabyś...
- Ojej, ty jesteś całkiem pulchniutki.
- Proszę! - krzyknąłem. - Możesz mi chociaż powiedzieć, jak mam odnaleźć matkę?

Ojca? Prawdziwe imię?

Przełykając resztkę chrząszcza, pajęczycyca odrzekła:

- Nie mogę ci tego powiedzieć. To twoje zada... Powiedziałabym, że masz wyjątkowo apetyczny zapach. Podejdź no tu, chłopcze. Podejdź. Niiieech ciii sięęę przyyyyrzę!

Głos pajęczycy robił się coraz potężniejszy, a ona sama nabierała większego rozmiaru.

Ale ja nie czekałem, żeby obserwować przemianę. Czmychnąłem z jaskini co sił w nogach.

## POTYCZKA WE MGLE

Wyszedłem z jaskini prosto w kłębiącą się mgłę. Z ledwością widziałem Rhię, choć była zaledwie kilka kroków ode mnie. Obok niej stał Shim, tak oblepiony gałęziami, błotem i liśćmi, że bardziej niż małego człowieczka przypominał miniaturową górę. Zerknąłem na Galatora i zobaczyłem, że już nie świeci.

Rhia siedziała w małym zagajniku wiązów, gdzie pięć młodych drzew rosło wokół starszego. Kiedy zobaczyła, jak wychodzę z jaskini, odetchnęła z ulgą. Potem nachyliła się do starego wiązu na środku zagajnika. Nawiązała z nim rozmowę w szeleszczącym języku. W

odpowiedzi drzewo kiwało się, a jego trzeszcząca mowa wydawała się niezwykle smutna.

Kiedy wreszcie Rhia odwróciła się do mnie, miała w oczach łzy.

- To drzewo przeżyło w Lesie Druma ponad dwieście wiosen. Jednak teraz jest przekonane, że to koniec. Każdego dnia opłakuje przyszłość swoich dzieci. Powiedziałam mu, żeby nie traciło nadziei, ale ono odparło, że ma jeszcze tylko jedno marzenie. Życ na tyle długo, żeby pomóc ochronić Drumę przed goblinami. Uważa jednak, że wcześniej po prostu umrze z żalu.

Stojący obok Rhii Shim potarł swój utyłany błotem nos i spuścił wzrok.

Przytaknąłem ponuro i popatrzyłem w kłęby mgły. Nagle poczułem słodki zapach jabłoni.

- Jessssteśśśś sssstraszenie ponura - powiedział znajomy głos.

- Cwen! - Rhia skoczyła na nogi. - Co cię tu sprowadza? Tak rzadko wychodzisz.

Trzymając przed twarzą podobną do gałęzi dłoń, Cwen wyłoniła się z mgły.

- Nie powinnam była zzzza tobą iśśśś. - Zawahała się, a w jej oczach o kształcie łez pojawił się lęk.

- Czy mi to kiedyśśśś wybaczyszszsz?

Oczy Rhii zwęziły się.

- Zrobiłaś coś strasznego.

W tej chwili z mgły wyłoniło się sześciu olbrzymich goblinów wojowników. Szybko nas otoczyli. Ich wąskie oczy połyskiwały spod spiczastych hełmów, umięśnione ręce wystawały spod naramienników, trójpalczaste dłonie ścisnęły rękojeści szerokich mieczy. Na ich szarozielonej skórze perlił się pot.

Jeden z nich, ten, który miał czerwone opaski nad łokciami, pogroził Cwen mieczem.

Chrapliwym głosem zapytał:

- Który to?

Cwen zerknęła na Rhie, która przyglądała jej się z gniewem i niedowierzaniem.

- Obiecali mi, *zzzz* będę mogła *uzzzzyć* Galatora, *zzzz* żeby *sssss* odmłodzić. -

Pomachała skurczonymi ze starości palcami. - Nie rozumieszysz? Palce nie będą mi już *usssy*chać!

Rhia skrzywiła się z bólem.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś, po tylu latach...

- Który? - zacharczał goblin.

Cwen wskazała na mnie guzłowatym palcem.

Goblin wszedł w zagajnik wiązów i wymierzył mi miecz w pierś.

- Oddaj mi go zaraz. Czy chcesz, żeby cię najpierw bolało?

- Pamiętaj, co powiedziałaśśśś - przypomniała Cwen. - Obiecałaśśśś, *zzzz* nie *zzzz* zrobisz im krzywdy.

Goblin odwrócił się do starzejącego się drzewołaka. Jego cienkie usta wykrzywił uśmiech.

- Musiałem się zapomnieć. Ale czy mówiłem coś o tobie?

Cwen zrobiła wielkie oczy ze strachu. Zaczęła się wycofywać.

- Nie! - krzyknęła Rhia.

Było za późno. Miecz goblina przeciął powietrze, odcinając Cwen rękę.

Ta wrzasnęła i złapała za otwartą ranę, z której tryskała brązowa krew.

- Widzisz? - zaśmiał się gardłowo goblin. - Już nie będziesz musiała się martwić tą starą łapą! - Zbliżył się do Cwen. - Teraz zajmijmy się drugą.

Krzycząc z przerażenia, zalana krwią z kikuta, Cwen zniknęła w mgle.

- Niech idzie - wycharczał goblin. - Mamy ważniejsze sprawy. - Przyłożył mi ociekający brązową krwią miecz do gardła. - Na czym skończyliśmy?

Przełknąłem ślinę.

- Jeżeli mnie zabijesz, nigdy nie dowiesz się, jak on działa.

Na twarzy goblina pojawił się złowrogi cień.

- Skoro już o tym wspomniałeś, mój pan istotnie kazał nie zabijać właściciela. Nie wspominał natomiast o oszczędzeniu jego kompanów.

Wciągnąłem powietrze.

- Gdybyś jednak zdradził mi, jak on działa, mógłbym ich nie zabijać. - Mrugnął do drugiego goblina.  
- Wtedy ja sam mógłbym się potargować z moim kochanym władcą.

Odwrócił się do trzęsącego się ze strachu Shima i kopnął go tak mocno, że ten przeleciał przez cały zagajnik.

- Zaczniemy od tego brudnego karła? Nie, chyba nie. - Odwrócił się do Rhii z błyskiem w wąskich oczach. - Leśna dziewczeczka! Cóż za niespodzianka.

Rhia zrobiła krok w tył.

Goblin skinął i dwóch członków jego bandy rzuciło się na nią. Każdy schwycił jedną udrapowaną liśćmi rękę.

- Daj mi go - rozkazał mi goblin.

Zerknąłem na Rhię, potem na goblina. Jak mogłem oddać Galatora?

- Natychmiast!

Nie ruszyłem się.

- A więc dobrze. Ty się pozastanawiaj, a my się w tym czasie zabawimy. - Wskazał

zamaszystym ruchem nadgarstka na Rhię. - Na początek połamiemy jej rękę.

Gobliny wykręciły Rhii rękę za plecami. Dziewczynka krzyknęła:

- Nie rób tego, Emrysie! Nie...

Zawyła z bólu.

- Nie! - zawołałem błagalnie i wyciągnąłem Galatora z tuniki. Klejnoty połyskiwały ponuro we mgle.

- Zostawcie ją.

Goblin uśmiechnął się dziko.

- Najpierw mi go daj.

Trzymające Rhię gobliny wykręciły jej mocniej ręce, prawie unosząc dziewczynkę, która znowu wrzasnęła.

Zdjąłem naszyjnik. W zagajniku było cicho, jeżeli nie liczyć skrzypienia starego wiązu. Podniosłem cenny wisior i podałem go.

Goblin mi go zabrał. Oglądając klejnot, zagwizdał podekscytowany, oblizując wargi zielonkawym językiem. Potem prychnął:

- Rozmyśliłem się. Najpierw zabiję twoich przyjaciół, a potem zapytam cię, jak to działa.

- Nie!

Wszystkie gobliny zarechotały. Ich olbrzymie torsy podrygiwały ze śmiechu z żartu przywódcy, a Rhia wydała zboląły jęk.

- No dobrze - wychrypiał goblin. - Może się zlituję. Pokaż mi, jak to działa.

Natychmiast!

Zawahałem się, gdyż nie wiedziałem, co zrobić. Nie było chyba lepszego momentu, żeby złamać przysięgę i odwołać się do swoich mocy. Czy się odważę? Kiedy zadawałem sobie to pytanie, przed oczami stanęły mi buchające, palące płomienie. Wrzaski Dinatiusa.

Woń mojej palącej się skóry.

Spróbuj, tchórze! - krzyknął we mnie jakiś głos. Musisz spróbować. Jednak z nie mniejszą zaciekłością inny głos odpowiedział: Nigdy więcej! Ostatnim razem straciłeś oczy.

Tym razem stracisz duszę. Nigdy więcej!

- Pokaż! - zażądał goblin.

Przez gęstniejącą mgłę widziałem, jak napinają mu się mięśnie. Podniósł miecz i przystawił ostrze do szyi Rhii.

A ja ciągle się wahałem.

Wtedy dziwny wiatr, z każdą chwilą coraz silniejszy, potrząsnął gałęziami starego wiązu na środku zagajnika. Jego skrzypienie zamieniło się we wrzask. Kiedy goblin podniósł

wzrok, drzewo odłamało się ze swoich korzeni i przewróciło. Goblin zdążył zawyc z bólu, kiedy drzewo go przywaliło.

Sięgnąłem po Galatora, który spadł na ziemię. Założyłem na szyję skórzany rzemyk.

Drugą ręką podniosłem miecz powalonego goblina i zaatakowałem jego kompana. Goblin, znacznie silniejszy ode mnie, szybko przyparł mnie do pnia przewróconego drzewa.

Wziął zamach, żeby mnie dobić, ale nagle zmarł. Na jego twarzy pojawiło się wielkie przerażenie - tylko raz wcześniej widziałem coś takiego, na twarzy Dinatiusa, kiedy pochłaniały go płomienie.

Odwróciłem się. Wtedy ja również zmarłem. Miecz wypadł mi z dłoni. Z kłębow mgły wyszła gigantyczna biała pajęczycza o szczękach ociekających śliną.

- Głoooodna - zawyła mrozącym krew w żyłach głosem. - Jeeeestem głoooodna.

Zanim zorientowałem się, co się dzieje, Rhia złapała mnie za nadgarstek i odciągnęła z drogi Wielkiej Eluzy. Osaczony goblin wrzeszczał, kiedy zbiegaliśmy po wzgórzu, a Shim pędził tuż za nami. Mały olbrzym gnał prawie tak szybko jak my, a jego stopy wzniecały tumany ziemi i liści.

Dwa gobliny uskoczyły przed potworem, zostawiając towarzyszy na pastwę losu, i rzuciły się za nami w pościg. Sapiąc i klnąc, wymachując w powietrzu mieczami, ścigały nas między spowitymi mgłą głazami. Choć pędziliśmy w dół stoku co sił w nogach, gobliny powoli nas doganiały. Za chwilę były tuż za Shimem.

Nagle z mgły wyłoniła się rzeka. Rhia krzyknęła:

- Woda! Skaczcie do wody!

Nie mając czasu na przemyślenia, posłuchaliśmy jej. Rzuciliśmy się do wartkiej rzeki.

Gobliny skoczyły za nami, wymachując w wodzie mieczami.

- Pomocy! - krzyknęła Rhia, choć nie miałem pojęcia do kogo. Potem uderzyła wściekle dłońmi o powierzchnię wody.

W tej chwili na środku rzeki zaczęła się wznosić fala. Wielka lśniąca ręka wyłoniła się z wody, unosząc Rhię, Shima i mnie. Płynne palce objęły nas niczym wodospad, a dłoń uniosła się wysoko nad kotłującą się powierzchnię rzeki. Otoczyła nas mgielka kropel, między którymi skrzyła się tęcza. Wodna ręka poniosła nas w dół rzeki, zostawiając napastników w tyle.

Po jakimś czasie ręka wycofała się do rzeki, sadzając nas przy piaszczystym brzegu.

Wypelziliśmy z wody, przemoczeni, ale cali. A Shim był na dodatek zupełnie czysty.

## WIELKIE STRATY

Rhia padła na brzeg, jej mokry strój z liści połyskiwał na słońcu. Kiedy powierzchnia rzeki się uspokoiła, wodny palec plusnął o jej dłoń. Zatrzymał się na chwilę, po czym zniknął w piasku.

Ale ona tego nie zauważyła. Posępnie kopała szmaragdowe trzciny przy brzegu rzeki.

Usiadłem koło niej.

- Dziękuję, że nas uratowałaś.

- Nie dziękuj mnie, tylko rzece. Nieustająca Rzeka to moja najstarsza przyjaciółka w lesie. Kapała mnie, kiedy byłam mała, poła, kiedy byłam starsza. A teraz uratowała nam życie.

Zerknąłem na rzekę, potem na Shima, który położył się na plecach w promieniach słońca. Pierwszy raz nie miał na ubraniu ziemi ani miodu i zauważyłem, że jego luźna koszula była utkana z żółtawej kory.

To mi przypomniało żółte obwódki wokół oczu Kłopoty. Czy dzielnemu sokołowi udało się uciec przed rojem pszczoł? A jeżeli nie, to czy przeżył ich zemstę? I zakładając, że tak, czy uda mu się mnie odnaleźć? Moje ramię było bez niego dziwnie puste.

Odwrociłem się do Rhii, która była jeszcze bardziej ponura niż ja.

- Nie wydajesz się zadowolona.

- Jak mogę być zadowolona? Straciłam dzisiaj dwójkę bliskich mi istot. Starą przyjaciółkę i nowego przyjaciela. - Jej oczy błędziły po mojej twarzy. - Cwen znałam, od kiedy mnie znalazła wiele lat temu. Stary wiąz poznałam kilka minut przed tym, jak poświęcił

się, żeby nas uratować. Bardzo się od siebie różnili. Ona była powyginana i zgarbiona, on wysoki i wyprostowany. Ona mnie zdradziła, on oddał za mnie życie. Ale oplakuję jedno i drugie.

- Ten wiąz nie zobaczy już swoich młodych drzewek - westchnąłem.

Rhia uniosła nieco brodę.

- Arbassa by się z tym nie zgodziła. Arbassa by powiedziała, że spotkają się w Zaświecie. Że wszyscy się tam kiedyś spotkamy.

- Naprawdę w to wierzysz?

Wzięła głęboki oddech.

- Nie jestem pewna. Wiem, że chcę w to wierzyć. Ale czy naprawdę się spotkamy po Długiej Podróży, tego nie wiem.

- Jakiej Długiej Podróży?

- To podróż do Zaświata, którą odbywa po śmierci mieszkaniec Fincayry. Arbassa twierdzi, że im więcej danej osobie zostało do nauczenia się w chwili śmierci, tym dłuższa będzie jej Długa Podróż.

- W takim razie, nawet jeżeli Zaświat istnieje, nigdy tam nie dotrę.

- Niekoniecznie. - Rhia zerknęła na rwącą rzekę, potem znów na mnie. - Arbassa opowiadała mi też, że czasami najodważniejsze i najszlachetniejsze dusze w ogóle nie muszą odbywać Długiej Podróży. Ich poświęcenie jest tak wielkie, że trafiają do Zaświata od razu, w chwili śmierci.

Prychnąłem.

- Czyli zamiast umrzeć, po prostu... znikają? Najpierw skręcają się z bólu, a po chwili są w Zaświecie, gdzie płasają radośnie? Nie wydaje mi się to możliwe.

Rhia opuściła głowę.

- Fakt, niełatwo w to uwierzyć.

- To niemożliwe! Zwłaszcza jeżeli te dusze i tak nie są zdolne do takiego poświęcenia.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Bo są zbyt tchórzliwe! - Zagryzłem wargę. - Rhia, ja... mogłem zrobić więcej, dużo więcej, żeby cię uratować.

Spojrzała na mnie wyrozumiale.

- Co jeszcze mogłeś zrobić?

- Mam pewne... moce. Niezwiązane z Galatorem. Zupełnie ich nie rozumiem. Wiem tylko, że są potężne. Zbyt potężne.

- Moce takie jak twój magiczny wzrok?

- Tak, ale silniejsze. Nieujarzmione. Dzikie. - Przez chwilę słuchałem kłębiącej się wody Nieustającej Rzeki. - Nigdy nie prosiłem o takie moce! Po prostu je otrzymałem.

Kiedyś, w furii, źle ich użyłem i kosztowało mnie to utratę wzroku. Cena, którą zapłacił drugi chłopiec, była jeszcze wyższa. Te moce nie są dla śmiertelników! Obiecałem, że już nigdy nie sięgnę po nie.

- Komu to obiecałeś?



- Bogu. Wielkiemu Uzdrawicielowi z modlitw Branwen. Obiecałem, że jeżeli odzyskam wzrok, to wyrzeknę się na zawsze swoich mocy. I Bóg usłyszał moje błaganie!

Jednak mimo to... powinienem był ich użyć. Żeby cię uratować! Niezależnie od obietnicy.

Spojrzała na mnie spod splątanych loków.

- Coś mi mówi, że ta obietnica nie jest jedynym powodem, dla którego stronisz od swoich mocy.

Zaschło mi w ustach.

- Tak naprawdę to się ich boję. Lękam się ich z całego serca.

Wyciągnąłem z płytkiej wody trzcinę i zgmiotłem ją między palcami.

- Branwen powiedziała mi kiedyś, że dostałem te moce od Boga, żeby ich używać, muszę się tylko nauczyć nad nimi panować. Używać ich dobrze, powiedziała, z rozwagą i miłością. Ale jak mogę stosować z rozwagą coś, czego boję się dotknąć? Jak można używać z miłością czegoś, co może zniszczyć ci oczy, życie, duszę? To niemożliwe!

Przez chwilę Rhia nic nie odpowiadała. Potem wskazała gestem dłoni spienione wody.

- Nieustająca Rzeka wygląda po prostu jak linia wody płynącej z jednego punktu do drugiego. A jednak to coś więcej. O wiele więcej. Jest wszystkim, co się na nią składa.

Również tym, co kryje się pod jej powierzchnią.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Wszystko. Myślę, że Branwen miała rację. Jeżeli ktoś - Bóg, Dagda czy ktoś inny -

obdarzył cię niezwykłą mocą, to masz jej używać. Tak jak Nieustająca Rzeka ma własne moce. Jesteś wszystkim, co się na ciebie składa.

Pokręciłem głową.

- Czyli powinienem zapomnieć o złożonej obietnicy?

- Nie powinieneś o niej zapominać, ale zapytaj samego siebie, czy tego właśnie oczekuje Bóg.

- Dał mi wzrok.

- Dał ci moc.

- To szaleństwo! - wykrzyknąłem. - Nie masz pojęcia...

Przerwało mi głośne parsknięcie, które rozległo się nieopodal. Podskoczyłem, przekonany, że to dzik. Potem chrapnięcie się powtórzyło i zrozumiałem, że to nie dzik, ale Shim. Zasnął na brzegu.

Rhia przyglądała się małej postaci.

- Chrapie jak prawdziwy olbrzym.

- W jego wypadku przynajmniej na pierwszy rzut oka wiadomo, co się za nim kryje.

Ze mną to nie takie proste.

Odwróciła się do mnie.

- Za bardzo się przejmujesz tym, kim jesteś. Bądź sobą i wcześniej czy później to odkryjesz.

- Wcześniej czy później! - Podniosłem się zezłoszczony. - Dziękuję za twoje rady.

Zajmij się własnym życiem.

Wstała i spojrzała mi w twarz.

- Przydałoby ci się pomyśleć o czyimś życiu, nie tylko o swoim. Nigdy nie spotkałam nikogo tak zaabsorbowanego samym sobą. Jesteś największym egoistą, jakiego widziałam!

Nawet jeżeli jesteś... - Ugryzła się w język. - Nieważne. Po prostu sobie idź i jeszcze trochę pomartw się o siebie.

- Żebyś wiedziała, że to właśnie zrobię.

Odszedłem wściekły do gęstego lasu przy Nieustającej Rzece. Zbyt zezłoszczony, żeby patrzeć, dokąd idę, przedzierałem się przez zarośla, ocierając sobie uda i obijając golenie. To jeszcze bardziej mnie zirytowało i zakląłem głośno. W końcu usiadłem na przegniłym pniaku, który był już właściwie kopczykiem z ziemi.

Nagle usłyszałem szorstki głos:

- Brać go!

Dwóch goblinów wojowników, tych samych, którym wymknęliśmy się w górze rzeki, wyskoczyło z zarośli i obaliło mnie na ziemię. Jeden wymierzył mi miecz w pierś. Drugi wyjął wielki wór z chropowatego brązowego płótna.

- Tylko teraz bez żadnych sztuczek - warknął goblin z mieczem. Skinął na drugiego szarzielonym łapskiem. - Ładuj go do wora.

W tej chwili niebo przeszył przenikliwy świst. Goblin z mieczem krzyknął i upadł, a z poszarpanej szponami ręki poleciała mu krew.

- Kłopot!

Wyturlałem się z kotłowniny i wstałem.

Wymachując szponami i skrzydłami przed twarzą goblina, drzemlik zmusił go, żeby się wycofał o parę kroków. Za każdym razem, kiedy goblin ciął mieczem, Kłopot nacierał mu na twarz, rzucając się szponami do oczu pod spiczastym hełmem. Pomimo wielkiej przewagi, jaką dawał goblinowi wzrost, zaciekłość małego sokoła była dla niego wyzwaniem.

Ale Kłopot nie wziął pod uwagę tego, że do walki przyłączy się kompan goblina.

Zanim zdążyłem go ostrzec, drugi wojownik zamachnął się potężną dłonią i trafił

nacierającego sokoła. Ptak uderzył o pień drzewa i spadł ogłuszony na ziemię. Leżał tam bez ruchu z rozłożonymi skrzydłami.

Zobaczyłem jeszcze, jak pierwszy goblin podnosi miecz, żeby pociąć drzemlika na kawałki. Wtedy dostałem czymś w głowę i dzień zamienił się w noc.

# XXIV

## PODMIANA

Kiedy odzyskałem przytomność, usiadłem prosto. Choć kręciło mi się w głowie, widziałem dokoła potężne konary drzew. Wciągnąłem do płuc wonne, wilgotne powietrze.

Wysłuchałem się w cichy szept gałęzi, który brzmiał dziwnie złowieszczo. I wiedziałem, że ciągle jestem w Lesie Druma.

Nigdzie nie było śladu goblinów. Ani Kłopoty. Czy to był tylko zły sen? Dlaczego tak bardzo bolała mnie głowa?

- Widzi, że się budzi.

Odwrociłem się przestraszony.

- Shim! Co się stało?

Mały olbrzym przyjrzał mi się nieufnie.

- Nigdy nie jest dla mnie najmiłszy. Mnie zrobi krzywdę, jak mu powie?

- Nie, nie. Bez obaw. Nic ci nie zrobię. Powiedz mi tylko, co się stało.

Nieprzekonany Shim w zamyśleniu potarł nochal w kształcie gruszki.

- Nic ci nie zrobię. Najpewniej, najzdecydowaniej, najstuprocentowiej.

- Niech mu będzie. - Trzymając dystans, Shim chodził tam i z powrotem po omszałej glebie. - Dziewczynka, ta miluszka, słyszy, jak walczy. Smuci się, że goblini cię łapie. Ona chce cię znaleźć, ale ja jej mówi, że jest zupełnie oszalała. Stara się, stara się!

Pociągnął nosem. Jego oczy, bardziej różowe niż zwykle, zwęziły się, kiedy na mnie spojrzał. Po policzku stoczyła mu się łza, omijając szerokim łukiem nochal.

- Ale ona nie słucha Shima. Ja idzie z nią, ale ja się bardzo boi. Bardzo, bardzo, bardzo boi. Ja i ona idzie przez las i znajduje miejsce, gdzie ty walczy z goblinami.

Złapałem go za rękę. Choć był mały, miał mięśnie żeglarza.

- Widziałeś sokoła? Małego?

Mały olbrzym odsunął się.

- Ona znajduje pióra, wszystkie krwiste, przy drzewie. Ale sokoła nie. Ona jest smutna, Shim to widzi. Ten sokół to twój przyjaciel?

Przyjaciel. To słowo w równej mierze zaskoczyło mnie i zasmuciło. Tak, ptak, którego jeszcze wczoraj chciałem się za wszelką cenę pozbyć, istotnie został moim przyjacielem. Tuż przed tym, jak mnie opuścił. Znowu poznałem ból utraty czegoś, co dopiero znalazłem.

- Ty też jest smutny.

- Tak - przyznałem cicho.

- To nie spodoba się reszta. Reszta nie jest miluszką, ani trochę.

- Opowiadaj.

Shim podszedł do potężnego korzenia cykuty i usiadł przygnębiony.

- Idzie po twoich śladach. Shim też idzie, ale coraz bardziej i bardziej się boi. Znajduje obóz gobliniaków. Oni akurat ze sobą walczą. Oni przepycha i pokrzykuje. I wtedy... ona wykonywa podmiannę.

Wstrzymałem oddech.

- Podmiannę?

Po policzku Shim spłynęła kolejna łza, omijając nos.

- Ja jej mówi, żeby nie robi! Ale ona mnie cicho ucisza i podkrada się do wora, gdzie jest ty. Rozwiązuje wór, wyciąga ciebie i zawleka w krzaki. Próbuje, obojga próbuje cię obudzić. Ale ty jest jak trup. Więc ona sama wchodzi do wora! I ja próbuje ją zatrzymać, ale ona mówi...

- Co? Mów!

- Mówi, że musi to zrobić, bo ty jest jedyną nadzieją Drumy.

Czułem, jak serce mi się kraje.

- Wtedy gobliniaki przestaje ze sobą walczyć. Nie zagląda do wora i ją zabiera.

- Nie! Nie! Nie powinna była tego robić!

Shim się skulił.

- Wie, że ci się nie spodoba.

- Jak tylko ją znajdą... Nie, to straszne!

- To okropne, to prawda.

Przed oczami stanęły mi chwile z Rhią. Uczta pod pełnymi owoców gałęziami shomorry. Oglądanie konstelacji w najmroczniejszych częściach nocnego nieba. Deszcz rosy na twarzy po powitaniu

Arbassy. Jej palec zahaczony o mój. To, jak przyglądała się mnie i świecącemu Galatorowi w kryształowej jaskini.

- Dwoje moich przyjaciół straciłem tego samego dnia. - Uderzyłem pięścią pokrytą mchem ziemię. - Zawsze to samo! Jak tylko coś znajdę, od razu to tracę.

Shim zgarbił małe barki.

- Nic się nie da zrobić.

Odwróciłem się do niego.

- Właśnie, że się da.

Choć kręciło mi się w głowie, zmusiłem się, żeby wstać.

- Ruszam za nią.

Shim wzdrygnął się i prawie spadł z korzenia.

- Ty jest zupełnie oszalały!

- Może i tak, ale nie oddam bez walki ostatniej przyjaciółki. Ruszam za nimi, dokądkolwiek ją zabrali. Nawet jeżeli będę musiał pójść do samego Spowitego Zamku.

- Oszalały - powtórzył Shim. - Zupełnie oszalały.

- Dokąd poszli?

- Wzdłuż rzeki. Oni idzie szybko.

- Ja też będę szedł szybko. Żegnaj.

- Zaczeka. - Shim złapał mnie za kolano. - Ja też jest zupełnie oszalały.

Choć intencje małego olbrzyma mnie wzruszyły, pokręciłem głową.

- Nie. Nie mogę cię zabrać, Shim. Będziesz tylko przeszkadzał.

- Ze mnie nie jest żaden wojownik. To najprawdziwiejsza prawda. Ja się boi prawie wszystkiego. Ale ja jest zupełnie oszalały.

Westchnąłem. Wiedziałem, że sam też nie jestem wojownikiem.

- Nie.

- Prosi cię, prosi!

- Nie.

- Ta dziewczynka. Ona jest dla mnie słodka, słodka jak miód. Chce jej tylko pomóc.

Przez chwilę mierzyłem wzrokiem przyglądającą mi się twarz na wysokości kolana.

- Zgoda - powiedziałem w końcu. - Możesz iść ze mną.

CZEŚĆ TRZECIA

## LASKA I ŁOPATA

Godzinami szliśmy wzdłuż Nieustającej Rzeki po gładkich kamieniach i pod niskimi gałęziami. W końcu rzeka skręciła na południe i dotarliśmy do wschodniego skraju Lasu Druma. Przez przerzedzające się drzewa widziałem jaskrawą witkę rzeki, a za nią ocienione równiny Znękanych Ziemi. Patrząc z tego miejsca, nie miałem wątpliwości, że Nieustająca Rzeka była skrzącą się linią, którą zauważyłem z wydmy pierwszego dnia w Fincayrze.

Trochę dalej wzdłuż rzeki dostrzegłem zbitkę owalnych głazów. Stały po obu stronach koryta, a przynajmniej jeden z nich znajdował się na środku rzeki. Kanał w tej okolicy wydawał się szerszy i płytszy. Mogło to być idealne miejsce na przeprawę. Na przeciwległym brzegu rosły posadzone w równoległych rzędach drzewa, które wyglądały jak sad. Jeżeli to był istotnie sad, to wyjątkowo nieregularny.

Za plecami usłyszałem trzask gałązek. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Shim z trudem przedziera się przez paprocie. Kilka zielonych rąk owinęło się wokół jego krótkich nóżek. Kiedy zwijał się i poskakiwał w paprociach, w wiszącej żółtej koszuli, z włochatymi stopami i wydatnym nosem bardziej przypominał źle ubraną lalkę niż osobę. Ale jego szorstkie brązowe włosy (nadal utyłane miodem, ziemią i gałązkami), nie wspominając o zaciekłych różowych oczach, nie pozostawiały wątpliwości, że to istota żywa. I rozeźlona.

- Oszałały - wymamrotał, kiedy już uwolnił się z paproci. - Jest oszałały!

- Jak chcesz, możesz zawrócić - przypomniałem.

Shim zmarszczył kartoflowaty nos.

- Wie, co myśli! Ty nie chce, żeby szedł! - Wyprostował się, ale i tak sięgał mi trochę ponad kolano.  
- Ale ja idzie. Idzie, żeby ją uratować.

- Wiesz, że nie będzie łatwo.

Mały olbrzym założył ręce na piersi i spojrzał na mnie z marsową miną.

Skierowałem swój magiczny wzrok raz jeszcze ku ziemiom po drugiej stronie rzeki.

Zdziwiło mnie, że wszystko, w tym drzewa w sadzie, było bledsze niż to, co widziałem w Drumie. Intensywność barw, którą postrzegałem w Fincayrze, zniknie, kiedy przepawimy się przez rzekę. Przyzwyczaiałem się do żywszych kolorów w lesie i nawet miałem cichą nadzieję, że mój magiczny wzrok się poprawił. Ale teraz poznałem prawdę. Mój magiczny wzrok był

tak samo przytłumiony jak przedtem, tak wyblakły jak krajobraz przede mną.

I tak jak przedtem równiny miały dziwny rdzawy kolor. Wszystkie wschodnie tereny oprócz czarnych



krawędzi w oddali cechowała barwa, którą Rhia nazwała „zaschniętą krwią”.

Zaciągnąłem się głęboko wonnym leśnym powietrzem. Słuchałem, być może ostatni raz, nieustannego szeptu konarów. Dopiero zacząłem wyczuwać różnorodność i złożoność języka drzew, niekiedy subtelnego, niekiedy przytłaczającego. Nawet teraz zastanawiałem się, co bym usłyszał, gdybym rozumiał ich głosy. Obiecałem sobie w duszy, że jeżeli wrócę kiedyś do tego lasu, to zbadam panujące w nim zwyczaje, poznam jego tajemnice.

Tuż nad moją głową zadrżała gałązka cykuty, wypełniając powietrze intensywną wonią. Sięgnąłem i roztarłem jej płaskie igły między kciukiem i palcem wskazującym w nadziei, że moja dłoń już zawsze będzie pachnieć lasem. Wiedziony impulsem owinałem palce w połowie gałęzi. Mocno ją ścisnąłem, jakbym podawał komuś dłoń. Pociągnąłem, chcąc ją rozkołysać.

Nagle się złamała. Z gałęzią w dłoni wylądowałem w paprociach - i na Shimie.

- Ty najgłupkowszy głupcze! - Człowieczek stanął z powrotem na nogi, zamachnął się, żeby pacnąć mnie w rękę, ale nie trafił i spadł z powrotem w paprocie. - Co ty robi? - zawołał z gąszczu zielonych liści. - Prawie mnie zgniecie.

- Przepraszam - odparłem, z trudem powstrzymując uśmiech. - Gałąź się złamała.

Zza niebosiężnego nosa skarciły mnie dwa różowe oczka.

- Shim też prawie się złamał!

- Powiedziałem, że przepraszam.

Wstał ponownie, mamrocząc wściekle:

- Ja cię przeprosi.

Zacisnął pięść i szykował się do kolejnego ciosu.

Wtedy moją uwagę zwróciła gałąź, którą trzymałem w dłoni. Ku mojemu zdumieniu zaczęła schodzić z niej kora. Jednocześnie zaczęły się odłamywać mniejsze gałązki, jedna po drugiej, zrzucając mi igły na kolana. Kora skręcała się w wielkie zwoje, po czym odpadała jakby ścinana niewidzialnym nożem.

Kiedy Shim to zobaczył, opuścił pięść. Na jego twarzy malowało się zdumienie.

Gałąź na moich kolanach nie była już gałęzią, lecz solidnym prostym kijem, grubym i sękatym na górze, zwężającym się na dole. Kiedy go podniosłem, zobaczyłem, że jest dłuższy ode mnie o moją głowę. Obróciłem go w dłoniach, dotykając gładkiej drewnianej powierzchni. Nagle zrozumiałem.

Podpierając się kijem, podniosłem się z paproci. Stojąc przed wonnym drzewem cykuty,

przypomniałem sobie swoje niezdarne poszukiwania kija, kiedy pierwszy raz przybyłem do tego lasu. Pokłoniłem się przed drzewem w podzięcie. Teraz miałem swoją laskę. I, co jeszcze cenniejsze, trzymałem w dłoni kawałek Drumy, który będzie mi towarzyszył w podróżach poza jej granicami.

- Nie chce mnie uderzyć tym kijem, ma nadzieję - powiedział Shim potulnie.

Spojrzałem na niego surowo.

- Jeżeli ty mnie nie będziesz bił, to ja ciebie też nie.

Mała postać zeszywniała.

- Nie chciał zrobić ci krzywdy.

Podniosłem brew, ale nic nie odpowiedziałem. Z laską w dłoni wyruszyłem w stronę owalnych głazów przy rzece. Shim podążył za mną, przedzierając się przez zarośla, marudząc równie zaciekle jak przedtem, choć nieco ciszej.

Po chwili byliśmy na miejscu. Płynąca tu nad korytem z białych kamieni rzeka znacznie się w tym miejscu rozszerzała. Mimo wartkiego prądu zgodnie z moimi oczekiwaniami woda była dość płytka. Pod głazami, w błocie na obu brzegach ktoś zostawił

odciski dużych, ciężkich butów.

- Gobliniaki - powiedział Shim, przyglądając się śladom.

- Jestem pewien, że Nieustająca Rzeka nie ułatwiła im przeprawy.

Shim podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Ja tam nienawidzi przeprować się przez rzeki. Naprawdę, najzupełniej, najszczerzej.

Oparłem się o laskę, chwytając sękaty koniec.

- Nie musisz iść. To twoja decyzja.

- Jak daleko pójdzie?

- Tam, gdzie jest Rhia! Gobliny myślą, że mają w worze Galatora, więc pewnie idą do zamku Stangmara. Nie wiem, czy złapiemy ich, zanim tam dotrą, ale musimy spróbować. To nasza jedyna nadzieja i jedyna nadzieja Rhii.

Zmierzyłem swoim magicznym wzrokiem ocienione wzgórza w oddali. Wznosiła się nad nimi ściana chmur, czarniejszych niż przed najgorszą burzą. Pograżały najbardziej wysunięte na wschód stoki w zupełnym mroku. Przypomniałem sobie, jak Rhia opisywała położenie Spowitego Zamku. „Na najczarniejszym z Mrocznych Wzgórz, gdzie panuje bezkresna noc”. Muszę ją znaleźć, zanim dotrze do tych wzgórz! „Gdzie panuje bezkresna noc”. Gdyż w takiej ciemności będę pozbawiony wzroku. I

resztek nadziei.

Shim przełknął ślinę.

- No dobrze. Ja pójdzie. Może nie na sam zamek, ale pójdzie.

- Na pewno? Tam nie będzie miodu.

W odpowiedzi wszedł do rzeki. Zmagał się z wodą, z trudem brodząc. Utknął jednak, kiedy zbliżył się do zanurzonego głazu. Nagle znalazł się w znacznie głębszej wodzie.

Krzyknął i zaczął wymachiwać krótkimi rękami. Skoczyłem mu na pomoc, zanim poszedł

pod wodę. Posadziłem go sobie na barana i ruszyłem na drugi brzeg.

- Dziękuję ci - wysapał Shim. Otrząsnął się, ochlapując mi twarz. - Ta woda jest bardzo najmokrzejsza.

Brnąłem ostrożnie przez rwący strumień, podpierając się laską.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś trzymał swoje ręce z dala od mojego nosa.

- Ale potrzebuje uchwytu, żeby się przytrzyma.

- To złap się swojego! - wykrzyknąłem, teraz już przekonany, że zabranie ze sobą Shima było pomyłką.

- No dobrze - odparł tak nosowym głosem, że na pewno właśnie złapał się za nochal.

Z każdym krokiem stawianym w płynącej wartko rzece czułem, jak coś ciągnie moje skórzane buty z powrotem w kierunku lasu. To nie był prąd. Miałem poczucie, jakby setki niewidzialnych rąk usiłowały powstrzymać mnie przed opuszczeniem Drumy. Nie umiałem stwierdzić, czy dłonie te są w wodzie, czy we mnie. Ale kiedy zbliżałem się do przeciwległego brzegu, moje stopy były coraz cięższe.

Wezbrał we mnie niepokój, ale zarazem w moim umyśle zaczął się układać obraz, tworzyła się wizja, której źródłem nie był mój magiczny wzrok. Zobaczyłem płynące w moją stronę dziwne światła. Nagle zdałem sobie sprawę, że to sprawka moich ukrytych mocy. To wizja przyszłości!

- Nie! - krzyknąłem, potrząsając głową tak gwałtownie, że Shim, aby nie spaść, musiał

złapać się moich włosów.

Wizja zniknęła. Moce się rozproszyły. Jednak niepokój pozostał, silniejszy niż przedtem.

Kiedy znalazłem się na wschodnim brzegu, Shim zszedł mi z grzbietu. Wcześniej nie omieszkiał jednak trzepnąć mnie w ucho.

- Ała! A to za co?

- Za to, że mnie każe trzymać całą drogę nosacza.

Przez chwilę miałem ochotę wrzucić go z powrotem do rzeki, ale udało mi się opanować. A mój gniew minął, kiedy przyjrzałem się z bliska sadowi. Cienkie i umęczone drzewa były dużo węższe niż najstarsze okazy w Drumie. Te położone najdalej od rzeki wyglądały na chore, były zaledwie cieniami żywych roślin. Byliśmy na Znękanym Ziemiach.

Podszedłem do jednego ze zdrowszych drzew, którego gałęzie rozpościerały się nad rzeką. Sięgnąłem i zerwałem mały zasuszony owoc. Kiedy obracałem go w dłoni, zastanowiła mnie jego twardość i szorstkość, rdzawa barwa, pomarszczona skórka. A kiedy go powąchałem, potwierdziły się moje podejrzenia. To było jabłko. Najmizerniejsze, jakie w życiu widziałem.

Rzuciłem je Shimowi.

- Twoja kolacja.

Mały olbrzym je złapał. Podniósł owoc do ust z niepewną miną. W końcu ugryzł

kawałek. Skrzywione usta mówiły same za siebie.

- Błę! Chce mnie otruć!

Prychnąłem.

- Nie przypuszczałem, że ugryziesz.

- Czyli że chce mnie nabrać.

- Nie da się zaprzeczyć.

Shim położył sobie dłonie na biodrach.

- Żałuje, że dziewczynki tu nie ma!

- Ja też - przytaknąłem ponuro.

W tej chwili zobaczyłem w oddali, za ostatnim rzędem drzew, grupkę wychodzących ze wschodnich równin sześciu postaci. Wyglądało, jakby zmierzali prosto do sadu. Gobliny wojownicy! Ich miecze, napiersniki i spiczaste hełmy połyskiwały w popołudniowym słońcu.

Patrzyłem, jak znikają za wzniesieniem. Choć zasłaniał ich stok, szorstkie głosy były coraz głośniejsze.

Shim, który również ich widział, stał skamieniały.

- Co my teraz zrobi?

- Musimy się ukryć.

Ale gdzie? Z miejsca, gdzie staliśmy, nie widziałem nawet jednej skały, za którą moglibyśmy się schować. Zwiędła roślinność nie dawała schronienia. Stok przy brzegu był

niski i gładki, bez choćby jednego wgłębienia.

Gobliny zbliżały się do szczytu wzgórza. Ich głosy były coraz wyraźniejsze, stąpanie coraz głośniejsze. Serce tłukło mi jak oszalałe. Rozejrzałem się po okolicy w poszukiwaniu kryjówki.

- Wy tam! - szepnął jakiś głos. - Tutaj!

Odwrociłem się i zobaczyłem wystającą spośród korzeni drzew na przeciwległym końcu sadu głowę. Popędziliśmy z Shimem we wskazane miejsce. Znaleźliśmy głęboki, świeżo wykopany rów, jeszcze niepołączony z rzeką. W rowie stał barczysty, spalony słońcem mężczyzna o wyrazistej szczęce i brązowych, nie tylko od ziemi, którą miał je ubrudzone, włosach. Pod nagim torsem miał luźne spodnie z brązowego materiału. Chwycił

łopatę tak pewnie i sprawnie, jak zaprawiony w bojach żołnierz chwyta miecz.

Pomachał do nas łopatą.

- Tutaj, chłopaki. Szybko.

Bez wahania wykonaliśmy polecenie. Odrzuciłem laskę na bok i wskoczyłem do rowu. Shim ledwie zdążył wskoczyć za mną, kiedy gobliny zeszyły ze wzgórza i wkroczyły do sadu. Mężczyzna szybko zakrył nas ziemią i liśćmi. Zostawił tylko mały otwór, żebyśmy mogli oddychać.

- Ty tam! - usłyszeliśmy głos goblina; spod warstwy ziemi brzmiał on nieco cienie, choć nie mniej szorstko niż głos przywódcy oddziału w Drumie.

- Tak? - odparł kopacz, dając wyraźnie do zrozumienia, że jest niezadowolony z tego, że mu przerwano.

- Szukamy groźnego więźnia. Uciekł tego ranka.

- Skąd uciekł? - zapytał mężczyzna.

- Uciekł strażnikom, kretynie! Zresztą byłym strażnikom. Najpierw zniknął im więzień, potem zniknęły im głowy. - Goblin zaśmiał się chrapliwie.

- Widziałeś, żeby ktoś przeprawiał się przez rzekę? Gadaj, człowieku!

Robotnik przez chwilę nie odpowiadał. Zacząłem się zastanawiać, czy nas nie wyda.

- Tak - odparł w końcu. - Widziałem.

Schowany pod ziemią, poczułem ucisk w żołądku.

- Kogo?

- To był... młodzieniec.

Pot zmieszany z ziemią drapał mnie w wargi. Serce mi tłukło.

- Gdzie i kiedy? - warknął goblin.

Mężczyzna znów zamilkł. Rozwahałem, czy nie rzucić się do ucieczki w nadziei, że uda mi się prześcignąć żołnierzy.

- Parę godzin temu - odparł robotnik. - Szli wzdłuż rzeki. W stronę oceanu.

- Lepiej, żebyś miał rację - warknął goblin.

- Mam rację i mam robotę. Przed zmrokiem muszę skończyć ten rów nawadniający.

- Ha! Ten stary sad potrzebuje czegoś więcej niż rowu, żeby przetrwał.

Głos innego goblina, wolniejszy i bardziej tubalny, wtrącił:

- A może by tak ściąć parę tych drzewek, żeby ulżyć człowieczynie?

Cała grupa wybuchnęła śmiechem.

- Nie - zdecydował pierwszy goblin. - Jeżeli mamy złapać więźnia przed zmrokiem, to nie mamy czasu do stracenia.

- I co oni zrobili z tą durną dziewczuchą? - charknął inny goblin, kiedy banda odchodziła, a ich buciory łupały o ziemię.

Wysunąłem głowę z ziemi za późno, żeby usłyszeć odpowiedź. Doszły mnie tylko słowa „króla” i nieco później „gorsze niż śmierć”.

Otrzeptałem tunikę z ziemi. Kiedy szorstkie głosy goblinów ucichły, w końcu zagłuszone spienioną rzeką, wypęzłem z rowu i spojrzałem na mężczyznę.

- Jestem wdzięczny. Niezmiernie wdzięczny.

Tamten wbił łopatę w nieubita ziemię, po czym wystawił krzepką dłoń.

- Na imię mam Honn, chłopcze. Może i prosty ze mnie kopacz, ale wiem, kogo lubię, a kogo nie. A każdy, kto jest wrogiem tych przerośniętych ropuch, to z całą pewnością mój przyjaciel.

Uścisnąłem dłoń, w której prawie zniknęła moja.

- Ja mam na imię Emrys. - Trąciłem kupkę Ziemi stopą. - A mój odważny kompan to Shim.

Shim wyjrzał, wypłuł trochę ziemi i spiorunował mnie wzrokiem.

- Musimy ruszać - powiedziałem. - Mamy przed sobą długą podróż.

- A dokąd to zmierzacie?

Wzięłem głęboki wdech.

- Do zamku króla.

- Chyba nie do Spowitego Zamku, chłopcze?

- Owszem.

Honn pokręcił z niedowierzaniem głową. Dzięki temu zobaczyłem pod warstwą brązowych włosów jego uszy, nieco trójkątne i spiczaste.

- Spowity Zamek - wymamrotał - gdzie znajduje się Siedem Mądrych Narzędzi wyciosanych wieki temu. Pamiętam, kiedy były one w rękach ludu. A teraz należą do króla!

Pług, co uprawia własne pole... Motyka, co pielęgnuje nasiona... Piła, co tnie tylko tyle drzewa, ile potrzeba... - Zreflektował się.

- Po co się tam wybieracie?

- Żeby kogoś znaleźć. Przyjaciółkę.

Honn patrzył na mnie, jakbym postradał zmysły.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie leży zamek?

Mężczyzna podniósł łopatę i machnął nią w stronę Mrocznych Wzgórz.

- Tam. Nie powiem ci już nic więcej, chłopcze, poza tym, że okazałbyś rozwagę, zawracając.

- Nie mogę.

Kopacz skrzywił się, przyglądając mi się z uwagą.

- Nie znam cię, Emrysie, ale życzę ci powodzenia, jeżeli jeszcze się ono ostało w Fincayrze.

Honn sięgnął po leżącą na skraju rowu koszulę. Wyciągnął z niej zużyty sztylet o wąskim ostrzu. Obrócił go w dłoni, po czym mi go podał.

- Proszę. Tobie przyda się bardziej niż mnie.



## MIASTEczKO BARDÓW

Szedłem szybko przez tundrę, podążając ku wznoszącym się falom Mrocznych Wzgórz. Torba z ziołami, w której był teraz sztylet Honna, ciążyła mi na ramieniu. Zasnęta ziemia trzeszczała mi pod butami, a laska stukała o nią. Co jakiś czas moje ramię ocierało się o sękaty koniec laski i czułem lekką woń cykuty.

Shim, mamrocząc pod nosem o „oszaleniu”, z trudem dotrzymywał mi kroku. Ale nie zamierzałem przez niego zwalniać. Nie mieliśmy czasu do stracenia. Po głowie ciągle chodziły mi słowa goblina: „gorsze niż śmierć”.

Pomimo źdźbeł trawy, kęp orlicy i zagajników postrzępionych drzew, którym udało się przetrwać w tej tundrze, rozciągająca się po mroczny horyzont tej równiny paleta kolorów składała się z podszytych rdzą odcieni szarości i brązu. Kilka razy obejrzałem się przez ramię na blaknące zielone wzgórza Lasu Druma, starając się przypomnieć sobie żywność tej ziemi.

Kiedy słońce obniżało się za naszymi plecami, nasze cienie się wydłużały.

W oddali zauważyłem kępę ciemnych bezlistnych drzew. Kiedy się zbliżyłem, zrozumiałem. To, co wyglądało na korzenie i konary, było resztkami domów i stajni - tylko tyle zostało z wioski wielkości Caer Vedwyd. Nie było żadnych ludzi ani zwierząt. Budynek doszczętnie spalono. Kamienne mury zburzone. Na poboczu przysypanej popiołem drogi biegnącej przez wioskę leżała roztrzaskana drewniana kołyska, w której kiedyś spało dziecko.

Nie przeżył nikt, kto mógłby wyjaśnić, dlaczego wioskę zniszczono.

Szliśmy dalej w stronę Mrocznych Wzgórz. Choć wyęczałem i uszy, i magiczny wzrok w poszukiwaniu śladu goblinów, nie stwierdziłem niczyjej obecności. Jednak to nie był

powód do radości. Na niebie słońce szykowało się do zachodu. Za godzinę zapadnie noc.

Mogłem sobie tylko wyobrazić, jakie stworzenia wyjdą na łowy po zmroku.

Tymczasem Shim zostawał coraz bardziej w tyle. Bez przerwy się zatrzymywał, żeby odpocząć, a ja nie przestawałem go poganiać. Słabł, podobnie jak mój magiczny wzrok.

Niechętnie uznałem, że przed końcem dnia powinniśmy znaleźć schronienie. Tylko gdzie? Na tej opustoszałej równinie nie mieliśmy wielkiego wyboru.

Nie przerywaliśmy wędrówki po długich, umiarkowanych stokach i zagłębieniach tej krainy. Nasze cienie się powiększały, podobnie jak moje lęki. Naszych uszu dochodziło dziwne wycie, ni to wilka, ni to wiatru. Pomimo moich próśb Shim zostawał coraz bardziej w tyle.

W końcu, kiedy wszedłem na szczyt wzniesienia, zobaczyłem na dole wioskę. Ciepłe żółte pochodnie

płonęły na uliczkach, a w paleniskach niskich domów z glinianej cegły palił

się ogień. Pocięła mi ślinka, kiedy wyczułem, że zapach płonącego drewna miesza się z wonią pieczonego ziarna.

Shim podszedł do mnie i wymieniliśmy spojrzenia. Mały olbrzym krzyknął radośnie i puścił się biegiem ku bramom miasteczka. Niezgrabnie, choć nie bez nadziei, pobiegłem za nim.

Jakiś mężczyzna, który siedział na ziemi przy bramie, na nasz widok skoczył

niespodziewanie na nogi. Był wysoki i tyczkowaty i trzymał włócznię. Miał na sobie zwykłą tunikę. Gęsta czarna broda zakrywała mu większość twarzy. Jednak najbardziej uderzające były jego niezwykle duże, ciemne oczy. Nawet w przygasającym świetle świeciły tajemniczo.

Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że skrzyło się w nich więcej lęku niż inteligencji. W

rzeczy samej, z jego wzroku przebijało szaleństwo jak ze ślepi śmiertelnie przerażonego zwierzęcia.

Szykując się do boju, mężczyzna wymierzył mi włócznię w pierś. Choć nic nie mówił, jego mina była ponura.

- Przychodzimy w pokoju - oznajmiłem. - Przybywamy z innej krainy i szukamy tylko schronienia na noc.

Duże oczy mężczyzny jeszcze się powiększyły, lecz nic nie powiedział. Za to jeszcze bliżej przysunął włócznię, zahaczając nią o moją łaskę i prawie dźgając mnie w dłoń.

- My jest głodno - jęknął Shim. - Głodno i śpiąco.

I znów niemy mężczyzna pogroził nam włócznią.

Dopiero wtedy dostrzegłem za nim przekrzywioną tabliczkę, która wisiała na słupie bramy. Na zużytym kawałku drewna widniał wyryty napis: „Witajcie w Caer Neithan, Miasteczku Bardów”. Pod spodem znajdowały się słowa: „Tu pieśń rozbrzmiewa”, choć dalszy ciąg był nieczytelny. Nie miałem pewności, ale wydawało mi się, że wyrazy wydrapano.

Przez bramę zobaczyłem kobietę - dorównującą mężczyźnie wzrostem i o równie ciemnych włosach - która przebiegła ukradkiem po placu. Przed zniknięciem w jednym z domostw zatrzymała się i wezwała dwójkę dzieci, cztero-, może pięcioletnich, którym ciemne włosy opadały na ramiona. Dzieci podbiegły do niej i drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Zdziwiło mnie, że usłyszałem tylko odgłosy ich bosych stóp, żadnych rozmów. Kobieta zachowywała się równie bezgłośnie jak dzieci i mężczyzna z włócznią.

Wtedy dotarło do mnie, że w całej wiosce nie słychać żadnego głosu. Dzieci nie płakały. Przyjaciele nie żartowali. Sąsiedzi nie kłócili się o cenę pszenicy, źródło wszy czy prawdopodobieństwo deszczu. Nie było odgłosów furii, radości ani smutku.

Nie było żadnych głosów.

Mężczyzna pogroził mi znowu włócznią, prawie dotykając nią fałd mojej tuniki.

Wycofałem się powoli, nadal zafrapowany dziwnym blaskiem jego oczu. Zmarszczyłem brwi i powiedziałem:

- Cokolwiek spotkało ciebie i twoją wioskę, szczerze z tego powodu ubolewam.

Włócznia dźgnęła powietrze obok mojej piersi.

- Chodź, Shim. Nie jesteśmy tu mile widziani.

Mały olbrzym jęknął, ale odwrócił się i ruszył za mną. Poszliśmy dalej przez tundrę w milczeniu godnym Miasteczka Bardów. Z czasem jego migotliwe światła zostały daleko w tyle, choć nie przestawała nas nękać jego smętna cisza.

Za nami zachód słońca przykrył niebo nad Lasem Druma zasłoną intensywnej purpury. Przed nami jeszcze bardziej pogłębił się mrok nocy. Pogodziłem się już ze świadomością, że na tym pustkowiu nie znajdziemy schronienia. Wiedziałem jednak, że powinienem nadal szukać, dopóki nie przestanę widzieć końca własnej laski. W przeciwnym razie będziemy z Shimem zmuszeni spędzić noc na otwartej przestrzeni - w towarzystwie stworzeń, których wyglądniałe wycie słyszeliśmy wokół.

W tym momencie zauważyłem przed sobą jakiś kształt. To był chyba kamień. A na kamieniu siedziała osoba.

Kiedy się zbliżyliśmy, ku mojemu zdziwieniu, osoba ta okazała się dziewczynką.

Musiała być kilka lat młodsza od Rhii. Siedziała na kamieniu i wymachiwała bosymi stopami, przyglądając się purpurowo-granatowym plamom na ciemniejącym niebie. W ogóle się nie bała podchodzących wędrowców.

- Witajcie.

Odrzuciła brązowe loki, które sięgały jej prawie do talii. Jej twarz rozpromienił zadziorny uśmiech.

Zbliżyłem się ostrożnie.

- Witaj.

- Chcielibyście pooglądać ze mną zachód słońca?

- Dziękuję, ale nie. - Przyjrzałem się jej świetlistym oczom pełnym entuzjazmu, tak różnym od oczu spotkanego niedawno mężczyzny. - Nie powinnaś wracać do domu? Robi się późno.

- Gdzie tam - zaszcebiotała. - Uwielbiam oglądać stąd zachód słońca.

Podszedłem bliżej.

- Gdzie jest twój dom?

Dziewczynka zachichotała nieśmiało.

- Powiem ci, jak ty mi powiesz, dokąd idziecie.

Być może sprawiło to jej życzliwe nastawienie, a może fakt, że przypominała mi Rhię, w każdym razie poczułem sympatię do tej wylewnej dziewczynki. Chciałem z nią porozmawiać, choć przez chwilę. Mógłbym przed sobą, w głębi duszy, udać, że rozmawiam z samą Rhią. A jeżeli jej wioska była nieopodal, mieliśmy szansę na znalezienie schronienia na noc.

- Dokąd idziesz? - powtórzyła.

Uśmiechnąłem się.

- Tam, gdzie zawiedzie mnie mój cień.

Dziewczynka znowu zachichotała.

- Twój cień za chwilę zniknie.

- Twój też. Powinnaś iść do domu, zanim zrobi się ciemno.

- Nie martw się. Moja wioska jest zaraz za tym wzgórzem.

Kiedy my dwoje rozmawialiśmy, Shim przysunął się do kamienia, na którym siedziała dziewczynka. Być może też ją polubił z tych samych powodów co ja. Ona chyba nie zauważyła, że się zbliżał. Ale Shim zatrzymał się gwałtownie i zaczął się wycofywać.

Nie zważając na jego zachowanie, zapytałem dziewczynkę:

- Moglibyśmy zatrzymać się w twojej wiosce na noc?

Odchyliła głowę i zaśmiała się radośnie.

- Oczywiście.

Poczułem przyływ otuchy. Udało nam się jednak znaleźć schronienie.

Wtedy Shim pociągnął mnie za rąbek tuniki. Kiedy się schyliłem, mały olbrzym wyszeptał:

- Nie jest pewien, ale coś dziwnego jest z jej dłońmi.

- Z czym?

- Z jej dłońmi.

Zerknąłem pobieżnie na dłonie dziewczynki, nie spodziewając się niczego szczególnego. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. A jednak... istotnie coś było nie tak. Nie umiałem sprecyzować co. I nagle zrozumiałem.

Jej palce. Ma błonę między palcami.

Ptak alleah! Ostrzeżenie Rhii, że zjawy mimiczne zawsze mają jakiś defekt!

Sięgnąłem po sztylet, który dostałem od Honna.

Za późno. Dziewczynka już zaczęła się przeobrażać w węża. Jej brązowe oczy zrobiły się czerwone, skóra zamieniła jej się w łuski, a na miejscu ust pojawiły się bezlitosne szczęki.

Kiedy zjawa rzuciła mi się do twarzy, cienka warstwa zrzuconej skóry zsunęła się z szelestem na ziemię.

Wyciągnąłem sztylet i ciałem na oślep tuż przed tym, jak wąż powalił mnie na ziemię.

Shim wrzasnął. Potoczyliśmy się po tundrze: płatanina zębów i ogona, rąk i nóg. Czułem, jak pazury zjawy wbijają się w skórę mojej prawej ręki.

Wtedy walka się skończyła prawie tak nagle, jak się zaczęła. Nasze splecione ciała leżały w zupełnym bezruchu na ziemi.

- Emrys? - zapytał nieśmiało Shim. - Ty nie żyje?

Ruszyłem się powoli. Wyswodziłem się z uchwytu węża, który miał teraz podcięte sztyletem gardło. Cuchnąca krew lała się z rany i ściekała po łuskach brzucha. Chwiejnym krokiem podszedłem do kamienia i oparłem się o niego, trzymając się za ranną rękę.

Shim spojrzał na mnie z podziwem.

- Ty nas ratuje.

Pokręciłem głową.

- Przypadek nas uratował. To... i czujność pewnego małego olbrzyma.

# XXVII

## CAIRPRÉ

Resztki światła szybko się rozproszyły. Na noc rozłożyliśmy się przy słabym strumyku kilkaset kroków od truchła zjawy mimicznej. Każde z nas było pogrążone we własnych myślach i nikt nic nie mówił. Shim wypatrywał, czy na zniszczonych erozją brzegach nie kryją się inne groźne stwory, a ja przygotowywałem okład z ziół, które miałem w torbie.

Zioła pachniały tymiankiem. I korzeniem buka. I Branwen. Ostrożnie przyklepałem przyłożony na ranę po szponach okład, wiedząc, że ona zrobiłaby to znacznie lepiej.

Chciałem zanucić pod nosem którąś z jej kojących pieśni, ale moja pamięć sięgała zaledwie kilku pierwszych nut.

Kiedy pogrążaliśmy się w mroku, wiedziałem, że niedługo mój magiczny wzrok stanie się bezużyteczny. Odłożyłem kij i oparłem się o gnijący pniak, ściskając w dłoni sztylet.

Zważyłem w dłoni wąskie ostrze, które zabiło zjawę. Czy Honnowi służyło do pracy? Czy może nosił je ze sobą dla ochrony? Tak czy inaczej mój dług wdzięczności właśnie się podwoił.

Na niebo zaczęły wychodzić pierwsze blade gwiazdy. Chciałem wyszukać konstelacje Rhii wyznaczone nie gwiazdami, ale przestrzenią między nimi. Pomyślałem o obwieszonym owocami drzewie shomorra. O piśmie na ścianach Arbassy. O mieniającej się blaskiem kryształów jaskini. Jednak to wszystko wydawało się tak odległe.

Ku mojemu rozczarowaniu świeciło niewiele gwiazd i były tak porzrucane, że nie umiałem wypatrzeć żadnych układów. Wtedy uświadomiłem sobie, że nawet blask gwiazd słabł, w miarę jak niebo ciemniało. Wydawały się czymś spowite. I nie chmurami, a w każdym razie nie zwykłymi chmurami. Coś je tłamsiło, uniemożliwiało im oświetlenie tej krainy.

Poczułem w powietrzu lekką woń dymu, jakby niedaleko paliło się ognisko. Usiadłem wyprostowany i wyteżyłem magiczny wzrok. Ale nigdzie nie widziałem płomieni.

Jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, że miejsce, w którym rozbiliśmy obóz, znalazło się w świetlistym kręgu. Blask nie pochodził od gwiazd, lecz z innego źródła. Co jeszcze mogło nas oświetlać? Rozejrzałem się zdziwiony.

Nagle zrozumiałem. Słabe światło nie dochodziło z góry, ale z dołu. Z gnijącego pnia!

Odturlałem się na bok. Potem zbliżyłem się ostrożnie. Na górze pieńka zobaczyłem lśniące kółko, jakby w drzewie ktoś wyciął drzwiczki, przez które prześwitywał świetlisty krąg.

- Shim, popatrz na to.

Mój towarzysz podszedł szybkim krokiem. Na widok lśniącego pniaka wciągnął

powietrze.

- Teraz jest pewien, że rozbija obóz nie tam, gdzie trzeba.

- Wiem. Ale to światło wydaje się przyjazne.

Shim zmarszczył czoło.

- Wężowa dziewczynka też wydaje się najpierw przyjazna.

Wtedy, bez ostrzeżenia, drzwiczki się otworzyły. Wyłoniła się z nich kudłata głowa z wysokim czołem i ciemnymi spostrzegawczymi oczami. Głowa mężczyzny.

Oczy, głębsze niż jeziora, patrzyły przez dłuższą chwilę najpierw na mnie, potem na Shima.

- Dobrze - powiedział nieznajomy niskim, dźwięcznym głosem. - Możecie wejść. Ale nie mam czasu na żadne opowieści.

Głowa zniknęła w pniu. Spojrzeliśmy po sobie z Shimem oniemiały. Opowieści? O co mogło mu chodzić?

W końcu oznajmiłem:

- Schodzę. Możesz iść ze mną albo tu zostać, jak wolisz.

- Zostaje! - odparł Shim zdecydowanie. - I ty powinien zapomnieć o oszaleniu i też zostać.

- Warto zaryzykować, jeżeli dzięki temu nie będziemy musieli spędzać nocy na dworze.

W oddali znów coś zawyło, przydając wagi mojemu komentarzowi.

- A jeżeli ten człowiek zamieni się w kolejnego najwężowszego węża? A jeżeli cię uwięzi w jego jamie?

Nie odpowiedziałem. Zajrzałem przez drzwi do wąskiego tunelu. Choć był dobrze oświetlony i mogłem się znów posługiwać magicznym wzrokiem, z tego miejsca widziałem tylko prowadzącą w dół, wyciosaną topornie drabinę. Zawahałem się, rozważając ostrzeżenie Shima.

Wycie przybrało na sile.

Ściskając sztylet w dłoni, włożyłem stopy do wejścia i zacząłem schodzić. Idąc po drabinie, zauważyłem, że drewniane szczeble są bardzo zużyte, jakby wchodziło tędy wiele setek dłoni i stóp. I, miałem nadzieję, również wychodziło.

Szedłem dalej w głąb, szczebel po szczeblu. W tunelu zapachniało stęchlizną i skórą.

Podeksytowało mnie to, gdyż spotkałem się z tą wonią do tej pory tylko raz, w kościele Świętego

Piotra w Caer Myrddin. Im głębiej schodziłem, tym robiła się ona silniejsza.

To był zapach książek.

Kiedy w końcu dotarłem na sam dół, rozejrzałem się oniemiały. Miałem wokół siebie setki woluminów. Pokrywały ściany i podłogę tej podziemnej komnaty wszcz i wzdłuż.

Wszędzie były książki! Książki najróżniejszej grubości, wysokości, wszystkich kolorów i także - sądząc po piśmie i symbolach na okładkach - we wszystkich językach.

Niektóre oprawione w skórę. Niektóre tak porwane, że właściwie nie miały okładek. Zwoje papirusów znad Nilu. Pergaminowe księgi z krainy zwanej przez Greków Anatolią, a przez Rzymian Azją Mniejszą, przypominające w dotyku owczą skórę.

Książki stały w rzędach na uginających się półkach wzdłuż ścian. Leżały w stertach na podłodze, a było ich tyle, że na drugi koniec pomieszczenia prowadziła między nimi wąska ścieżka. Tworzyły kopiec pod ciężkim drewnianym stołem, którego blat zakrywały papiery i przybory do pisania. Przysłaniały nawet większość stojącego w kącie łóżka zasłanego owczymi skórami.

Naprzeciwko łóżka znajdowała się mała, lecz pasująca do pomieszczenia spiżarnia z półkami pełnymi owoców, ziaren, bochnów chleba i serów. Z jednej strony miała dwa niskie stołki, z drugiej kominek. Ogień był na tyle silny, żeby oświetlić pokój i prowadzący do wejścia w pniu tunel. Obok paleniska stał żelazny kocioł. Zalegała w nim sarta misek z zaschniętymi resztkami jedzenia, być może wyczekując dnia, kiedy naczynia same się umyją.

Siedzący pod przeciwległą ścianą na krześle z wysokim oparciem długowłosa mężczyzna był pochłonięty czytaniem. Krzaczaste brwi ze śladami siwizny wyrastały mu nad oczami niczym zarośla. Miał na sobie luźną białą tunikę z wysokim kołnierzem, który sięgał

mu prawie do brody. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby nie zauważył, że tu jestem.

Schowałem sztylet do torby. Mężczyzna się nie ruszył. Odchrząknąłem zakłopotany.

Mężczyzna w dalszym ciągu nie odrywał wzroku od książki.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziałem.

Poruszył się.

- Nie ma za co. Czy mógłbyś z łaski swojej zamknąć za sobą drzwiczki? Przeciągi.

Nie mówiąc o bestiach, które polują. Znajdziesz zasuwę.

Urwał, gdyż coś zauważył.

- I powiedz swojemu miniaturowemu kompanowi, że nie wywieram na nim presji, żeby do nas dołączył. Nie musi się w ogóle kłopotać swoją nieobecnością. Szkoda tylko, że ominie go okazja do



skosztowania mojego miodu ze świeżej koniczyny.

Nagle usłyszałem hałas na górze tunelu. Za chwilę miałem już Shima u swojego boku.

- Zmienia zdanie - wyjaśnił zakłopotany.

Mężczyzna zamknął książkę i odłożył ją na półkę za krzesłem.

- Nie ma to jak wyborna lektura na koniec dnia wybornych lektur.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

- Nigdy nie widziałem tylu książek.

Mężczyzna przytaknął.

- Historie mi pomagają. Życ. Pracować. Znaleźć sens ukryty w każdym śnie, każdym liście, każdej kropli rosy.

Pobladłem. Czy Branwen nie powiedziała mi kiedyś tego samego?

- Chciałbym tylko - mówił dalej mężczyzna - nie mieć tylu obowiązków, żeby móc dłużej delektować się książkami. W tych czasach, jak zapewne wiecie, jest tyle spraw, które odwracają naszą uwagę.

- Ma pan na myśli gobliny i tym podobne sprawy.

- Tak. Choć to właśnie „tym podobne” podobają mi się najmniej. - Pokręcił głową ponuro, po czym wyciągnął kolejną książkę. - Dlatego mam teraz tak niewiele czasu na swoje ulubione opowieści. Staram się znaleźć odpowiedź w książkach, żeby historia Fincayry nie musiała dobiec przedwczesnego końca.

Przytaknąłem.

- Plaga się szerzy.

Nie podnosząc wzroku znad książki, mężczyzna odparł:

- Zgadza się! Sofokles - są ci znani greccy dramatopisarze? - miał na to genialne określenie. W Królu Edypie, o ile dobrze pamiętam. Mrąc w ziemi kłosach\*. I to właśnie dzieje się w naszej krainie. Kłosa ziemi mrą. Wszystko mrze.

Wyciągnął inną książkę i położył ją na poprzedniej, którą nadal trzymał na kolanach.

- Nie wolno nam jednak tracić nadziei. Odpowiedź może się kryć w jakimś zapomnianym tomie. Nikogo się nie pytaj i jak najwięcej czytaj. - Podniósł głowę nieco zakłopotany. - Wybacz rym. Od czasu do czasu mi się wymyśli. Nawet kiedy się pilnuję, to

\* Przeł. Kazimierz Morawski - przyp. tłum.

i tak mi wychodzą. Więc, jak już wspomniałem, strony ksiąg to mędrców krąg.

Odchrząknął i machnął w stronę spiżarki.

- Ale dosyć już tego. Jesteście głodni? Częstujcie się. Miód jest po lewej stronie, obok śliwek. Mam wiele rodzajów chleba, pieczonego dwukrotnie zgodnie z przepisem ze Slantos na północy.

- Nie słyszałem o tym miejscu - przyznałem.

- To mnie nie dziwi.

Mężczyzna zabrał się z powrotem do kartkowania książki.

- Większość północnych rejonów nie została zbadana ani opisana. I pomyśl tylko o Znękanych Ziemiach! Tam mogą mieszkać ludzie, i to zupełnie niezwykli, których nikt nigdy nie spotkał.

Nachylił się nad książką, przyglądając się czemuś na stronie.

- Wolno mi zapytać o wasze imiona?

- Mnie zwą Emrysem.

Mężczyzna podniósł głowę, mierząc mnie nieco zdziwionym wzrokiem.

- Zwą? Mówisz, jakbyś nie był pewien, czy to twoje prawdziwe imię.

Zagryzłem wargę.

- A twój kompan?

Zerknąłem na małą postać, która buszowała już w spiżarce, zajadając pajdę chleba posmarowaną miodem ze świeżej koniczyny.

- To Shim.

- A ja jestem Cairpré, uniżony poeta. Wybaczcie mi, że jestem zbyt zajęty, by ugościć was jak należy. Ale zawsze cieszę mnie odwiedziny.

Zamknął książkę, nie spuszczając mnie z oczu.

- Zwłaszcza odwiedziny osoby, która kojarzy mi się z kimś bardzo bliskim.

Poczułem dziwny lęk, kiedy zapytałem:

- Kim?

- Byłem dobrym przyjacielem... twojej matki.

Te słowa ogłuszyły mnie niczym obuch.

- Mojej... mojej matki?

Cairpré przełożył książki z kolan na krzesło. Podeszedł do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Chodź. Mamy wiele do omówienia.

# XXVIII

## PROSTE PYTANIE

Cairpré poprowadził mnie do dwóch stołków przy spizarce. Zdjął z siedzeń kilka oprawionych w skórę ksiąg i usiedliśmy. Tymczasem Shim zdążył się wdrapać na dolną półkę spizarni, gdzie doskonale się wymościł, otoczony sowitymi zapasami na kolację.

Poeta przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu.

- Zmieniłeś się, od kiedy ostatni raz cię widziałem. I to bardzo! Tak bardzo, że na początku cię nie poznałem. Choć ty pewnie mógłbyś powiedzieć to samo o mnie. Minęło w końcu pięć, sześć lat.

Nie mogłem opanować ekscytacji.

- Pan mnie już kiedyś spotkał? I moją matkę też?

Jego oczy pociemniały.

- Nie pamiętasz?

- Nie pamiętam nic ze swojego dzieciństwa! Przed dniem, kiedy morze wyrzuciło mnie na brzeg, wszystko jest spowite mgłą tajemnicy. - Złapałem go za rękaw białej tuniki. -

Ale pan może mi pomóc! Może pan odpowiedzieć na moje pytania! Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie. Przede wszystkim o mojej matce. Kim jest? Gdzie mieszka? Dlaczego powiedział pan, że „był” pan jej przyjacielem?

Cairpré wyciągnął się na stołku i złapał się oburącz za kolano.

- Czyli jednak będę musiał opowiedzieć ci historię.

Po chwili zaczął mówić:

- Kiedyś na brzeg tej wyspy zawitała pewna kobieta, człowiek. Przybyła z kraju Celtów, z krainy o nazwie Gwynedd.

Naszły mnie wątpliwości. Czyżbym mylił się w kwestii Branwen? Zapytałem nieśmiało:

- Jak miała na imię?

- Elen.

Odetchnąłem z ulgą.

- Elen bardzo różniła się wyglądem od mieszkańców Fincayry. Miała jaśniejszą cerę, bardziej kremową niż ogorzałą. Miała też inny kształt uszu - okrągłe, a nie trójkątne. Zaiste była piękna. Ale

najbardziej uderzające były jej oczy. Lśniły barwą, której nie sposób znaleźć na tej wyspie. Były doskonale błękitne, nietknięte odcieniem szarości czy brązu. Niebieskie jak szafir. I dlatego nazwano ją Elen o Szafirowym Spojrzeniu.

Zadrzałem.

- Przybyła tu - ciągnął opowieść Cairpré - z miłości do mężczyzny, który pochodził

stąd. Mężczyzny z Fincayry, nie z jej świata. A niedługo po przybyciu odkryła jeszcze inną miłość. - Rozejrzał się po pokoju. - Książki! Zakochała się w książkach, ze wszystkich krain i we wszystkich językach. W rzeczy samej poznaliśmy się za sprawą książki, kiedy przyszła do mnie po odbiór pożyczonego mi tomu, którego nie zwróciłem na czas - miałem mniej więcej dziesięć lat spóźnienia. Potem przychodziła tu często na lekturę i rozmowę. Siadywała na tym samym stołku, na którym ty siedzisz teraz. Bardzo interesowała się lecznictwem, metodami, które praktykowano od wieków. Sama miała dar uzdrawiania.

Znowu przeszedł mnie dreszcz.

Cairpré uśmiechnął się do siebie, jakby coś sobie przypomniał.

- Ale jej ulubionymi książkami były opowieści Greków.

- Czy to prawda? - zapytałem. - Czy może pan przysiąc, że to prawda?

- Tak.

- Nic mi nie mówiła. Nie zdradziła mi nawet swojego imienia! Przyjęła imię Branwen.

Cairpré odwrócił się do wysokiego regału z książkami.

- To do niej bardzo podobne, żeby wybrać sobie imię z legendy. Choć smuci mnie niezmiernie, że legenda ta jest tak tragiczna.

- „Szkoda, że się narodziła” - zacytowałem.

Poeta spojrzał na mnie.

- Czyli znasz legendę?

- Znam. - Drżała mi dolna warga. - Ale nie znałem jej. Ani trochę. Tak niewiele o sobie opowiadała, a ja nie chciałem...

Głos uwiązał mi w gardle i zacząłem cicho łkać. Poeta przyglądał mi się ze współczuciem osoby, która zna ten ból. Jednak nie próbował mnie pocieszać. Odczekał, aż się wypłaczę tyle, ile potrzebowałem.

Potem dokończyłem zdanie chrapliwym szeptem:

- Nie chciałem nazywać ją matką.

Cairpré przez chwilę nic nie mówił. Kiedy w końcu się odezwał, zadał proste pytanie:

- Czy ona cię kochała?

Podniosłem głowę i powoli przytaknąłem.

- Tak.

- Czy troszczyła się o ciebie, kiedy byłeś w potrzebie?

- Tak.

- W takim razie jak najbardziej ją znałeś. Poznałeś najskrytsze zakamarki jej duszy.

Wytarłem sobie policzki tuniką.

- Być może. Ale ja tego tak nie odbieram. Czy mógłby mi pan opowiedzieć coś... o moim ojcu?

Wzrok Cairprégo stał się dziwny, jakby nieobecny.

- Twój ojciec był wspaniałym młodzieńcem. Silnym, upartym, żarliwym. Zapału w bród, płomieni miód. Nie, rym jest fatalny. Może tak. Namiętna krew! Wściekłości zew. To już lepiej. W naszej pradawnej mowie jego imię znaczyło Drzewołaz, gdyż jako chłopiec uwielbiał wchodzić na drzewa. Zdarzało mu się wspiąć na sam wierzchołek wysokiego drzewa i przeczekać tam burzę, podczas gdy miały nim żywić.

Zaśmiałem się na głos, doskonale rozumiejąc, o czym mówi poeta.

- Jednak dzieciństwo Drzewołaza nie było radosne. Jego matka, Olwen, była córką morza, jedną z istot, które mieszkańcy Ziemi nazywają syrenami, choć Fincayranie mówią o nich: lud mer. Więc on - tak jak ty - po urodzeniu czuł w duszy zew oceanu. Jednak Olwen przedwcześnie wyruszyła w Długą Podróż.

- Słyszałem coś o tej Długiej Podróży.

Cairpré westchnął.

- I zaiste jest długa. Jak również uciążliwa, jeśli wierzyć Cudom Dagdy. Chyba że, oczywiście, jesteś jednym z nielicznych, którzy trafiają do Zaświata w chwili śmierci. Jednak to zdarza się rzadko, niezwykle rzadko.

- Zaczął pan opowiadać o moim ojcu.

- A tak. Twój ojciec. Ponieważ Olwen umarła, kiedy był dzieckiem, twojego ojca wychowywał jego ojciec, mieszkaniec Fincayry znany jako Tuatha, syn Finvarry. Tuatha był

potężnym i wpływowym czarodziejem. Podobno sam wielki duch Dagda przychodził

niekiedy do jego domu, żeby konferować z nim o ważnych sprawach. Jednak czarodziej ten nie miał niestety czasu dla swojego syna. A Tuatha zaczął mieć tego czasu jeszcze mniej, kiedy odkrył - a twój ojciec był wtedy mniej więcej w twoim wieku - że chłopiec nie posiada daru kreowania magii. Mocy, jak zwał je Tuatha.

Przełknąłem ślinę - wiedziałem, że moce te nie są darem, lecz klątwą. Przypomniałem sobie proroctwo mojego dziadka, które przekazała mi Branwen-Elen - moja matka. Że pewnego dnia urodzi mu syna, którego moce będą jeszcze potężniejsze niż jego. „Którego moc pochodzi z najgłębszego źródła”. Cóż za lekkomyślność! To był może wielki czarodziej, ale jego omyłka była kolosalna.

- Życie twojego ojca zmieniło się jednak, kiedy pierwszy raz spotkał Elen podczas jednej ze swoich wypraw na Ziemię. Zadurzyli się w sobie. Choć nie dzieje się to zbyt często, a jeszcze rzadziej kończy się szczęśliwie, mężczyzna ten poślubił kobietę z innego świata.

Elen zamieszkała w Fincayrze. A za sprawą jej miłości w jego sercu zagościła siła, a w oku - opanowanie. Więź miłości ku radości. Ich szczęście było wielkie przez jakiś czas, choć obawiam się, że zbyt krótko.

Złapałem brzeg stołka, na którym dawno temu siadała moja matka, i nachyliłem się.

- Co się stało?

Na twarzy Cairprégo malowała się teraz jeszcze większa powaga.

- Twój ojciec - zaczął, po czym urwał i odchrząknął. - Twój ojciec był częścią dworu Stangmara. Był przy tym, jak zły duch Rhita Gawr, który od dawna upatrywał sobie Fincayrę, zaczął podchodzić króla. I twój ojciec - wraz z resztą dworu - stopniowo popadał w coraz większe tarapaty. Te same tarapaty, które doprowadziły do upadku króla, jak również całej Fincayry.

- Czy mój ojciec nie próbował oprzeć się Rhicie Gawrowi? Czy nie starał się ochronić króla przed jego zgubnym wpływem?

- Nawet jeżeli się starał, to mu się nie udało. - Poeta westchnął. - Musisz zrozumieć.

Wielu prawych ludzi dało się nabrać na sztuczki Rhity Gawra. Wśród nich był twój ojciec.

Zrobiło mi się ciężko na duszy.

- Czyli mój ojciec przyczynił się do sprowadzenia Plagi na Fincayrę.

- To prawda. Ale wszyscy jesteśmy w pewnym stopniu winni.

- Jak to?

Wspomnienie było tak bolesne, że Cairpré się skrzywił.

- Widzisz, to wszystko odbywało się stopniowo. Tak stopniowo, że nikt do końca nie rozumiał, co się dzieje, aż było za późno. Nikt oprócz Stangmara nie pojmuje, jak to się zaczęło. Wiadomo tylko, że Rhita Gawr zaproponował królowi ochronę w czasach, kiedy ten jej potrzebował. Odmowa przyjęcia pomocy wystawiłaby króla i, co za tym idzie, Fincayrę na niebezpieczeństwo. Rhita Gawr musiał to bardzo precyzyjnie zaplanować, gdyż król znalazł

się w takiej sytuacji, że było mu trudno odmówić. I Stangmar przyjął pomoc Rhity Gawra.

Mężczyzna przerwał, zdjął z białego kołnierza małą brązową ćmę i położył ją ostrożnie na stercie książek obok stołka.

- Ta decyzja doprowadziła do łańcucha tragedii. Kiedy Rhita Gawr przekonał

Stangmara, że jego wrogowie knują, jak go obalić, król zawarł kontrowersyjne przymierze z goblinami wojownikami i zjawami mimicznymi. A oni wypelzli z najmroczniejszych zakamarków! Potem pojawiły się pogłoski, jakoby olbrzymi, najstarsza rasa Fincayry, nagle stali się zagrożeniem. Nie tylko dla króla, ale dla nas wszystkich. Tak więc nie było wielu protestów, kiedy na rozkaz Stangmara rozpoczęła się eksterminacja olbrzymów. Olbrzymi zawsze wydawali się tacy... inni od większości ludzi. Tych z nas, którzy się sprzeciwili, wydrwiono albo brutalnie uciszono. Następnie, zgodnie z zaleceniami Rhity Gawra, Stangmar rozpoczął kampanię eliminowania przeciwników króla - i konfiskowania Skarbów Fincayry, gdyż mogłyby one rzekomo wpaść w ręce wroga.

- Czy ktoś usiłował się temu sprzeciwić?

- Kilka dzielnych dusz, ale było ich za mało i było za późno. Stangmar pozbył się opozycji, doszczętnie paląc wsie pod zarzutem zdrady. Jednak nawet to było lepsze od losu, który spotkał wioskę Caer Neithan.

Podskoczyłem.

- Mówi pan o... Miasteczku Bardów?

- Znasz je? Ach, co za strata dla naszego świata i wszystkich pozostałych! Od niepamiętnych wieków miasteczko to tryskało muzyką i pieśnią, było domem naszych najznamienszych gawędziarzy, ojczyzną pokoleń bardów. To właśnie tam przyszedł na świat Chromy Laon! Pwyll napisał tam swój pierwszy wiersz! To tam powstał Okręt złudzeń!

Mógłbym wymieniać w nieskończoność. Tu pieśń rozbrzmiewa już z oddali, opowieść krąży po schodach spirali.

Skinąłem głową i dodałem:

- Napis na tabliczce.

- Zgadza się. Napisano to szczerze, choć teraz to brzmi jak drwina. Wiem najlepiej, gdyż to ja



pisałem te słowa. - Westchnął. - Ja też urodziłem się w Caer Neithan.

- Co tam się stało?

Cairpré patrzył na mnie przez chwilę ze smutkiem.

- Ze wszystkich legendarnych Skarbów, które ukradł Stangmar - wśród których jest miecz Głębotnij, który tnie do samej duszy, Harfa Kwitnienia, która może wezwać wiosnę, Kocioł Śmierci, który może skończyć każde życie - najbardziej sławiony przez bardów przez wsze czasy był Zaklinacz Marzeń. Był to róg, który umiał sprawić, żeby sny się ziściły, i przez stulecia korzystano z niego ostrożnie i z rozwagą. Jednak z pomocą Rhity Gawra Stangmar użył go, by dać nauczkę Caer Neithan za udzielanie schronienia jego oponentom.

Urzeczywistnił on najstraszliwszy koszmar każdego barda - i ukarał nim całe miasteczko.

Mając przed oczami szaleństwo w oczach mężczyzny z włócznią, zadałem z lękiem pytanie:

- Co to był za sen?

Oczy poety zaszły mgłą.

- Że żaden mężczyzna, żadna kobieta i żadne dziecko w wiosce nigdy już nic nie powie, nie zaśpiewa ani nie napisze. Że instrumenty ich dusz - ich głosy - zamilkną na wieki wieków.

Dalej mówił prawie szeptem:

- Potem nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować, kiedy Rhita Gawr namówił

Stangmara, aby zniszczył własny zamek, równie wspaniały co gościnny dom, o jakim mógłby zamarzyć każdy król bądź królowa, w tym bibliotekę pełną książek, bibliotekę po tysiącokrotnie większą od mojej. I dlaczego? Gdyż rzekomo nie był wystarczająco zabezpieczony przed atakiem! Rhita Gawr, bez wątplenia przedstawiając to jako gest dobrej woli, zbudował dla Stangmara nowy zamek, zamek przeklęty. W ten sposób powstał Spowity Zamek, bezustannie obracający się wokół swojej osi, rozprzestrzeniający wokół siebie nieprzeniknioną chmurę, która zasłoniła nam niebo, i straszną Plagę, która zabrała nam plony.

Poeta potarł brodę.

- Zamku strzegą nieśmiertelni wojownicy, upiornicy. Ich życie, jeżeli można to w ogóle nazwać życiem - gdyż są to ludzie, których po śmierci wskrzesił Rhita Gawr - nigdy się nie skończy, żaden cios nich nie powali. Ich żywot podtrzymują obroty samego Spowitego Zamku. I tak długo, jak on się kręci, oni tam będą, kalając się czynami mroczniejszymi od samego Mroku.

Zatęskniłem za Rhią. Jeżeli jeszcze żyła, była prawdopodobnie w czeluściach samego zamku! Na łasce upiorników i samego Stangmara. Co się z nią stanie, kiedy król zrozumie, że choćby chciała, nie pomoże mu ona w zdobyciu Galatora, ostatniego Skarbu? Zadrzałem na samą myśl o tym. I byłem przytłoczony twierdzeniem Wielkiej Eluzy, jakoby jedynym sposobem, żeby obalić Stangmara, było

zniszczenie Spowitego Zamku. Równie dobrze mogłem zamarzyć o tym, że wyrosną mi skrzydła!

- Teraz widzisz - dodał Cairpré - że Stangmar jest w istocie niewolnikiem Rhity Gawra. I dopóki Stangmar jest więźniem, nikt z nas nie będzie wolny.

- Dlaczego Dagda nic nie zrobił, żeby to powstrzymać? Przecież toczy bój z Rhitą Gawrem na innych frontach, prawda?

- Owszem. W Zaświecie, jak również w tym świecie. Jednak Dagda, w odróżnieniu od Rhity Gawra, jest przekonany, że aby odnieść ostateczne zwycięstwo, musi uszanować wolę ludzi. Dagda pozwala nam dokonywać wyborów, dobrych bądź złych. Jeżeli więc Fincayra ma przetrwać, to sami jej mieszkańcy muszą ją ocalić.

## UTRACONE SKRZYDŁA

Cairpré sięgnął za Shima, którego w spizarce było pełno, podobnie jak miodu z koniczyny. Długowłosa mężczyzna oderwał pajdę ciemnego ziarnistego chleba i przełamał ją na pół. Jedną połówkę zatrzymał sobie, a drugą podał mnie.

- Proszę. Zanim twój mały przyjaciel wszystko zje.

Shim nie zareagował i dalej się opychał.

Uśmiechnąłem się półgębkiem i ugryzłem chrupiący chleb. Był twardy, prawie jak drewno, i żeby go nieco rozmiękczyć, musiałem mocno przeżuwać. Potem, ku mojemu zdziwieniu, szybko się rozpuścił i usta wypełnił mi cierpki miętowy smak. Jak tylko połknąłem kęs, poczułem się syty. Wyprostowałem się. Nawet ból między łopatkami nieco zelżał. Ugryzłem kolejny kęs.

- Widzę, że smakuje ci chleb z ambrozji - powiedział Cairpré z pełnymi ustami. - To bez wątpienia jedno z największych osiągnięć Slantos. Jednak wieść głosi, że nikt z innych rejonów Fincayry nie skosztował najlepszych chlebów ze Slantos i że jego mieszkańcy strzegą tych cennych przepisów z narażeniem życia.

Rozejrzałem się po ścianach i podłodze pokoju, ogarnąłem wzrokiem wszystkie gęsto upakowane tomy. Czuję się, jakbym był na statku, który przewozi same książki.

Przypomniałem sobie tęskne spojrzenie Branwen, kiedy mówiła o pokoju pełnym książek -

bez wątpienia właśnie o tym. Nawet pomimo rozprzestrzeniającej się Plagi z trudem przyszło jej opuścić na zawsze ten pokój, tę krainę.

Odwróciłem się do Cairprégo.

- Bran... to znaczy moja matka musiała być zachwycona tym miejscem i wszystkimi tymi książkami.

- Rzeczywiście była. Chciała czytać nauki Fincayran, druidów, Celtów, Żydów, chrześcijan, Greków. Twierdziła, że jest moją uczennicą, ale tak naprawdę było na odwrót. To ja nauczyłem się dużo od niej.

Poeta zerknął na książki przy drabinie. Na skórzanej okładce woluminu, który wieńczył stertę, w blasku kominka lśnił zdobiony złotymi liśćmi portret postaci jadącej na płonącym rydwanie.

- Pamiętam - zaczął mówić rozmarzonym głosem - jak kiedyś rozmawialiśmy całą noc o niezwykłych miejscach, gdzie żyją obok siebie śmiertelnicy i duchy. Gdzie czas płynie po linii, jak i po okręgu. Gdzie święty czas współlistnieje z czasem historycznym. Nazywała je poganiczem.

- Jak Olimp.

Poeta przytaknął.

- Albo jak Fincayra.

- Czy opuściła Fincayrę tylko z powodu pogarszającej się sytuacji? Czy była inna przyczyna?

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Twoje podejrzenia są słuszne. Był inny powód.

- Jaki?

- Ty, mój chłopcze.

Zmarszczyłem czoło.

- Nie rozumiem.

- Pozwól, że wyjaśnię. Czy słyszałeś o greckiej wyspie Delos?

- Miejsce narodzin Apolla. Ale co to ma wspólnego ze mną?

- To było kolejne pogranicze, miejsce zarazem święte i historyczne. Dlatego Grecy nie pozwalali, żeby na Delos ktoś się urodził. Nie chcieli, żeby zwykły śmiertelnik miał prawa do ziemi, która kiedyś należała do bogów. I zabijali albo skazywali na wygnanie każdego, kto ten zakaz złamał.

- Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

W tej chwili Shim beknął potężnie, a siła odgłosu zupełnie nie przystawała do niewielkich rozmiarów małego olbrzyma. Jednak ten nie zwrócił nawet na to uwagi, wyglądało, jakby zupełnie zapomniał o Cairprém i o mnie. Poklepał się tylko po brzuchu i wrócił do poważnych spraw związanych z miodem ze świeżej koniczyny.

Cairpré uniósł krzaczaste brwi rozbawiony, jednak potem mina mu spoważniała.

- Tak samo jak na Delos, również na Fincayrze surowo zakazuje się narodzin osoby ludzkiej rasy. Ta kraina nie jest częścią Ziemi ani Zaświata, stanowi pomost między jednym a drugim. Z obu tych światów przybywają do nas goście, którzy niekiedy zostają wiele lat.

Jednak nigdy nie jest to ich ojczyzna.

Nachyliłem się.

- Ja szukam swojego domu. Proszę pomóc mi to zrozumieć. Jeżeli moja matka musiała opuścić Fincayrę, żeby mnie urodzić, to dokąd się udała? Wie pan, gdzie się urodziłem?

- Wiem - odparł poeta poważnym tonem. - Nie tam, gdzie powinieneś być się urodzić.

Wstrzymałem oddech.

- Czy chce pan powiedzieć, że urodziłem się na Fincayrze, mimo że jestem człowiekiem?

Jego mina nie pozostawiała wątpliwości.

- Czy to znaczy, że grozi mi niebezpieczeństwo?

- I to większe, niż przypuszczasz.

- Jak do tego doszło? Powiedział pan, że to było zabronione.

- Mogę wyjaśnić, co się stało, ale nie dlaczego. - Cairpré podrapał się po głowie. - To było tak. Twoi rodzice, świadomi obowiązującego na Fincayrze pradawnego zakazu, wiedzieli, że Elen musi popłynąć do innej krainy, żeby cię urodzić. Wiedzieli jednak także, że wypływając z Fincayry, nie można było mieć pewności, czy się wróci. Przeprawa na wyspę nie należy do zwyczajnych, jak zapewne dobrze wiesz. Czasami przejście jest otwarte, a czasami nie. Wielu spośród tych, którzy opuścili wyspę, chciało na nią wrócić, ale znalazło tylko zamglone wody. Inni zginęli na wzburzonych morzach. Nie wiemy po co, ale żeglujemy nocą.

Cairpré pokręcił głową.

- Twoi rodzice bardzo się kochali i nie chcieli się rozstać. Gdyby Tuatha nie rozkazał

twojemu ojcu, żeby został, toby z nią popłynął. Co więcej, podejrzewam, że Elen wiedziała, że coś się święci, i nie chciała go zostawić. Długo więc zwlekali z rozstaniem. Zbyt długo.

Twoja matka była prawie w dziewiątym miesiącu, kiedy wypływała.

Poczułem ciepło na piersi i spojrzałem na tunikę. Pod jej fałdami Galator świecił

delikatnie, zdobiąc moje serce kręgiem zielonego światła. Zasłoniłem szybko to miejsce dłonią, mając nadzieję, że Cairpré tego nie zauważy i nie przerwie opowieści.

- Niedługo po tym, jak statek wyruszył, zerwała się straszna burza. To był sztorm, jakiego nikt nie przeżył od czasów Odyseusza. Poobijany falami statek prawie poszedł na dno i musiał wrócić do brzegu. Tej samej nocy we wraku statku twoja matka urodziła. - Urwał

zamyślony. - I nadała chłopcu imię Emrys, celtyckie imię ze swojej ojczyzny.

- Czyli to jest moje prawdziwe imię?

- Niekoniecznie! Twoje prawdziwe imię nie musi być tym, które ci nadano.

Potwierdziłem skinięciem, że rozumiem.

- Emrys nigdy do mnie nie pasowało. Ale jak mogę poznać swoje prawdziwe imię?

Głęboko osadzone oczy przyjrzały mi się.

- Życie je dla ciebie odnajdzie.

- Nie wiem, co chce pan przez to powiedzieć.

- Przy odrobinie szczęścia z czasem zrozumiesz.

- Cóż, moje prawdziwe imię jest nadal tajemnicą, ale przynajmniej teraz wiem, że moją ojczyzną jest Fincayra.

Cairpré pokręcił siwą głową.

- I tak, i nie.

- Przecież powiedział pan, że tu się urodziłem!

- Twoje miejsce narodzin nie musi wyznaczać twojej ojczyzny.

Coraz bardziej sfrustrowany, wyciągnąłem spod tuniki Galatora. Umieszczony w środku klejnot, który nadal delikatnie lśnił, zabłysnął w świetle ognia.

- Ona mi to dała! Czy to nie dowód, że to moja ojczyzna?

Nowa fala smutku wypełniła schowane w głębi oczy Cairprégo.

- To ojczyzna Galatora, owszem. Jeżeli zaś chodzi o ciebie, to nie wiem.

Zapytałem zirytowany:

- Czy muszę zniszczyć zamek, króla i jego armię, zanim przyzna pan, że to jest moja ojczyzna?

- Może pewnego dnia ci to powiem - odparł poeta spokojnie. - Jeżeli sam będziesz tak uważał.

Jego postawa i słowa trochę mnie uspokoiły. Schowałem wisior pod tunikę. Znow poczułem ból między łopatkami i rozprostowałem ręce.

Cairpré przyglądał się temu z zainteresowaniem.

- Czyli ty też czujesz ten ból. W tym sensie jesteś bez wątpienia dzieckiem Fincayry.

- Ból między łopatkami? To ma jakieś znaczenie?

- Wielkie.

Na widok mojej zdezorientowanej miny Cairpré oparł się ponownie na stołku, złapał się za kolano i rozpoczął opowieść:

- W zamierzchłych czasach mieszkańcy Fincayry chodzili po ziemi tak jak teraz.

Jednak posiadali też inną umiejętność. Umieli latać.

Zrobiłem wielkie oczy.

- Mieli dar latania. Mieli też wspaniałe białe skrzydła, które, wedle legend, wyrastały im spomiędzy łopatek. Potrafili więc szybować z orłami i unosić się wśród chmur. Skrzydeł

biel niebiański cel. Mogli wznosić się wysoko ponad ziemię Fincayry, a nawet latać do innych krain.

Przez chwilę prawie poczułem trzepot zadziornego sokoła, który szybuje w przestworzach, po czym ląduje mi na ramieniu. Kłopot tak bardzo lubił latać! Tęskniłem za nim prawie tak bardzo jak za Rhią.

Uśmiechnąłem się ze smutno do Cairprégo.

- Czyli mieszkańcy Fincayry mieli uszy demonów i skrzydła aniołów.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Gdyby ująć to ze szczyptą poezji.

- Co się stało z ich skrzydłami?

- Stracili je, choć nie wiadomo jak. Ta historia nie zachowała się do naszych czasów, ale chętnie oddałbym połowę swoich książek, żeby ją usłyszeć. Cokolwiek się stało, było to tak dawno temu, że wielu Fincayran nigdy nawet nie słyszało o tym, że ich przodkowie umieli latać. A jeżeli słyszeli, wkładali to między baśnie.

Popatrzyłem na poetę.

- Ale pan wierzy, że to prawda.

- Tak.

- Znam kogoś, kto też by w to uwierzył. To moja przyjaciółka Rhia. Ona tak bardzo pragnie móc latać. - Zagryzłem wargę. - Jednak najpierw muszę ją uratować! Jeżeli jeszcze żyje.

- Co się z nią stało?

- Porwały ją gobliny! Oszukała je, żeby zabrali ją zamiast mnie, choć naprawdę zależało im na Galatorze. Prawdopodobnie jest już w Spowitym Zamku.

Cairpré przechylił głowę i zmarszczył brwi. Pod tym kątem jego twarz wyglądała jak surowa rzeźba wykuta z kamienia. W końcu przemówił, a jego dźwięczny głos rozszedł się po pokoju pełnym książek.

- Czy słyszałeś przepowiednię o tańcu olbrzymów?

Spróbowałem ją sobie przypomnieć.

- Tylko kiedy olbrzymi zatańczą w sali, wszystkie...

- Bariery.

- Wszystkie bariery runą i zło się oddali. Ale nie mam żadnych szans, żeby zniszczyć zamek! Mogę najwyżej spróbować ocalić przyjaciółkę.

- A jeżeli będziesz musiał w tym celu zniszczyć Spowity Zamek?

- Wtedy wszystko stracone.

- Bez wątplenia masz rację. Zburzenie zamku zakończyłoby panowanie Rhity Gawra nad Fincayrą. I ani on, ani Stangmar na to nie pozwolą! To byłoby niemożliwe nawet dla wojownika rangi Herkulesa. Nawet gdyby miał niezwykle potężną broń.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Może Galator jest kluczem do zwycięstwa! To w końcu ostatni Skarb, którego szuka Stangmar.

Kudłata grzywa Cairprégo pokiwała się na boki.

- O Galatorze wiadomo bardzo niewiele.

- Może mi pan przynajmniej powiedzieć, jakie są jego moce?

- Nie. Wiem tylko, że stare teksty wspominają o ogromie, którego nie sposób ogarnąć.

- Niewielka to pomoc.

- Zgadza się. - Smutna twarz poety nieco się rozpromieniła. - Mogę jednak podzielić się z tobą własną teorią na temat Galatora.

- Proszę mi o niej powiedzieć!

- Wierzę, że jego moce, jakiegokolwiek by były, są związane z miłością.

- Miłością?

- Tak. - Poeta omiótł wzrokiem półki z książkami. - Nie powinno cię to dziwić!

Historii o potędze miłości jest bez liku. - Poglądził się po brodzie.

- Przede wszystkim jestem przekonany, że Galator lśni, kiedy wyczuwa miłość.



Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy, kiedy zaczął ci świecić pod tuniką?

Zawahałem się.

- O... mojej matce?

- Zgadza się. Elen o Szafirowym Spojrzeniu. O kobiecie, która tak bardzo cię kochała, że oddała wszystko, by uratować ci życie! Jeżeli chcesz poznać prawdę, to był właśnie powód, dla którego opuściła Fincayrę.

Przez dłuższą chwilę nie mogłem się wysłowić. W końcu powiedziałem z żalem:

- Jakimże byłem osłem! Nigdy nie nazwałem jej swoją matką, nigdy się o nią nie troszczyłem. Chciałbym móc jej powiedzieć, jak niezmiernie mi przykro.

Cairpré opuścił wzrok.

- Dopóki zostaniesz w Fincayrze, nie będziesz miał ku temu okazji. Kiedy wyjechała, przysięgła, że nigdy nie wróci.

- Nie powinna była mi dawać Galatora. Nie mam pojęcia, jak on działa ani co może zrobić.

- Dopiero co przedstawiłem ci własną teorię.

- Pana teoria jest szalona! Pana zdaniem Galator łśni, kiedy wyczuwa miłość. Mogę panu powiedzieć, że widziałem, jak łśni po moim powrocie na Fincayrę - w obecności krwiożerczej pajęczycy!

Cairpré zamarł.

- Chyba nie... Wielkiej Eluzy?

- Owszem.

Prawie się uśmiechnął.

- To jeszcze bardziej przemawia za moją teorią! Nie daj się nabrać na niepokojący wygląd Wielkiej Eluzy. Prawda jest taka, że ogrom jej miłości dorównuje ogromowi jej apetytu.

Wzruszyłem ramionami.

- Nawet jeżeli pana teoria jest prawdziwa, co mi z niej przyjdzie? To mi nie pomoże uratować Rhii.

- Czy jesteś zdecydowany, żeby za nią ruszyć?

- Tak.

Skrzywił się.

- Zdajesz sobie sprawę, że szanse powodzenia są niewielkie?

- Domyślam się.

- Nie masz pojęcia!

Cairpré wstał i zaczął się przechadzać w wąskiej przestrzeni między stertami książek.

Potrącił udem duży iluminowany tom, który spadł na ziemię, wzniecając tumany kurzu.

Kiedy mężczyzna schylił się, żeby go podnieść, i wciskał luźne strony między okładki, spojrzał na mnie.

- Przypominasz mi Prometeusza, przekonanego, że uda mu się wykraść bogom ogień.

- Nie jestem przekonany. Po prostu wiem, że muszę spróbować. Poza tym Prometeuszowi w końcu się udało, prawda?

- Owszem! - krzyknął poeta. - Za cenę wiecznych męczarni, gdyż przykuto go do skały i orzeł wyszarpywał mu po kawałku wątrobę.

- Aż Herkules go uratował.

Cairpré poczerwieniał na twarzy.

- Widzę, że zbyt dobrze uczyłem twoją matkę. Masz rację, w końcu Prometeusz odzyskał wolność. Ale jeżeli nawet przez chwilę ci się wydawało, że ty też będziesz miał tyle szczęścia, to jesteś w błędzie. Samo pokazanie się na ziemiach kontrolowanych przez Stangmara pociąga za sobą ryzyko! Zrozum, poświęcenie twojej matki pójdzie na marne, jeżeli udasz się do Spowitego Zamku.

Założyłem ręce na piersi. Choć nie czułem przyływu odwagi, podjąłem decyzję.

- Muszę spróbować uratować Rhię.

Cairpré przestał chodzić.

- W takim razie jesteś nie mniej uparty od swojej matki!

- To zabrzmiało jak komplement.

Pokręcił głową, przyznając się do porażki.

- Niech ci będzie. Nie baczysz na moje ostrzeżenia. Śmierć nadchodzi, dzień się chłodzi. W takim razie zostaje mi tylko dać ci pewną pożyteczną radę.

Podniosłem się ze stołka.

- Co to za rada?

- Prawdopodobnie przyspieszy ona tylko chwilę twojej śmierci.

- Proszę mi powiedzieć.

- W całej Fincayrze jest tylko jedna osoba, która mogłaby pomóc ci dostać się do zamku, choć później już nawet ona nie będzie mogła cię wesprzeć. Jej moce są bardzo stare i wywodzą się z tych samych pradawnych źródeł, którym zawdzięczają istnienie pierwsi olbrzymi. To dlatego Stangmar boi się ją zgładzić. Nawet sam Rhita Gawr woli z nią nie zadzierać.

Cairpré podszedł bliżej, brnąc przez morze książek.

- Czy będzie skłonna ci pomóc, tego nie wiem. I nikt nie wie. Gdyż jest to istota tajemnicza i nieprzewidywalna. Nie jest dobra ani zła, nie jest przyjacielem ani wrogiem. Po prostu jest. Według legendy nazywa się Domnu, co znaczy Mroczny Los. Jej prawdziwe imię, jeżeli kiedykolwiek było znane, zagubiło się w odmętach czasu.

Cairpré zerknął na Shima, teraz śpiącego mocno na półce spiżarni z dłonią w pustym słoju po miodzie.

- Jednak nie wiem, czy ty i twój mały przyjaciel będziecie mieli w ogóle okazję ją poznać. Dotarcie do jej kryjówki będzie bardzo niebezpieczne. - Po czym dodał po nosem: -

Choć nie tak niebezpieczne jak później jej opuszczenie.

Zadrżałem lekko.

- Aby ją znaleźć, musicie wyruszyć przed wschodem słońca. Choć światło świtu to teraz zaledwie bładny odcień na tle pochłaniającej wszystko ciemności, będzie ono waszym najlepszym przewodnikiem. Gdyż na północ od wschodzącego słońca zobaczysz przesmyk, głęboko w łańcuchu najwyższego rzędu wzgórz.

- I powinienem tam zmierzać?

Cairpré potwierdził skinieniem.

- I lepiej, żebyś go nie przegapił. Jeżeli przejdiesz na drugą stronę grani na północ od przesmyku, znajdziesz się w środku największego obozu służących Stangmarowi goblinów.

Wciągnąłem powietrze.

- Bez obaw.

- A jeżeli przeprawisz się na południe od przesmyku, twoje położenie będzie jeszcze gorsze, gdyż trafisz na Nawiedzone Bagno.

- To też mi nie grozi.

Shim zachrapał długo i doniośle. Ustawione na półkach książki podskoczyły, równie zaskoczone jak Cairpré i ja. Poeta zmarszczył brwi, ale mówił dalej:

- Przejście przez przesmyk nie będzie łatwe. Strzegą go gobliny. Ilu, tego nie wiem.

Ale nawet jeden może być uciążliwy. Powinieneś liczyć na to, że w tych czasach gobliny są nieprzywykłe do podróży z powodów, które na pewno rozumiesz. Możliwe, że nie będą dość czujne. Niewykluczone, że uda ci się obok nich przemknąć.

- I co potem?

- Musisz iść po grani, pilnując się, żeby z niej nie zboczyć, aż dojdiesz do stromego kanionu. Niegdyś wzdłuż jego krawędzi szybowały orły, ale teraz jest on mroczniejszy niż sama noc. Skręcisz na południe i dojdiesz kanionem do samego Nawiedzonego Bagna. Jeżeli uda ci się dotrzeć tak daleko, to odnajdziesz kryjówkę Domnu. Najpierw jednak czeka cię spotkanie z innymi istotami prawie tak dziwnymi jak ona.

Zrobiło mi się słabo i oparłem się o krzesło.

- Jak wygląda jej kryjówka?

- Nie mam pojęcia. Nikt, kto tam trafił, nigdy stamtąd nie powrócił. Mogę ci tylko powiedzieć, że wedle legendy Domnu uwielbia gry i zakłady - i nie znosi przegrywać.

Cairpré schylił się ku podłodze i przesunął na bok stertę książek. Rzucił w to miejsce owczą skórę. Z wielkim smutkiem oznajmił:

- Jeżeli chcesz zrealizować swój plan, powinieneś udać się na spoczynek. Niedługo będzie świtać.

Przyjrzał się mojej twarzy.

- Z blizn na twoich policzkach i dziwnej pustki we wzroku wnioskuję, że to nie pierwszy raz, kiedy okazujesz odwagę. Być może nie doceniłem cię. Być może posiadasz ukryte moce twoich przodków i nie tylko.

Zbyłem komentarz lekceważącym machnięciem dłoni.

- Gdyby znał mnie pan lepiej, wiedziałby pan, że z przodkami mam niewiele wspólnego. Nie mam specjalnych mocy, a w każdym razie nie mam żadnych, których mógłbym używać. Mam tylko upór i Galatora na szyi.

Cairpré podrapał się po brodzie.

- Czas pokaże. Ale powiem tyle. Kiedy wszedłeś do mojego domu, szukałem odpowiedzi w jakimś zapomnianym tomie. Teraz się zastanawiam, czy nie powinienem jej być szukać w jakiejś zapomnianej osobie.

Rozłożyłem się zmęczony na owczej skórze. Przez jakiś czas nie spałem i przyglądałem się oświetlonym ogniem z kominka ścianom książek, zwojów, stert rękopisów.

Cairpré wrócił na swoje krzesło z wysokim oparciem i pogrążył się w lekturze.

Czyli to tu moja matka poznała te wszystkie historie. Poczulem pragnienie, żeby zostać wiele dni w tym pokoju pełnym książek, żeby podróżować tam, gdzie mnie zanoszą ich stronice. Być może pewnego dnia to właśnie zrobię. Wiedziałem jednak, że najpierw muszę odbyć inną podróż. I że muszę wyruszyć przed świtem.

## T'EILEAN I GARLATHA

Shim zmarszczył nos ze zdziwienia.

- Dlaczego ją nazywa W Domu? Dziwne to najbardziej.

- Domnu - poprawiłem go, podnosząc się na owczej skórze. - Powiedziałem ci wszystko, co wiem, i nie jest tego wiele.

Zerknąłem na Cairprégo, który twardo spał na krześle z trzema książkami otwartymi na kolanach. Jego długie siwe włosy spadały mu na twarz jak wodospad.

- Musimy wyruszać.

Shim spojrzał na spiżarnię, której dolna półka lśniła od rozlanego miodu.

- Nie cieszy, że stąd odchodzi.

- Wiesz, że nie musisz iść. Zrozumiem, jeżeli zostaniesz.

W różowych oczach pojawił się błysk.

- Najprawdziwiej, najzupełniej, najszczerzej?

- Tak. Jestem pewien, że Cairpré cię przygarnie, choć pewnie nie zostało mu już zbyt wiele do jedzenia.

Mały olbrzym cmoknął. Zerknął na drewnianą drabinę prowadzącą do wyjścia, zachmurzył się.

- Ale ty idzie?

- Ja idę. Teraz.

Przez kilka sekund przyglądałem się jego małej twarzy na wysokości mojego kolana.

Koniec końców Shim okazał się nie najgorszym towarzyszem. Wziąłem go za małą dłoń.

- Jest jeszcze wiele miejsc, gdzie mógłbyś znaleźć mnóstwo miodu.

Shim się skrzywił.

- Nie jest szczęśliwy, że idzie.

- Wiem. Żegnaj.

Podszedłem do drabiny i chwyciłem za zużyty szczebel.

Shim podbiegł i pociągnął mnie za tunikę.

- Ale też nie cieszy się, że zostaje.

- Powinieneś zostać.

- Ty mnie nie chce?

- To może być dla ciebie zbyt niebezpieczne.

Shim burknął urażony:

- Nie mówiłby tego, gdyby ja jest wielkim olbrzymem, wielkim i silnym. Wtedy by błaga, żeby idzie.

Uśmiechnąłem się smutno.

- Może i tak, ale lubię cię takiego, jaki jesteś.

Mały człowieczek się skrzywił.

- Ja nie! Chce być duży. Duży jak najduższe drzewo.

- Wiesz, kiedy Rhia kiedyś się na mnie zezłościła, powiedziała: „Po prostu bądź

sobą”. Dużo o tym myślałem. Łatwiej to powiedzieć, niż się do tego zastosować, ale miała rację.

- E tam! Nie, jeżeli nie lubi siebie takiego, jaki jest.

- Shim, posłuchaj. Rozumiem cię. Naprawdę. Po prostu spróbuj pogodzić się z tym, jaki jesteś.

Zamilkłem, trochę zaskoczony faktem, że powiedziałem coś takiego. Potem spojrzałem ostatni raz na ściany pełne książek Cairprégo i zacząłem wchodzić po drabinie.

Kiedy przecisnąłem się przez drzwiczki w pniu, rozejrzałem się po horyzoncie na wschodzie. Sucha czerwona gleba rozciągała się jak wzrokiem sięgnąć, co pewien czas urozmaicona mizernymi drzewami albo kępą ciernistych paproci. Choć żaden ptak nie oznajmiał nadejścia świtu, blada linia światła pojawiła się już nad Mrocznymi Wzgórzami, czarniejszymi niż węgiel. Na północ od poświaty zobaczyłem dwa szczyty przedzielone wąską wyrwą. Przesmyk.

Stojąc obok pnia, skoncentrowałem się, by zapamiętać ułożenie terenu. Nie chciałem przeoczyć przesmyku. I nie mogłem mieć pewności, że w miarę upływu dnia będzie on równie dobrze widoczny.

Zobaczyłem swoją laskę leżącą na ziemi i schyliłem się, żeby ją podnieść.

Powykręcany koniec zdobила rosa, przez co drewno było śliskie i zimne w dotyku. Nagle zauważyłem

na nim kilka głębokich nacięć. Ślady zębów. Nie miałem pojęcia, jakie stworzenie je zostawiło. Wiedziałem tylko, że nie było ich, kiedy schodziłem zeszłej nocy do tunelu Cairprégo.

Kiedy chciałem zamknąć drzwi, wyłonił się z nich bulwiasty nos Shima. Za nim pojawiła się reszta jego ciała i mały olbrzym wygramolił się przez otwór.

- Ja idzie.

- Na pewno? - Pokazałem mu laskę. - To, co wczoraj się do niej dobierało, może być w pobliżu.

Shim przełknął ślinę, ale nic nie powiedział.

Pomachałem w stronę lśniącego delikatnie horyzontu.

- Aby znaleźć Domnu, musimy przedostać się przez przesmyk w Mrocznych Wzgórzach. Nie możemy się pomylić. Po jednej stronie jest armia goblinów, po drugiej Nawiedzone Bagno.

Mały olbrzym mocno zaparł się stopami.

- Ty nie zostawi mnie.

- A więc dobrze. Chodźmy.

Przeskoczyłem nad strumykiem przy pniu i ruszyłem szybkim krokiem w stronę przesmyku. Shim poszedł za mną, z trudem nadążając.

Resztę poranka - jeżeli ponurą, mroczną porę można w ogóle tak nazwać -

spędziliśmy na przedzieraniu się przez tundrę. Ziemia trzaskała pod ciężarem naszych stóp.

Droga ku grani z przesmykiem nie wiodła po drogach ani szlakach, choć mijaliśmy i jedno, i drugie. Jednak były one tak puste jak doszczętnie spalona wioska.

Rozmowa była równie niemrawa jak roślinność i równie oschła, gdyż obaj wiedzieliśmy, jak łatwo mogą nas zauważyć podwładni Stangmara. Nawet kiedy Shim sięgnął

do kieszeni koszuli, żeby podzielić się kawałkiem chleba z ambrozji ze spiżarni Cairprégo, zrobił to bez słowa. Podziękowałem mu skinieniem i szliśmy naprzód.

W miarę jak zbliżaliśmy się do Mrocznych Wzgórz, teren stopniowo się wznosił, a ja robiłem, co mogłem, żeby być dobrym przewodnikiem. Choć przesmyk nie wyróżniał się już na tle nieba tak, jak podczas krótkiego blasku wschodzącego słońca, nadal był widoczny.

Jednak kojarzył mi się nie tyle z punktem orientacyjnym, ile ze złym omenem. Nawet gdyby udało się nam przejść przez niego i dotrzeć do zamku Stangmara, co zrobimy, jeżeli Rhii tam nie będzie? Albo, co gorsza, będzie, ale martwa?



Co jakiś czas napotykaliliśmy skąpe ślady bytności ludzi. Tu stary dom, tam rozsypująca się zagroda. Jednak budowle te były równie pozbawione życia jak okolica. Stały i gniły jak kości na plaży. Jeżeli ktoś tam jeszcze mieszkał, to się ukrywał i obywatł bez drzew, bez ogrodów i bez roślinności.

Wtedy, ku mojemu zdziwieniu, zobaczyłem przed nami słabą plamę zieleni.

Przekonany, że to przekłamanie mojego magicznego wzroku, skoncentrowałem się na tym punkcie. Jednak kolor wydawał się prawdziwy i wyróżniał się na tle wszechobecnych odcieni szarości i rdzawego brązu. Kiedy znaleźliśmy się bliżej, zieleń nabrała głębi. Ujrzałem też kontury stojących w równych rzędach drzew, a na ich gałęziach owoce.

- Sad! Nie do wiary!

Shim podrapał się w nos.

- Dla mnie to wygląda najniebezpieczniej.

- A widzisz to? - Wskazałem na kwadratowy kształt za drzewami. - To chata w szczelinie na stoku.

- Lepiej trzyma się z daleka. Najprawdziwiej, najzupełniej, najszczerzej.

Czy dlatego, że zieleń drzew kojarzyła mi się z Drumą, czy dlatego, że chata przypominała mi o czasach, kiedy mieszkałem z kobietą, która okazała się moją matką, byłem ciekawy, co się za tym kryje. Spojrzałem w dół.

- Jak chcesz, możesz tu na mnie zaczekać. Ja podejść bliżej.

Shim patrzył, jak odchodzę, przeklinając pod nosem. Za chwilę podbiegł i mnie dogonił.

Kiedy się zbliżył, zatrzymałem się i odwróciłem do niego.

- Wyczułeś miód, co nie?

- Prędszej goblina - odburknął i obejrzał się nerwowo przez ramię. - Ale nawet jak goblina tu nie jest, to jest niedaleko.

- To akurat prawda. Długo tu nie zagościmy, obiecuję. Chciałbym tylko sprawdzić, kto tu mieszka.

Kiedy zbliżyliśmy się do sadu, zobaczyłem, że drzewa ogradał nierówny kamienny mur. Był z tej samej poplamionej porostami szarej skały co chata. Sądząc po szczerbach i odłamanych kawałkach, jednemu i drugiemu przydałaby się naprawa. Rozsypujący się mur otaczał drzewa, te z kolei chatę: ulistnione konary wiły się nad dachem i wokół ścian. Pod gałęziami na ziemi znajdowało się kilka zielonych grządek usianych śladami żywszych barw.

Przykląknę, a Shim zrobił to samo. Podpełzliśmy ostrożnie. Poczuliśmy falę świeżego zapachu wilgotnych liści i zakwitłych niedawno kwiatów. Uświadomiłem sobie, że już od dawna nie czułem woni żywych roślin. I wtedy zrozumiałem, że to nie jest sad, lecz ogród.

Właśnie wtedy z chaty wyszły dwa kształty, tak szare jak kamienie muru. Chwiejnym krokiem postaci podeszły powoli do najbliższej im grządki. Poruszały się dziwnym, niespójnym rytmem, jeden grzbiet prostował się, kiedy drugi się schylał, jedna głowa podnosiła się, kiedy druga opadała. Choć ich ruchy bardzo się od siebie różniły, osoby wydawały się ze sobą nierozzerwalnie połączone.

Kiedy się zbliżyli, dostrzegłem, że to staruszkowie. Byli w bardzo podeszłym wieku.

Siwe włosy z szarymi pasmami spadały im wzdłuż ramion, a brązowe szaty bez rękawów wisały na nich zużyte i wyblakłe. Gdyby nie byli tak zgarbieni, to byłiby dość wysocy. Tylko ich ręce, umięśnione i opalone, wydawały się młodsze wiekiem.

Para doszła do pierwszej grządki, po czym się rozdzieliła. Kobieta, której wyraziste kości policzkowe przypominały mi twarz mojej matki, schyliła się po worek nasion i zaczęła je sadzić w glebie po jednej stronie chaty. W tym czasie mężczyzna z długą brodą, podniósł

koszyk i pokuśtykał do drzewa obwieszonego tymi samymi spiralnymi owocami, których skosztowałem przy drzewie shomorra.

Nagle staruszek się zatrzymał. Odwrócił się powoli do miejsca, gdzie kuliliśmy się przy murku.

Nie odrywając od nas wzroku, powiedział niskim, zrzędliwym głosem:

- Garlatho, mamy gości.

Staruszka podniosła wzrok. Choć jej twarz zmarszczyło zatroskanie, odpowiedziała opanowana, steranym przez wiek głosem:

- Więc niech się pokażą, gdyż nie mają się czego obawiać.

- Nazywam się T'eilean - oznajmił mężczyzna.

- Jeżeli przybywacie w pokoju, to jesteście mile widziani.

Wychyliliśmy powoli głowy. Wstałem i postawiłem laskę na ziemi. Kiedy musnąłem miejsce, w które kilka godzin temu wgrzyły się jakieś kły, przeszedł po mnie dreszcz.

Tymczasem Shim podniósł się obok mnie i wyprostował ramiona, choć ponad krawędź muru wystawały mu tylko oczy i skudłona czupryna.

- Przybywamy w pokoju.

- A jak się nazywacie?

Zawahałem się nieufny.

- Nasze imienia to tajemnica - oznajmił Shim. - Nikt ich nie zna. - Po czym na wszelki wypadek dodał: - Nawet my ich nie zna.

Jeden kącik ust T'eileana wykrzywił się do góry.

- Ostrożności nigdy za wiele, mały wędrowcze. Ale tak jak wspomniała już moja żona, z naszej strony nie macie się czego obawiać. Mieszkamy tu i pielęgnujemy ogród, to wszystko.

Przeszedłem przez mur, pilnując się, żeby nie zdeptać cienkich żółtych warzyw wyrastających z pędu po drugiej stronie. Podałem dłoń Shimowi, który odtrącił ją i bez pomocy wdrapał się na kamienie.

T'eilean spoważniał.

- To niebezpieczne czasy na podróże po Fincayrze. Musicie być albo bardzo dzielni, albo bardzo głupi.

Przytaknąłem.

- Czas pokaże. Ale mogę zapytać o państwa? Jeżeli same podróże są niebezpieczne, to tym bardziej nie może być łatwo tu mieszkać.

- Żebyś wiedział. - T'eilean pokazał Garlacie, żeby do niego podeszła. - Ale dokąd mielibyśmy iść? Mieszkam tu z żoną od sześćdziesięciu ośmiu lat. Nasze korzenie są głębokie, tak głębokie jak korzenie tych drzew. - Wskazał ich prosty dom i dodał: - Poza tym nie mamy żadnych skarbów.

- A w każdym razie nic, co można by nam ukraść. - Garlatha wzięła go za rękę i uśmiechnęła się do niego. - Nasze skarby są zbyt wielkie, żeby się zmieściły w skrzyni, i cenniejsze od jakichkolwiek klejnotów.

T'eilean przytaknął.

- Masz rację, moja droga. - Nachylił się do mnie i uśmiechnął szelmowsko. - Zawsze ma rację. Nawet jak jej nie ma.

Garlatha kopnęła go mocno w piszczel.

- Ała - zawył, rozcierając obolałe miejsce. - Przez sześćdziesiąt osiem lat miałaś czas, żeby się nauczyć manier!

- Przez sześćdziesiąt osiem lat miałam czas, żeby przejrzeć twoje zagrywki. - Garlatha spojrzała mu prosto w oczy. Uśmiechnęła się powoli. - Ale szczególnie mi one nie przeszkadzają.

W ciemnych oczach staruszka błysnęła iskra.

- To co z naszymi gośćmi? Chcecie odpocząć? Pożywić się?

Pokręciłem głową.

- Obawiam się, że nie mamy czasu na odpoczynek. - Pokazałem na zwisające z gałęzi spiralne owoce. - Choć chętnie bym się poczęstował jednym z nich. Jadłem już kiedyś te owoce i były

przepyszne.

T'eilean sięgnął do góry i z zaskakującą zręcznością zerwał dużą pomarszczoną dłonią jeden z owoców. Wręczając mi go, powiedział:

- Oczywiście, że możesz się poczęstować, choć tej odmiany, larkona, jeszcze nie jadłeś.

Pokręciłem zdziwiony głową.

- Nie rosną nigdzie indziej w Fincayrze - wyjaśnił ogrodnik poważnym tonem. - Wiele lat temu, na długo przed twoimi narodzinami, drzew, które dawały te owoce, było pełno na wzgórzach na wschodnim brzegu Nieustającej Rzeki. Ale zgładziła je wszystkie Plaga, która opanowała resztę naszej krainy. Wszystkie oprócz tego.

Ugryzłem kęs owocu. W ustach rozlał mi się smak purpurowego słońca.

- Jest jeszcze jedno miejsce, gdzie rosną te owoce, i tam właśnie już ich kosztowałem.

T'eilean i Garlatha zapytali jednym głosem:

- Gdzie?

- W Lesie Druma, na drzewie shomorra.

- Shomorra? - wydusiła z siebie Garlatha. - Naprawdę tam byłeś, przy tym najrzadszym z drzew?

- Zabrała mnie tam przyjaciółka, która bardzo dobrze je zna.

T'eilean pogładził zwichrzoną brodę.

- Jeżeli to prawda, to masz niezwykłą przyjaciółkę.

Twarz mi stężała.

- To prawda.

Lekka bryza poruszyła gałęzią nade mną, szeleszcząc żywymi liśćmi. Przez chwilę nasłuchiwałem. Czułem się jak człowiek, który po wielu dniach bez wody słyszy bulgotanie strumienia. Nagle Shim sięgnął i wyszarpnął mi z dłoni spiralny owoc. Zanim zdążyłem zaprotestować, ugryzł dwa duże kęsy. Spiorunowałem go wzrokiem.

- Nie umiesz poprosić?

- Mmmppff - odparł mały olbrzym z ustami pełnymi owocu.

W oczach Garlathy zabłysnął uśmiech. Odwróciła się do męża i powiedziała:

- Wygląda na to, że nie tylko ja jestem niewychowana.

- Masz rację - odparł mężczyzna. Odkuśtykał nieco, po czym dodał równie rozbawiony: - Jak zawsze.

Garlatha się uśmiechnęła. Silną ręką sięgnęła po kolejny spiralny owoc i podała mi go.

- Proszę. Możesz spróbować kolejnego.

- Jesteście państwo niezwykle szczodrzy, zwłaszcza jeżeli to ostatnie drzewo tego gatunku na wschód od Drumy.

Powąchałem cytrusową woń larkona, po czym go ugryzłem. I znów na języku poczułem eksplozję słonecznego smaku. Delektując się nim, zapytałem:

- Jak to się stało, że wasz ogród przetrwał w samym sercu Plagi? To cud.

Para wymieniła spojrzenia.

Twarz T'eileana spowazniała.

- Kiedyś tak było wszędzie i nie było w tym nic cudownego. Ale nasz podły król zadbał, żeby to się skończyło.

- Serce nam się kroilo na widok tego, co się dzieje - dodała Garlatha załamującym się głosem.

- Mrok Stangmara przesłania słońce - mówił dalej staruszek. - Z każdym miesiącem coraz bardziej. Gdyż im potężniejszy jest Spowity Zamek, tym ciemniejsze staje się niebo.

Tymczasem jego wojska sieją wszędzie zniszczenie. Pałą doszczętnie wsie. Ludzie schronili się w górach na zachodzie albo w ogóle uciekli z Fincayry. Na wzgórzach na wschodzie rósł

kiedyś wielki las, równie niezwykły jak Druma. Ale już go nie ma! Te drzewa, których nie spalono ani nie porąbano, zapadły w sen i przestały mówić. Tutaj, na równinach, nawet te skrawki gleby, które nie nasiąkły krwią, i tak przybrały jej kolor. A Harfę Kwitnienia, która mogłaby tchnąć w te ziemie życie, skradziono.

Spojrzał na swoje ogorzałe dłonie.

- Tylko raz trzymałem Harfę, kiedy byłem chłopcem. Ale po tych wszystkich latach nadal nie mogę zapomnieć jej strun w dotyku. Ani dreszczy, które wywoływała jej muzyka.

Skrzywił się.

- Wszystko to, i nie tylko, stracone. - Pokazał na rozpadlinę na wzgórzu za chatą. -

Spójrz tylko na nasze niegdyś radosne źródło! Teraz nie zobaczysz tam ani kropli. Ziemia wymarła, a w jej ślady poszła życiodajna woda. Teraz pół dnia noszę wodę z daleka.

Garlatha wzięła go za rękę.

- A ja spędzam pół dnia, szukając na suchej prerii nasion, które da się uratować.

Zakłopotany Shim wręczył jej resztki owocu.

- Bardzo mi przykro.

Garlatha poklepała go po rozczochranych włosach.

- Zatrzymaj owoc. I nie musisz nam współczuć. I tak nam się udało.

- To prawda - zgodził się jej mąż. - Żyliśmy razem długo i mieliśmy okazję wyhodować kilka drzew. Trudno prosić o więcej. - Zerknął na nią. - Mamy jeszcze tylko jedno życzenie: razem umrzeć.

- Jak Baucis i Filemon - zauważyłem.

- Kto?

- Baucis i Filemon. To postaci z pewnej greckiej historii, którą opowiedziała mi...

moja matka dawno temu. Mieli tylko jedno życzenie, razem umrzeć. I w końcu bogowie zamienili ich w parę drzew, których ulistnione gałęzie mogły się na zawsze ze sobą splątać.

- Jakież to piękne - westchnęła Garlatha, spoglądając na męża.

T'eilean nie odpowiedział, choć przyglądał mi się uważnie.

- Ale nie powiedział mi pan - mówiłem dalej - jak to się stało, że państwa ogród przetrwał w tak strasznych czasach.

T'eilean wypuścił dłoń Garlathy i rozłożył muskularne ręce, jakby chciał objąć otaczającą ich zielen, wszystkie korzenie i kwiaty.

- Kochaliśmy nasz ogród, to wszystko.

Przytaknąłem, myśląc, jak cudowna musiała być ta okolica przed Plagą. Jeżeli ogród, w którym stałem teraz z Shimem, był tylko przedsmakiem bogactwa przyrody tego rejonu, krajobraz musiałby tu być równie piękny, choć nie tak dziki i tajemniczy jak sam Las Druma.

To byłoby miejsce, gdzie mógłbym żyć. I być wolny. I może nawet czułbym się tu jak w domu.

Garlatha obserwowała nas zmartwiona.

- Na pewno nie chcecie zatrzymać się u nas na chwilę?

- Nie. Nie możemy.

- W takim razie musicie być niezwykle ostrożni - ostrzegł T'eilean. - Gobliny są w tych czasach wszędzie. Zaledwie wczoraj, o zmierzchu, kiedy wracałem z wodą, zobaczyłem dwa. Wlokły ze sobą

bezbromną dziewczynkę.

Serce stanęło mi w piersi.

- Dziewczynkę? Jak wyglądała?

Siwobrody mężczyzna miał zmartwioną minę.

- Nie mogłem się zbliżyć, bo zobaczyłyby mnie. Ale kiedy patrzyłem, jakaś część mnie pragnęła się na nich rzucić.

- Cieszę się, żeś tego nie zrobił - oznajmiła jego żona.

T'eilean wskazał na mnie.

- Dziewczynka była w twoim wieku. Miała długie, kręcone, brązowe włosy. I nosiła strój, który wyglądał, jakby był ze splecionych pnączy.

Shim i ja wciągnęliśmy powietrze.

- Rhia - wyszeptałem chrapliwie. - Dokąd szli?

- Nie ma wątpliwości - odparł załamany mężczyzna - że zmierzali na wschód. A ponieważ ta dziewczynka była żywa, to znaczy, że sam Stangmar chce ją przesłuchać.

Garlatha jęknęła.

- Nie mogę znieść myśli o tak młodej osobie w tym straszliwym zamku.

Sięgnąłem po sztylet w torbie.

- Musimy już iść.

T'eilean podał mi dłoń, a jego uścisk był nadszpiewanie silny.

- Nie wiem, kim jesteś, młody człowieku, ani dokąd zmierzasz, ale podejrzewam, że tak jak jedno z naszych nasion jesteś znacznie bardziej niezwykły, niż na to wyglądasz.

Garlatha ponownie dotknęła głowy Shima.

- Myślę, że to samo można by powiedzieć o tym maluchu.

Zastanowiłem się, czy byliby dla nas tacy mili, gdyby nas lepiej znali. Mimo to, kiedy przechodziłem przez rozsypujący się mur, miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś ich zobaczę.

Odwróciłem się, żeby pomachać do staruszków. Oni pomachali do mnie i wrócili do pracy.

Zauważyłem, że Galator na mojej piersi się rozgrzał. Zajrzałem pod tunikę i zobaczyłem, że klejnot w

jego  rodku delikatnie l ni. Wiedzia em,  e teoria Cairpr ego jest prawdziwa.



## WTEM ROZLEGL SIĘ KRZYK

Przez kilka godzin szliśmy w stronę przesmyku na grani, a moja laska uderzała miarowo o suchą ziemię i martwą trawę. Towarzyszył nam zimny wiatr od Mrocznych Wzgórz. Jego ostre podmuchy smagały nasze policzki. Pomimo wiatru Shim robił, co mógł, żeby dotrzymać mi kroku, a i tak kilka razy musiałem się zatrzymać, żeby pomóc mu pokonać kępę ciernistych paproci albo stromy odcinek.

Okolica robiła się coraz bardziej górzysta, a wiatr wiał coraz mocniej. W pewnej chwili przyniósł ze sobą tak przenikliwy chłód, że dłoń, którą trzymałem laskę, nie pulsowała już z bólu, lecz zaczęła mi drętwieć. Miałem wrażenie, jakby też była z drewna. Zaczęły smagać nas kawałki lodu. Podniosłem wolną rękę, żeby osłonić policzki i niewidzące oczy.

Kawałki lodu zamieniły się w igły, potem w odłamki, a następnie w sztylety. Podczas gradobicia Shim, który od wyjścia z ogrodu w ogóle nie narzekał, pojękiwał żałośnie.

Słyszałem go jednak tylko w przerwach między podmuchami wiatru, gdyż wycie było coraz silniejsze.

Choć było na tyle jasno, by mój magiczny wzrok mógł się do czegoś przydać, wirujące kawałki lodu i tumany ziemi utrudniały mi orientację w terenie. Nagle wpadłem na niski płaski występ. Krzyknąłem i przewróciłem się, upuszczając kij.

Dygocząc, podpełzłem do występu, licząc na to, że schronię się za nim przed burzą.

Shim wcisnął się w fałdy mojej tuniki. Siedzieliśmy tam i szczękaliśmy zębami przez minuty, które zdawały się trwać wieki.

Po jakimś czasie gradobicie się skończyło. Wyjąca wichura przypuściła atak jeszcze kilka razy, po czym dała nam spokój. Powietrze nie było cieplejsze, ale nasze ciała powoli ożywały. Otwierałem i zaciskałem pięści, od czego po palcach i dłoniach rozchodziło się mrowienie. W końcu Shim wystawił głowę z mojej tuniki, a w jego rozczochranych włosach lśniły kawałki lodu.

Nagle uświadomiłem sobie, że występ, który zapewnił nam częściową ochronę, był po prostu gigantycznym pniem. Wokół nas takich pniaków znajdowało się na wzgórzach tysiące, porozdzielanych gigantyczną siatką przeżartych erozją żlebów. Choć pokryte warstwą lodu, pnie nie skrzyły się. Po prostu stały, wyzute z życia jak kopce pogrzebowe.

W mgnieniu oka zrozumiałem. To było wszystko, co zostało z wielkiego lasu, który opisywał T'eilean. „Jego wojska sieją wszędzie zniszczenie”. Słowa staruszka rozbudziły duchy gnijących pni, czerwonej jak krew gleby, nierównych wzgórz.

Spojrzeliliśmy z Shimem po sobie. W milczeniu wstaliśmy z oszronionej ziemi.

Podniosłem laskę, strącając z niej kawałek lodu. Potem zlokalizowałem przesmyk, wyminąłem

resztki kruchej gałęzi i ruszyłem w górę po śliskim gruncie. Shim zmagał się, żeby dotrzymać mi kroku, mamrocząc coś pod nosem.

Dzień upływał, a my wspinaliśmy się po wzgórzach zrytych niezliczonymi pniami i wyschniętymi strumykami. Przez cały czas niebo ciemniało. Wkrótce przesmyk zniknął, wchłonięty przez pogłębiający się mrok. Musiałem przypomnieć sobie, gdzie widziałem ostatni raz dwa ostre wierzchołki, choć wspomnienie to bladło wraz ze światłem.

Powoli wspinaliśmy się coraz wyżej. Pomimo słabego blasku dojrzałem kilka wątłych drzew pomiędzy pniakami i martwymi gałęziami. Ich powykrzywiane kontury przypominały wijących się z bólu ludzi. Zbliżyłem się do jednego z drzew, na którym rozpoznałem korę buka. Położyłem dłoń na pniu i wydałem szeleszczący odgłos, którego Rhia nauczyła mnie w Lesie Druma.

Drzewo nie odpowiedziało.

Ponowiłem próbę. Tym razem, kiedy szeptałem, wyobraziłem sobie, że mam przed sobą żywe, zdrowe drzewo. Potężne korzenie wpijające się w glebę. Łuk gałęzi wznoszący się ku niebu. Gardłową pieśń rozchodzącą się po pniu, od której drżał każdy liść.

Być może tylko to sobie wyobraziłem, ale wydawało mi się, że wyczuwam drżenie najwyższych gałęzi. Jednak nawet jeżeli istotnie się poruszyły, to szybko znów zamilkły.

Poddałem się i wznowiłem marsz. Shim sapał tuż za mną. Kiedy wspinaliśmy się po stoku, teren stawał się coraz bardziej skalisty. Z każdą upływającą chwilą robiło się ciemniej.

Niebo zasnuł mrok, a otaczające nas pniaki i skały wchłonął cień.

Choć mój magiczny wzrok szybko słabł, starałem się zobaczyć jak najwięcej. I nasłuchiwałem z pełną koncentracją. Wiedziałem, że każdy ruch, nawet najmniejszy, może ostrzec nas przed niechybnym atakiem. Stawiałem kroki mniej pewnie, by uniknąć trzaskania martwych gałęzi i potykania się o kamienie.

Przed sobą zobaczyłem ledwie widoczną przerwę z bliźniaczymi wierzchołkami czarnej skały, które wznosiły się ku jeszcze czarniejszemu niebu. Czyżby to był przesmyk?

Zbliżyłem się najciszej, jak umiałem.

Nagle zamarłem. Stałem nieruchomo jak jedno z powykrzywianych drzew i nasłuchiwałem.

Shim zbliżył się do mojego boku.

- Słyszysz coś?

- Nie jestem pewien - wyszeptałem. - Wydawało mi się, że tak, gdzieś przed nami.

Upływały minuty. Słyszałem tylko własny oddech i bicie własnego serca. W końcu dotknąłem ręki małego olbrzyma.

- Chodźmy - wyszeptałem. - Tylko bądź cicho. Gobliny są niedaleko.

- Ooooch - jęknął Shim. - Boi się. Najpewniej, najzdecy...

- Cicho!

Z mroku przed nami doszedł chrapliwy krzyk i głośny tupot. Zapłonęły pochodnie, rozpalając mrok.

- Gobliny!

Rzuciliśmy się do ucieczki po skalistej grani. Martwe gałęzie pękały nam pod stopami. Ciernie drapały nam golenie. Tuż za nami słyszałem sapanie goblinów, brzęk ich zbroi, trzaskanie ich pochodni.

Pędziliśmy z Shimem po skałach, usiłując się nie przewrócić. Mrok był coraz bliżej.

Nie wiedzieliśmy, dokąd biegniemy, i nie myśleliśmy o tym. Wiedzieliśmy tylko, że gobliny nas doganiają.

Skręciłem gwałtownie, rozpaczliwie usiłując zgubić pogoń. Shim pognął za mną i znaleźliśmy się po drugiej stronie grani. Rozciągający się przed nami krajobraz nie mógł być bardziej przerażający. Na tle mrocznego nieba rysowały się jeszcze ciemniejsze wzgórza. Co gorsza, dolina pod nami była morzem czerni rozświetlonym setkami migoczących punkcików. Pomimo siedzących nam na plecach goblinów zawahaliśmy się przez chwilę.

Usłyszałem świst włóczni, która przeleciała między moją głową a końcem laski.

Upadkowi dzidy na ziemię towarzyszył stek charkotliwych przekleństw, a my puściliśmy się biegiem w dół stoku. Potknąłem się o skalę i przewróciłem. Shim odczekał, aż się podniosę, złapię laskę i podejmę przerwany bieg. Pognaliśmy co sił w nogach prosto w czarną dolinę.

Omiotła nas fala kompletnej ciemności. Grunt pod naszymi stopami zrobił się miękki i wilgotny. W powietrzu unosiła się woń zgnilizny. Po chwili brnęliśmy przez wielką kałużę mrocznego szlamu.

Zatrzymałem się, a Shim wpadł mi na plecy.

- I po co się zatrzymuje? - zapytał zezłoszczony.

- Posłuchaj.

- Słyszysz tylko pulsowanie biednego nosacza.

- Bo nic więcej nie słyhać. Gobliny się zatrzymały. Zostały w tyle.

- Ma rację. - Mały olbrzym wiercił się nerwowo w mroku. - Myśli, że gobliniak za bardzo się boi, żeby tu iść?

Poczułem, jak coś zimnego sączy mi się do skórzanych butów.

- Być może jesteśmy na... Nawiedzonym Bagnie.

Jakby w odpowiedzi w pewnej odległości przed nami pojawiło się słabe, ruchome światełko. Unosiło się w mroku, jakby się nam przyglądało. Potem pojawiło się kolejne, a potem jeszcze jedno. Po chwili orbitowało wokół nas ponad dwadzieścia tajemniczych punkcików, powoli zbliżając się do nas.

Shim ścisnął mnie za rękę.

Owiał nas smród gnijącego ciała. Zrobiło mi się niedobrze, czułem, jak moje płuca protestują. Im bliżej były światła, tym silniejszy robił się fetor.

Potem usłyszeliśmy cienie, nierówne zawodzenie. Niby pradawna pieśń żałobna natchniona cierpieniem, niekończącą się męką. Skrzywiłem się od tego wszechobecnego dźwięku, który wydobywał się z ziemi, ze świateł, z unoszącej się w powietrzu zgnilizny. Raz dochodził z jednej strony, raz z drugiej. Ze wszystkich stron naraz.

Shim krzyknął przerażony. Puścił moją dłoń i rzucił się do ucieczki przed lewitującymi światłami.

- Zaczekaj!

Popędziłem za nim. Jednak po kilku krokach zahaczyłem o coś stopą. Poleciałem głową prosto w kałużę mulistego płynu. Kiedy wydostałem siebie i laskę, otrząsałem ręce ze szlamu. Śmierdziały zgnilizną i pleśnią.

Złowrogie światła krążyły, znów zbierając się w grupę. Zawodzenie wzmoгло się.

Poczułem fetor śmierci.

- Shim!

Nie było odpowiedzi.

- Shim!

Wtem rozległ się krzyk.

Światła natarły, wpatrując się we mnie jak wiele par oczu. Czyli tak miał wyglądać koniec mojej przygody! Wolałbym utonąć w morzu na wybrzeżu Gwynedd niż zginąć w ten sposób, w tak podłych okolicznościach, zupełnie sam.

Jednak porażka mojej misji mniej mnie przerażała niż utrata Rhii. Ona i dzielny drzemlik oddali za mnie życie. Nie zasługiwałem na taką przyjaźń. A dziewczyna nie zasługiwała na śmierć. Miała w sobie tyle życia, tyle mądrości, której nie umiałem ogarnąć.

Ból po jej utracie zapiekl mnie w sercu, jakby ono zapłonęło.

Nagle zrozumiałem, że to Galator promieniuje ciepłem na mojej piersi. Wyszarpnąłem go z tuniki i podniosłem wysoko. Klejnot w jego środku zaśnił zielonym światłem, dając odpór ciemności na tyle, żebym mógł zobaczyć własną dłoń i ramię.

Złowrogie światła zawahały się i przestały się zbliżać. Zawodzenie ustało. W

powietrzu zawitała woń świeżości, a zarazem lśnienie Galatora przybrało na sile. Kilka sekund później krąg zieleni rozświetlał całe moje ciało, jak również moją laskę.

- Shim! Gdzie jesteś?

- Tu!

Przesiąknięty szlamem mały olbrzym stanął chwiejnie u mojego boku. Jego tors, nogi, ręce i pół twarzy ociekały czarnym mułem.

W miarę jak lśniący krąg się powiększał, światła w powietrzu ustąpiły, aż w końcu wycofały się w mrok. Zawodzenie wróciło, ale przeszło w złowrogi pomruk.

Podniesiony na duchu zniknięciem światła, parłem naprzód. Znajdę wyjście z tego bagna, za wszelką cenę.

Trzymając Galatora jedną ręką nad głową i ściskając laskę drugą, przypilnowałem, żeby Shim złapał się mocno mojej tuniki. Potem zacząłem brnąć przez bagniste tereny. Błoto było miękkie i lepkie, wsysało mi buty. Nagle wszedłem w płytki dół. Upadłem naprzód z pluskiem, prawie upuszczając wisior. Światła natychmiast się zbliżyły, a pomruk przybrał na sile.

Kiedy odzyskałem równowagę, złowrogie światła nieco się wycofały. Wyjęcie laski z lepkiego błota trochę trwało, choć w końcu udało się to z głośnym pluśnięciem. Ruszyliśmy naprzód. Widziałem jednak, że Shim nie zajdzie daleko po tym terenie. Choć dzielnie dotrzymywał mi kroku, woda sięgała mu do pasa, a brnięcie przez bagno szybko go męczyło.

Moje nogi, podobnie jak ręka, w której trzymałem Galatora, zaczęły mi coraz bardziej ciążyć. Mimo to pomogłem Shimowi wdrapać mi się na ramię tej ręki, w której trzymałem laskę. Na tym samym ramieniu Kłopot siedział kiedyś jak na gałęzi. Ale ptak nie ciążył mi tak bardzo jak mały olbrzym.

Każdy krok przychodził mi z coraz większym trudem, każdy oddech był coraz cięższy. Opadałem z sił, jakby samo bagno je ze mnie wysysało. Bolało mnie ramię. Szlam z nóg Shima ściekał mi na twarz, a zgniły smak palił język.

W miarę jak słabłem, światła coraz bardziej napierały. Mamrotanie przybrało na sile, jakby do uszu wyło mi stado wilków. Bagno nie miało końca i ciągnęło się daleko poza granice resztek mojej wytrzymałości.

Moje moce! Czy powinienem ich użyć? Tak bardzo ich potrzebowałem. Jednak mój strach był równie

silny. Płomienie znów stanęły mi przed oczami, skoczyły mi do twarzy, paliły mi ciało, wyżerały oczy.

Nagle potknąłem się. Upadłem na kolana, ostatkiem sił trzymając się laski i Galatora.

Shim krzyknął i przylgnął do mojej szyi, szlochając. Światła znów stłoczyły się wokół nas, czekając, czy wstanę.

Reszkami sił wygramoliłem się ze szlamu. Usiłowałem wnieść Galatora, ale nie mogłem unieść go wyżej niż do piersi. Zrobiłem kolejny chwiejny krok - i znów się potknąłem.

Usłyszałem, jak Galator uderza o coś twardego, jakby o kamień. Usłyszałem krzyk Shima i ogłuszające mamrotanie w tle.

I potem nie słyszałem już nic.

## MRO CZNY LOS

- Żyje?

- Nie jestem pewien - brzmiała moja odpowiedź.

Podniosłem się i otrząsnąłem z mgły, odzyskując ostrość magicznego wzroku. Po jednej stronie siedział Shim, a po drugiej leżała moja laska, cała w zaschniętym, cuchnącym zgnilizną błocie. Kiedy Shim pociągnął mnie za tunikę, na jego małej twarzy malowało się zmartwienie.

- Gdzie my jest?

Rozejrzałem się. Nigdy nie widziałem dziwniejszego pomieszczenia. Ściany, podłoga i sufit były wykonane z polerowanego kamienia i pozbawione choćby jednego otworu, który mógłby służyć za okno. Jednak pomieszczenie wypełniało migotliwe niebieskie światło, jakby z dopalającej się świeczki. Ale żadnej świeczki nie było widać.

Zadrzałem, ale nie z zimna. Nie byłem pewien dlaczego, ale wyczuwałem w powietrzu złowrogą aurę. Jakbyśmy mieli zostać poszatkwani na czyjaś kolację. Shim przysunął się bliżej.

- To miejsce jest najprzeraźliwiejsze. Jak loch.

- Zgadzam się.

Nagle wskazał.

- Kości!

Przestraszony przyjrzałem się mrocznej stercie obok nas. Była to w rzeczy samej masa kości, idealnie oczyszczonych. W migotliwym świetle widziałem żebra, piszczele i kilka czaszek. Ludzkich czaszek. Przełknąłem ślinę, zastanawiając się, czy niedługo nie trafią tu również nasze szczątki.

Wtedy zauważyłem, że otacza nas również kilka innych stert, choć to nie były już kości. Na jednej z nich, wysokości prawie mojej laski, leżały cienkie płyty z szarego kamienia, na innej - kule z wypolerowanego drewna różnych rozmiarów i z dziwnymi inskrypcjami. Niektóre były mniejsze od paznokcia, inne większe od głowy, a wszystkie wydawały się starannie ułożone w jakimś konkretnym celu. Jeszcze inną stertę tworzyły wiązki patyków posortowane wedle rozmiaru i liczby. W przeciwległym kącie pomieszczenia zauważyłem dziwne białe sześciiany oznaczone na ściankach czarnymi punktami. W jednym miejscu były szpulki białej i czarnej przędzy, gdzie indziej dziwne muszle morskie. Stały tam też żelazne czary pełne kamyków i nasion najróżniejszych rozmiarów.

Na środku podłogi leżał gruby kwadratowy dywan podzielony na mniejsze czerwone i czarne kwadraty. Na wielu z nich stały rzeźbione z drewna figury, z których każda sięgała mi mniej więcej do piersi. Atakujące smoki, galopujące konie, wyjące wilki, wojujące gobliny, królowie i królowe i

jeszcze inne postaci, których nie rozpoznawałem. Kiedyś w Caer Vedwyd słyszałem o grze esches, którą czasem zwano też szachami, ale grało się w nią na szachownicy, nie na dywanie. Tak czy inaczej wśród figur szachowych nie było smoków. Ani goblinów.

Na kamiennej ścianie naprzeciwko migotała w dziwnym świetle gęstwina niebieskich symboli. Kolumny kresek, punktów i zawijasów biegly w różnych kierunkach i pokrywały większą część powierzchni. Były tam tysiące kwadratów, trójkątów i krzyżyków jak również koła podzielone na kawałki, tak jak kroi się okrągły bochenek chleba. Runy, litery, liczby i symbole wciśnięto gdzie się tylko dało między resztę hieroglifów.

- Szkoda - warknął za nami gruby głos.

Odwrociliśmy się i zobaczyliśmy bladą bezwłosą głowę wystającą przez szparę w drzwiach. Otworzyły się powoli, odsłaniając równie okrągłe jak głowa ciało ubrane w coś, co wyglądało jak worek z kilkoma kieszeniami. Postać miała na sobie naszyjnik z nieociosanych kamieni i była na bosaka. Zamarłem, przeświadczony, że to kolejna zjawia mimiczna. Albo coś jeszcze gorszego.

Bezwłosa głowa z rzędami zmarszczek wokół dwóch trójkątnych uszu nachyliła się ku nam. Ze środka czoła wyrastała wielka wysuszona brodawka. Oczy czarniejsze od moich przyglądały się nam bez mrugnięcia przez kilka sekund. Potem usta pełne zniekształconych zębów znów się rozwarły.

- Jaka wielka szkoda.

Sięgnąłem po kij i podniosłem się, co utrudniał mi czepiający się mojej nogi Shim.

- Kim jesteś?

Czarne oczy, niesamowicie stare, przyglądały mi się przez chwilę.

- To trudne pytanie, moje stworzenie.

Słowa „moje stworzenie” przyprawiły mnie o dreszcze.

- Kim jestem? - mówiła dalej istota, krążąc wokół nas niczym sęp przyglądający się padlinie. - Trudno powiedzieć. Nawet mnie. Dziś jestem tym, jutro kim innym. -

Pomarszczona twarz nachyliła się do mnie, pokazując więcej krzywych zębów. - A kim jesteś ty?

Westchnąłem.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien.

- Przynajmniej, moje stworzenie, jesteś szczere.

- Istota nadal nas okrążała, a jej bosc stopy plaskały o kamienną podłogę. - Może powiem ci coś o tym, kim jesteś. Choć muszę cię ostrzec, że to raczej nie poprawi ci nastroju.



Po pierwsze, jesteś zbyt chudy, żeby starczyć na więcej niż kęs lub dwa, nawet z twoim małym przyjacielem na deser.

Shim mocniej ścisnął moją nogę.

- Co gorsza, moje stworzenie, wyglądasz na zbyt słabe, żeby mi pomóc w moim zakładzie. A ja nienawidzę przegrywać.

Lodowaty palec tknął mi kręgosłup.

- Wiem już, kim jesteś. Ty jesteś Domnu - powiedziałem.

- Jesteś bardzo sprytny, moje stworzenie. - Bezwłosa wiedźma przestała krążyć.

Przebiegła dłonią po czubku głowy, zamyślona. - Ale spryt nie wystarczy, żeby wygrać mój zakład.

- O jakim zakładzie mówisz?

- Och, to nic takiego. Założyłam się z kimś, kto obstawił, że nie dożyjesz jutra. -

Wzruszyła ramionami. - Umrzesz dziś. Umrzesz jutro. Jaka to różnica? Nie powinnam była na ciebie stawiać, ale nie potrafiłam odmówić sobie tego.

Zadrzałem, bo przypomniałem sobie, co Cairpré mówił o istocie, której imię znaczy Mroczny Los. „Nie jest dobra ani zła, nie jest przyjacielem ani wrogiem. Po prostu jest”.

- Z kim się założyłaś?

Bose stopy Domnu człapały na kamieniach, kiedy podchodziła do ściany pokrytej dziwnymi znaczkami, które nadal drżały w migotliwym świetle. Splunęła na palec wskazujący lewej dłoni, który natychmiast zrobił się niebieski. Potem, używając palca jako pędzelka, sięgnęła tak wysoko jak potrafiła i narysowała falującą linię przez środek jednego z okręgów.

- Czas zacząć zapełniać nową ścianę - wymamrotała. Zerknęła w naszą stronę i dodała: - Muszę wszystko notować, moje stworzenia. Nie lubię przegrywać zakładu, ale muszę zapisać wynik. I istotnie zapowiada się, że tym razem przegram.

- Znaczy - pisnął Shim - że my umrze?

Domnu znów wzruszyła ramionami.

- Na to się zanosz.

- Z kim się założyłaś? - zapytałem ponownie.

- Z nikim, kogo mógłbyś znać. Choć w rzeczy samej wyjątkowo cię on nie lubi.

- Z kim?

Podrapała się po tyle łysej głowy.

- Z tym głupcem Rhitą Gawrem oczywiście.

- Z Rhitą Gawrem? Duchem, który walczy z Dagdą?

Domnu prychnęła od niechcenia.

- Chyba tak. Przynajmniej tak było parę tysięcy lat temu, kiedy ostatni raz sprawdzałam. Ale nie mam pojęcia, moje stworzenie, kto wygrywa, a kto przegrywa. Muszą prowadzić własne rachunki.

- Ale to nie jest gra! To poważna sprawa.

Domnu zeszywniała.

- Ależ gry to są poważne sprawy, moje stworzenie. Tak poważne jak samo życie, gdyż to również jest tylko gra.

- To ty nie rozumiesz. - Podszedłem bliżej z Shimem nadal uwieszonym mi u nogi. -

Oni walczą o całą Fincayrę. I o Ziemię. I nie tylko.

- Tak, tak - odparła wiedźma, ziewając. - Założyli się.

- Nie. To dużo więcej niż zakład.

Popatrzyła na mnie oniemiała.

- Więcej? Jak może być coś więcej? Zakład to gra doskonała! Dokonujesz wyboru, obstawiasz. A potem to, co ma się stać, dzieje się. Do góry albo do dołu. Życie albo śmierć.

Nie ma znaczenia, byle tylko odebrać na końcu wygraną.

Pokręciłem głową.

- To ma znaczenie. Zwycięstwo Dagdy albo Rhity Gawra będzie miało wpływ na...

- Stawkę ich następnego zakładu. Tak, oczywiście.

Stopy Domnu poczłapały na dywan czerwonych i czarnych kwadratów. Nachyliła się przy jednej z figur przedstawiającej czerwonego smoka. Połaskotała go nonszalancko po pokrytej łuskami brodzie. W migotliwym świetle nie mogłem mieć pewności, ale wydawało mi się, że głowa smoka odchyliła się nieznacznie, a z jego nozdrzy wyleciały dwie cienkie strużki dymu.

- Ich gierka mnie nie interesuje - podsumowała Domnu, wykręcając smokowi ucho. -

Starczy mi kłopotów z zapisywaniem własnej.

Shim chwycił się mnie mocniej.

- Boi. Bardzo, bardzo, bardzo boi.

- Nie wiem, czego miałbyś się bać - odparła Domnu z szyderczym uśmiechem. -

Umieranie jest najgorsze tylko za pierwszym razem.

Postawiła stopę na plecach smoka, sięgnęła po czarnego króla i ułapiła go bezceremonialnie za szyję. Mogłem się mylić, ale kiedy podnosiła króla z dywanu, wydawało mi się, że słyszę słabe jęknięcie. Nadal trzymając go za kark, zaczęła polerować koronę króla swoim workowatym odzieniem.

- Myślę, że powinniśmy w coś zagrać, zanim wyślę was w drogę, moje stworzenia. To odwróci waszą uwagę od waszej niechybnej śmierci i moją od mojej niechybnej przegranej.

Wolicie kości czy patyki?

- Potrzebujemy twojej pomocy - poprosiłem.

Odstawiła czarnego króla i figura uderzyła głucho o dywan. Potem, plaskając stopami o podłogę, poczłapała do sterty kijków. Wyciągnęła ze środka małą wiązkę i przyjrzała się jej.

- Chyba trójki będą dzisiaj lepsze niż trzynastki. Coś mnie strzyka w kościach, więc to chyba będzie dzień małych liczb. Kości! Może wolicie zagrać w kości?

- Proszę! Musimy się dostać do Spowitego Zamku.

- Spowitego Zamku? - Wyciągnęła z wiązki kijek i splunęła na niego. - I po co się tam wybieracie?

- To najlepsze pytanie - wymamrotał Shim, ściskając moją goleń.

- Poza tym - mówiła dalej Domnu, przez cały czas mierząc wzrokiem kijek - jeżeli pomogę wam tam dotrzeć, to już na pewno zginiecie, a ja przegram zakład.

- Proszę, czy nie mogłabyś nam pomóc?

- Obawiam się, że nie, moje stworzenie.

Pokręciła kijkiem, a ja się skrzywiłem.

- Jeżeli nie chcesz nam pomóc, to dlaczego po prostu nie wyślesz nas z powrotem na Nawiedzone Bagno i będzie po wszystkim?

Shim spojrzał na mnie oniemiały.

- Może i tak zrobię, moje stworzenie. W końcu obiecałam Rhicie Gawrowi, że nie będę cię tu

niańczyć cały dzień. Reguły zakładu, sam rozumiesz. A ja nigdy nie łamię reguł. -

Zniżyła głos. - Poza tym, gdybym je złamała, zauważyłby to.

Włożyła kijek z powrotem do wiązki, potem rzuciła ją od niechcienia na stertę.

- Ale skąd ten pośpiech? Mamy jeszcze czas na małą grę.

- Nie mamy czasu! - krzyknąłem. - Jest jakiś sposób, żeby cię przekonać?

- Jedyne pytanie - mówiła dalej, rozglądając się po komnacie - brzmi: którą grę wybrać. Oczywiście szachy! Choć pewnie, biorąc pod uwagę twój młody wiek, nie znasz zasad. Nieważne. Podejź no tutaj i trochę cię nauczę. I weź ze sobą dzielnego wojownika.

Tego, co chowa się za twoją nogą.

Wróciła na dywan i rozejrzała się po figurach.

- Nieco za wysoka.

Z koncentracją na twarzy położyła dłoń na koronie czerwonej królowej. Cicho coś wymamrotała, po czym zaczęła powoli naciskać na nią od góry. Ku mojemu zdziwieniu czerwona królowa - i wszystkie pozostałe figury - zaczęły się zmniejszać, aż osiągnęły połowę początkowego wzrostu. Teraz najwyższe z nich były rozmiarów Shima.

Dumna Domnu wskazała ręką na figury.

- Ta gra to jeden z moich lepszych wynalazków. Wszędzie cieszy się wielkim powodzeniem. Przyjęła się nawet wśród ludzi pomimo ich ograniczonej zdolności koncentracji. Choć smuci mnie, jak bardzo usiłują uprościć jej reguły. Jediną jej wadą jest konieczność gry z drugą osobą. Znalezienie odpowiedniego przeciwnika to niełatwa sprawa.

Uniosła cienkie brwi, a po czubku jej głowy rozeszły się fale zmarszczek.

- Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, jak niewiele osób mnie odwiedza. Przy okazji, większość moich gości wchodzi frontowymi drzwiami. Co was skłoniło do zakradania się tylnym wejściem? Mogłam was była w ogóle nie znaleźć, gdybyście nie zapukali o stopień.

- Ja nie pukalem.

- Oczywiście, że pukales! Choć przez ten niezdolny harmider prawie cię nie usłyszałam.

- Ale ja nie pukalem.

- Moje stworzenie, aleś ty zapominalskie! Zapukales czymś twardym. To musiała być twoja głowa. Albo może ten twój mało estetyczny naszyjnik.

Przypomniałem sobie o Galatorze i mocno go schwyciłem. Już nie świecił. Szybko schowałem go pod tunikę.

- Mogłam was tam była zostawić, ale dawno już nie miałam z kim zagrać.

Przynajmniej od dwustu lat! Potem, kiedy już was tu zawlekłam, uświadomiłam sobie, że to o was założył się Rhita Gawr, obstawiając, że jeżeli tu się pojawicie, to nie przeżyjecie choćby dnia. - Jej prastare oczy się zwęziły. - Szkoda, że nie widziałam cię, zanim przyjąłam zakład.

Domnu zaczęła chodzić wokół dywanu, przyglądając się uważnie każdej figurze.

Choć w słabnym świetle cały pokój wyglądał tak, jakby wibrował, dotarło do mnie, że każda figura drży nieznacznie, kiedy Domnu zbliża się do niej. Kiedy przechodziła za wspaniałym czarnym ogierem, koń lekko przesunął tylną nogę. Domnu odwróciła się na pięcie.

- Chyba nie przyszło ci do głowy mnie kopnąć?

- W czarnych oczach pojawił się błysk i wiedźma przebiegła powoli palcem po grzywie konia. - Nie, jesteś przecież dobrze wychowany. Prawda? Pewnie brakuje ci ciężaru na grzbiecie. Tak, na pewno o to chodzi.

Ogier wydał z siebie lekkie rzenie. Wyrzeźbione mięśnie jakby się napięły. Domnu nachyliła się nad figurą i dmuchała na nią długo i powoli. Naraz w połowie grzbietu pojawił

się nieociosany czarny kamień, wielki jak połowa konia. Ogier ugiął się pod ciężarem, ale nadal wysoko trzymał głowę.

- O właśnie - podsumowała Domnu. - Dużo lepiej.

Odwróciła się w moją stronę.

- Czas na małą partię szachów - oznajmiła głosem, w którym silniej pobrzmiwała groźba niż zaproszenie. - Zanim cię oddam twoim... brakuje mi lepszego określenia -

znajomym na dworze. Pierwszy ruch należy do ciebie.

## ZAKŁAD

Serce mi waliło. Nie mogłem się przemóc, żeby wejść na dywan, na którym czekała Domnu.

- Chodź, moje stworzenie. Nie mam czasu do stracenia. - Uśmiechnęła się drwiąco, pokazując nierówne zęby. - Ty zresztą też go nie masz.

- Nie idzie do niej - wyszeptał rozpaczliwie Shim.

- Czekam - warknęła Domnu.

Na czole zaperlił mi się pot. Co miałem zrobić? Może gdybym się jej przypodobał, udałoby mi się ją namówić, żeby nam pomogła. Jednak zaraz po tym, jak przyszło mi to do głowy, zrozumiałem, że to niemożliwe. Domnu nie wyśle nas do zamku, gdyż jest przekonana, że skończyłoby się to naszą śmiercią - czyli jej przegraną. I przyznałem ponuro, że pewnie miała rację.

Mimo to, ciągnąc za sobą kwilącego Shima, zbliżyłem się do krawędzi dywanu. Nie miałem pomysłu ani na grę z Domnu, ani na to, jak uratować Rhię. Wiedziałem tylko, że zaszedliśmy zbyt daleko i zbyt wiele udało nam się przeżyć, żeby się poddać, nie spróbowawszy każdej możliwości.

Kiedy zbliżyłem się do skraju dywanu, Domnu pokazała na obciążonego kamieniem czarnego konia.

- Twój ruch - rozkazała.

- Ale... ale... - wyjąkałem - ja nie znam reguł.

- Wcześniej nie był to dla ciebie problem.

Niepewny, co ona chce przez to powiedzieć, zapytałem raz jeszcze:

- Możesz mi streścić reguły?

- Moja odmiana gry zakłada, że możesz wymyślić własne reguły. Nie możesz tylko złamać żadnej z moich.

Zawahałem się.

- Nie wiem, jak zacząć.

- W grze w szachy, w odróżnieniu od gry w życie, możesz przemyśleć swój pierwszy ruch.

- A jeżeli mój wybór okaże się zły?

- Ach! - powiedziała, marszcząc czubek głowy. - Pod tym względem obie gry są do siebie podobne. Tak czy inaczej twój wybór będzie miał daleko idące konsekwencje.

Wziąłem głęboki oddech i wszedłem na dywan z czerwonych i czarnych kwadratów.

Niechętnie odłożyłem laskę. Potem wziąłem z wysiłkiem czarnego ogiera i przeniósłem go na drugą stronę szachownicy, gdzie postawiłem go na polu przed czerwonym królem.

- Hmm - skomentowała Domnu. - Wybrałeś ryzykowne posunięcie, moje stworzenie. -

Zmierzyła mnie wzrokiem. - Choć nie bardziej ryzykowne niż atak na Spowity Zamek bez armii.

Popchnęła czerwonego króla na pole, gdzie mógł się schronić za parą goblinów.

- Musisz mieć ku temu jakiś powód.

- Mam. To...

- Wielka szkoda, że tak bardzo chcesz umrzeć. Zwłaszcza że dopiero się uczysz grać.

W normalnych okolicznościach z największą chęcią pomogłabym ci umrzeć wcześniej. Ale zakład to zakład.

- A gdybym się z tobą założył?

Domnu podrapała się po bezwłosej głowie.

- O co?

- Jeżeli - odparłem, zastanawiając się gorączkowo - pomożesz mi dostać się do zamku...

- Nam - poprawił mnie Shim. Choć dygotał na całym ciele, puścił moją nogę i stał

obok mnie na własnych kończynach. - Idzie razem. Ciągłe czuje to samo oszalenie.

Skinąłem do niego, potem odwróciłem się do Domnu.

- Jeżeli pomożesz nam dostać się do zamku, to założę się z tobą, że... przeżyjemy.

Pomimo Stangmara i wszystkich jego goblinów i upiorników, którzy tam na nas czekają. A ty mogłabyś obstawić, że nam się nie uda.

Domnu zamyślona pociągnęła się za ucho.

- Aha, czyli podbijamy stawkę?

- Zgadza się.

- A co się stanie, jeżeli nie przeżyjesz?

- Otóż wtedy przegrasz jeden zakład, z Rhitą Gawrem, ale wygrasz drugi, ze mną.

Czyli, koniec końców, wyjdiesz na zero. A jeżeli się ze mną nie założysz, to tylko przegrasz.

Domnu zmarszczyła brwi.

- Nie ma mowy! Czy ty mnie, chłopcze, bierzesz za początkującą hazardzistkę?

Pomagając ci dostać się do zamku, dam ci coś wartościowego. Czy wygrasz, czy nie, to jest twój zysk. A co ja na tym zyskuję? Nic.

Posmutniałem.

- Ale ja nie mam nic, co mógłbym postawić.

- Szkoda. - Skóra na jej głowie się zmarszczyła.

- Czas na kolejny twój ruch.

- Zaczekaj. - Wyciągnąłem sztylet od Honna. - Mogłabyś wziąć to.

Domnu znów zmarszczyła czoło i machnęła lekceważąco dłonią.

- Broń? A po co mi ona?

- A może w takim razie to? - Zdjąłem torbę, którą dostałem od Branwen. - Te zioła mają właściwości lecznicze.

Domnu syknęła:

- I do czego miałyby mi się to niby przydać?

Kiedy podnosiłem laskę, oznajmiła:

- Tego też nie potrzebuję.

Dobrze wiedziałem, że moją jedyną cenną rzeczą jest Galator. Podejrzywałem, że Domnu również to wiedziała. Jeżeli jednak go oddam, to moja wyprawa będzie skazana na porażkę.

- Prosi - oznajmił Shim i zaczął ściągać luźną koszulę uszytą z kawałków kory. -

Może sobie zatrzymać. Moja matka to robi, kiedy jest najmłodszejszy. - Westchnął. - Jaka szkoda, że nigdy z niej nie wyrasta.

Domnu się skrzywiła.

- Możesz to sobie zatrzymać. - Czarne oczy uważnie mi się przyjrzały. - Jeżeli nie masz nic więcej do zaoferowania, to nie mamy o czym rozmawiać. Oprócz oczywiście naszej partii szachów.

Byłem kompletnie skołowany. Choć nie wiedziałem prawie nic o mocach Galatora, były bez



wątpienia nadzwyczajne. „Ogrom, którego nie sposób ogarnąć”, jak powiedział

Cairpré. Nie mogłem przecież oddać ostatniego Skarbu! Uratował nam już życie i być może nie ostatni raz. Poza tym, jeżeli Stangmarowi tak bardzo na nim zależało, to mogłem spróbować wytargować za niego życie Rhii. Co prawda nie miałem pewności, czy dziewczynka jeszcze żyje, ale byłem przekonany, że bez Galatora nie mam szans, żeby ją ocalić. Co więcej, ten naszyjnik z klejnotem nosiła kiedyś moja matka. Wręczyła mi ten wisior, żebym go nosił i chronił. Oddanie go byłoby równoznaczne z utratą części jej miłości.

A jednak... jeżeli nie złożę oferty Domnu, ona mi nie pomoże. A bez jej pomocy nie dotrę do zamku! Czyli nie uratuję Rhii. Z drugiej strony, co mi przyjdzie z dotarcia do zamku bez Galatora?

- Twój ruch - popędziła mnie zniecierpliwiona wiedźma. - Wykonaj ruch.

- Zgoda. - Powoli zdjąłem Galatora z szyi. - Wiesz, co to za naszyjnik, prawda?

Domnu ziewnęła, pokazując wszystkie nierówne zęby.

- Widziałam go kilka razy w ciągu wieków, owszem. I co w związku z tym?

- W takim razie znasz jego wartość.

Wiedźma nadal nie okazywała entuzjazmu.

- Słyszałam pewne plotki.

Shim pociągnął mnie za tunikę.

- Nie robi tego! To najgłupsze!stwo!

Nie zwracając na niego uwagi, oświadczyłem:

- Zastawię Galatora. Jeżeli pomożesz nam dotrzeć do zamku Stangmara... - ciąg dalszy uwiązał mi w gardle - to ci go dam.

Czarne oczy powiększyły się.

- Nie! - krzyknął Shim. - Potrzebuje go!

Zrobiłem krok w stronę Domnu.

- Ale jeżeli Shim albo ja wrócimy do ciebie żywi, niezależnie po jakim czasie, to będziesz musiała go oddać. - Uniosłem wisior za skórzany rzemień. Klejnoty lśniły ponuro w migotliwym świetle. - Takie są moje warunki zakładu.

Domnu cmoknęła zadowolona, jakby szykowała się do połknięcia łakomego kąska.

- Ufasz w to, że gdybyś kiedyś wrócił - w co, moje stworzenie, powątpiewam - oddam ci go?

- Nie! - zaprotestował Shim.

Przyjrzałem jej się surowo.

- Powiedziałaś, że nigdy nie łamiesz reguł.

- To prawda. - Po czym dodała mimochodem: - Z pomniejszych wyjątkami tu i ówdzie, rzecz jasna.

- Znienacka jej dłoń wystrzeliła i schwyciła naszyjnik. - Zgoda.

Ogarnął mnie smutek. Straciłem Galatora.

Domnu zerknęła na naszyjnik, a w jej oczach odbił się jego zielonkawy odcień.

Wcisnęła go sobie do jednej ze zwisających kieszeni. Potem uśmiechnęła się jak ktoś, kto właśnie wygrał wielki zakład.

Ja z kolei miałem poczucie, że oddałem swoją ostatnią, największą nadzieję.

- Od początku chodziło ci o niego - powiedziałem gorzko.

- Chyba masz rację, moje stworzenie.

- To dlaczego mi go po prostu nie zabrałaś? Po co było tak to przeciągać?

Domnu zrobiła obrażoną minę.

- Ja? Zabierać coś, co nie jest moje? Nigdy! - Poklepała kieszeń. - Poza tym Galatora trzeba oddać dobrowolnie. Nie można go ukraść. Inaczej jego moce są bezużyteczne. Nikt ci tego nie powiedział?

Pokręciłem głową.

- Szkoda. - Ziewnęła przeciągle. - Wielka szkoda.

- Przejdźmy do twojej części umowy - powiedziałem ponuro. - Jak pomożesz nam dotrzeć do zamku?

- Nie będzie ci przeszkadzać małe opóźnienie, prawda? - zapytała. - Jestem w tej chwili dość zmęczona.

- Opóźnienie!

- Tak. - Znow ziewnęła. - Może jutro.

- Nie! Obiecałaś!

- To najnieuczciwiejsze!

Mierzyła nas przez chwilę wzrokiem.

- No cóż. Przypuszczam, że mogę sprawić, byście znaleźli się tam dzisiaj. Ale powinniście się wstydzić, że odmawiacie staruszce potrzebnego jej odpoczynku. - Jej łysa głowa pomarszczyła się z zamyślenia. - Jedyne pytanie brzmi, jak to zrobić.

Poklepała się po czubku głowy, a jej ciemne oczy rozglądały się po pokoju.

- A właśnie. Skrzydła. Będą ci potrzebne skrzydła. Być może nawet te, do których zdążyłeś się już przyzwyczać.

Serce zabiło mi mocniej i zacząłem się zastanawiać, czy mówi ona o legendarnych skrzydłach, o których wspominał Cairpré. Czy Domnu sprawi, że posiadę to, co wszyscy Fincayranie stracili dawno temu? Napiąłem barki, wyczekując.

Jej stopy potupały po podłodze ku wejściu. Otworzyła ciężkie drzwi, sięgnęła w mrok i wyciągnęła małą żelazną klatkę. W środku znajdował się niewielki sokół o poszarpanych piórach.

- Kłopot!

Popędziłem do klatki. Ptak zatrzepotał skrzydłami i zagwizdał entuzjastycznie, szarpiąc żelazne pręty szponami.

- Wypuść go - poprosiłem, gładząc palcami przez kraty ciepłe pióra.

- Ostrożnie - ostrzegła mnie Domnu. - To zادیorna bestia. Prawdziwy wojownik.

Niepozorny ciałem, ale wielki duchem. Jak zechce, może rozszarpać cię na kawałki.

- Mnie nic nie robi.

Wzruszyła ramionami.

- Skoro nalegasz.

Lekko trąciła klatkę i ta natychmiast zniknęła. Kłopot zaczął spadać, ale tuż nad podłogą machnął dwa razy skrzydłami, zagwizdał, po czym wylądował na wierzchołku mojego kija, następnie skoczył na moje lewe ramię. Musnął mi ucho opierzoną szyją. Potem odwrócił się do Domnu i wściekle zrył powietrze szponami.

- Gdzie go znalazłaś? - zapytałem.

Kobieta podrapała się w brodawkę na czole.

- To on mnie znalazł, choć nie mam pojęcia jak. Kiedy przyleciał, wyglądał dość...

mizernie. Jakby ktoś próbował przepuścić go przez maszynkę do mielenia. To cud, że biedaczysko w

ogóle dał radę lecieć. Trochę go załatałam w nadziei, że uda mi się go nauczyć grać w kości. Ale niewdzięczny dzikus nie daje się przekonać.

Kłopot zagwizdał ostro i znów podrapał w powietrzu.

- Tak, tak, zamknęłam go w klatce wbrew jego woli. Ale to tylko dla jego dobra.

Kłopot wygwizdał kolejną reprimendę.

- I dla mojego bezpieczeństwa! Kiedy mu powiedziałam, że nie mam zamiaru wyruszać na poszukiwanie jego przyjaciela, rzucił się na mnie. Próbował mnie zaatakować!

Mogłam go po prostu zamienić w robaka, ale postanowiłam go zatrzymać, licząc na to, że uda się popracować nad jego manierami. Tak czy inaczej w tej chwili powinien nam się przydać.

Kłopot i ja przekrzywiliśmy jednomyślnie głowy, równie zdziwieni.

- Muszę was jednak ostrzec - mówiła dalej Domnu - że choć mogę wam pomóc pokonać drogę do zamku, to nie umiem sprawić, żebyście znaleźli się wewnątrz. Tym będziecie musieli się zająć na własną rękę. Nie mówiąc o wydostaniu się z niego.

Zerknęła do kieszeni z Galatorem.

- A ponieważ już się nie zobaczymy, pozwól, że podziękuję ci za ten podarek.

Westchnąłem, ale znajomy ciężar na ramieniu stępił mój smutek. Pokazałem na ptaka.

- A ja tobie za ten podarunek.

Domnu podeszła do nas. Kłopot przyglądał się jej nieufnie, kiedy położyła dłonie na głowach mojej i Shima. Z tą samą skoncentrowaną miną, z którą zmniejszała figury szachowe, zaczęła coś mamrotać.

I nagle poczułem, jak się zmniejszam. Przez krzyk Shima słyszałem, jak Domnu tłumaczy coś Kłopotowi. Po chwili ptak nie siedział już na moim ramieniu. Zamiast tego ja siedziałem na upierzonym grzbiecie Kłopoty i leciałem wysoko nad Mrocznymi Wzgórzami.

## LOT

Szybowałam w ciemności, a ja obejmowałam mocno szyję Kłopoty. Sądząc po kącie nachylenia grzbietu ptaka, wznosiliśmy się miarowo. W jednej dłoni trzymałam laskę, która teraz była mojego rozmiaru. Zastanawiałem się, gdzie może być Shim, i miałem nadzieję, że przynajmniej jest bezpieczny.

Smagało nas chłodne powietrze, a powiew był tak silny, że moje niewidzące oczy zaczęły łzawić i po policzkach i uszach ściekały mi cienkie strumyki łez. Z każdym podmuchem pióra na szyi ptaka drżały, muskając mi twarz i dłonie. Ponieważ byłem teraz rozmiaru głowy Kłopoty, zdałem sobie sprawę, że jego opierzenie z bliska nie wydawało się wcale miękkie i puchate. Każde pióro łączyło w sobie elastyczność gałęzi i solidność kości.

Stopniowo wczułem się w rytm ruchów niosącego mnie ciała. Z każdym pociągnięciem do góry potężnych skrzydeł wykonywałem wdech. Kiedy opadały, wydech.

Czułem, jak kark i mięśnie grzbietu ptaka napinają się przed każdym ruchem, po czym ruszają do akcji z zadziwiającą siłą.

Podczas lotu wyteżyłem słuch, starając się wychwycić coś w mroku. Zdziwiło mnie, jak ciche były machnięcia skrzydeł. Oprócz prawie bezgłośnego szelestu, kiedy opadały, i lekkiego szmeru kości grzbietu, kiedy się unosiły.

Pierwszy raz w życiu zakosztowałem wolności lotu. Otaczający mnie mrok tylko wzmocnił moje poczucie szybowania w nieskończoność, bez żadnych ograniczeń. Z wiatrem na twarzy zrozumiałem w końcu to niezwykle doświadczenie, niegdyś znane ludowi Fincayry, a później przez niego utracone - uczucie, które pamiętały moje kości, ale nie mój umysł.

Wiatr zmienił kierunek i usłyszałem lekkie kwilenie pod szponami. Zrozumiałem, że Kłopot niósł też innego pasażera, tak jak innego dnia mógłby nieść mysz polną. I wiedziałem, że Shim, teraz jeszcze mniejszy niż zazwyczaj, musi być równie przerażony jak czekająca na zjedzenie mysz.

Spróbowałem wyteżyć magiczny wzrok do granic możliwości. Przebić się przez ciemność, która coraz bardziej nas osaczała. Jednak mój niezwykle zmysł nie przydał się teraz na wiele. Mrok zamku rozlewał się po Mrocznych Wzgórzach. Spowijał je tak samo jak naszą trójkę. Wlatywaliśmy do krainy, gdzie, jak kiedyś ujęła to Rhia, panuje bezkresna noc.

Udało mi się ujrzeć zarys wznoszących się poniżej wzgórz. Ziemi nie zdobiły drzewa, po stokach nie wiły się rzeki. W pewnej chwili wyczułem obecność stromego, choć wąskiego kanionu i usłyszałem w oddali krzyk, który wydał chyba orzeł. Na północy zbita grupa płonących pochodni mieszała się z chrapliwymi okrzykami goblinów. A na południu migotały enigmatyczne światła, które mroziły mi krew w żyłach.

Na wzgórzach nad kanionem wyczułem budynki tam, gdzie kiedyś były wioski.

Wezbrała we mnie dziwna, niesprecyzowana tęsknota. Czyżbym jako dziecko mieszkał w jednej z tych wiosek? Czy widok tych ziem w świetle dnia pomógłby mi odzyskać choć część utraconej pamięci? Jednak wioski pode mną były tak mroczne i ciche jak moje dzieciństwo.

W kominkach nie płonął ogień, na placach nie rozlegały się żadne głosy.

Wątpiłem, by na tym terenie pracowali robotnicy tacy jak Honn, jak przez wieki, przed pojawieniem się Stangmara i nadejściem bezkresnej ciemności, robili to ich przodkowie. Było jeszcze mniej prawdopodobne, żeby przetrwali tu jacyś ogrodnicy. Ziemia T'eileana i Garlathy przynajmniej trwała w półmroku, podczas gry kraina pode mną egzystowała w stanie wiecznego zaćmienia.

Pogłębiająca się ciemność napierała na nas jak ciężki koc. Czułem szybkie bicie serca Kłopotą, którego rytm pulsował w żyłach na jego szyi. Tempo uderzeń skrzydeł nieco spadło, jakby mrok utrudniał lot, tak jak utrudnia widzenie.

Ptak przestał się wznosić. Jego skrzydła coraz częściej niedomagały, nie zakreślały pełnego łuku, niekiedy gubiły rytm. Podmuchy zimnego wiatru zachwiały drzemlikiem.

Obracał głowę raz w jedną stronę, raz w drugą. Wydawał się zdezorientowany, usiłując dojrzeć to, co niewidoczne. Z trudem utrzymywał obrany kierunek.

Przygnałem do mojego opierzonego rumaka. Jeżeli Kłopot tak słabo widział, jak mógł nas zaprowadzić do obracającego się wiecznie zamku? Być może to miała na myśli Domnu, kiedy ostrzegała, że dotarcie do zamku będzie łatwiejsze niż dostanie się do środka.

Przejęty strachem, zrozumiałem, że naszą jedyną szansą był mój magiczny wzrok. Ja, poniekąd niewidomy, musiałem pokierować ptakiem! Choć mój magiczny wzrok zawsze słabł, kiedy robiło się ciemniej, tym razem nie mogłem na to pozwolić. Być może mój dar widzenia w ogóle nie wymaga światła. Może uda mi się zobaczyć w ciemności. Wykrzesalem z siebie całą siłę. Muszę spróbować przebić wzrokiem mrok.

Mijały minuty. Nie zauważyłem różnicy. Dlaczego miałbym ją zauważyć? Nigdy nie widziałem w nocy, nawet kiedy miałem zdrowe oczy. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Mimo to nie poddawałem się. Wytężałem umysł. Staralem się przebić przez szarość, przez cienie. Wypełnić płótno mroku, tak jak Rhia nauczyła mnie wypełniać przestrzenie między gwiazdami.

Tymczasem lot Kłopotą stawał się coraz bardziej nierówny i niestabilny. Jego skrzydła zmagaly się z silnym wiatrem, który nami miotal. Ptak zawahał się, zmienił

kierunek, znów się zawahał.

Tak powoli, że na początku sam nie zauważyłem zmiany, w gęstniejącym mroku zacząłem wyodrębniać mgliste kontury. Krzywiznę grani. Wgłębienie, być może jezioro.

Krętą drogę. Nierówną linię, która musiała być kamiennym murem.

Wtedy w oddali wyczułem coś dziwnego. Lekkie, pulsujące migotanie na przeciwległym grzbiecie górskim. Było zarazem nieruchome i przemieszczało się, było jasne i ciemne. Nie miałem nawet pewności, czy ono naprawdę istnieje. Zdecydowanym ruchem zatopiłem dłonie w opierzonej szyi ptaka i obróciłem głowę Kłopotą w tamtym kierunku. Ptak na początku się opierał, a potem zaczął korygować kąt skrzydeł. Powoli zmienił kierunek.

Z mroku zaczęły się wyłaniać kontury gigantycznej budowli. Wznosiła się na wysokim wzgórzu niby czarny duch nocy. Wydawało mi się, że na jej ścianach widzę dziwne pierścienie światła, a na szczycie pinakle. Jeżeli kryjówka Domnu miała złowrogą aurę, to ta budowla była sto razy gorsza. Mimo to, sterując wytrwale szyją Kłopotą, prowadziłem nas w jej stronę. Kłopot nie tylko pogodził się z moim sterowaniem, ale dodawało mu ono otuchy.

Skrzydła uderzały ze wznowionym wigorem.

Mój magiczny wzrok sięgał coraz dalej. Teraz widziałem płaski szczyt wzgórza, gdzie były rozsiane kamienie, na których stała dziwna budowla. Jednak nawet kiedy teren dokoła stawał się coraz wyraźniejszy, sama budowla pozostawała rozmazana. Kiedy zbliżyliśmy się, wzmoгло się dudnienie, niski odgłos trących o siebie kamieni.

Wtedy zrozumiałem: budowla obracała się na swoich fundamentach. Znaleźliśmy Spowity Zamek.

Skoncentrowany zagryzłem wargę i tak pokierowałem drzemlikiem, żeby latał w kółko nad obracającym się zamkiem. Rozmyte kontury natychmiast nabrały ostrości. Pinakle były wieżami, świetlne kręgi pochodniami widocznymi przez obracające się okna i sklepione przejścia. Co jakiś czas w rozświetlonych nimi komnatach widziałem żołnierzy, którzy nosili te same spiczaste hełmy, co gobliny wojownicy.

Wyteżyłem magiczny wzrok, obserwując położone poniżej okno, gdzie nie widać było żadnych żołnierzy. Potem poprowadziłem Kłopotą do lądowania. Celowałem prosto w okno.

Mur obronny, wieże, sklepione przejścia, wszystko zaczęło się przybliżać. Nagle uświadomiłem sobie, że lecimy zbyt wolno, opadamy za wcześnie. Uderzymy w ścianę!

Przed oczami stanął mi koszmarny sen, który miałem na morzu.

Pociągnąłem ze wszystkich sił głowę Kłopotą, podrywając go do lotu. Trzymany w szponach Shim zaczął krzyczeć. Przelecieliśmy nad murami, tuż nad kamieniami. Gdybym zareagował ułamek sekundy później, byłoby po nas.

Skoncentrowałem się ponownie i przygotowałem Kłopotą do drugiego podejścia. Tym razem, kiedy okrążyliśmy zamek, postarałem się lepiej oszacować różnicę prędkości.

Ogarnęło mnie jednak zwątpienie. Prawda była taka, że nie widziałem, nie miałem sprawnych oczu. Czy odważę się spróbować raz jeszcze, polegając tylko na magicznym wzroku?

Wciągnąłem powietrze, po czym poprowadziłem ptaka do kolejnego podejścia.

Zaczęliśmy pikować w stronę tego samego okna co przedtem. Wiatr mną szarpał, świszcząc mi w uszach.

Kiedy okno było coraz bliżej, żołądek zacisnął mi się niczym pięść. Nawet najmniejszy błąd musiał się skończyć uderzeniem w ścianę. Przyspieszyliśmy. Teraz nie było już odwrotu.

Przelecieliśmy przez okno. W tej samej chwili zobaczyłem przed nami kamienną kolumnę. Nachyliłem się ze wszystkich sił i skierowałem Kłopotą w lewo. Otarliśmy się o kolumnę, poleciliśmy ślizgiem po podłodze i zatrzymaliśmy się na ścianie gdzieś we wnętrzu Spowitego Zamku.



## SPOWITY ZAMEK

Kiedy odzyskałem przytomność, najpierw rzuciło mi się w oczy to, że Kłopot zmałał.

Dzielny ptak siedział mi na piersi, trącąc mnie raz jednym skrzydłem, raz drugim. Naraz dotarła do mnie prawda. To ja zmieniłem rozmiar. Znowu byłem duży.

Widząc, że odzyskałem przytomność, drzemlik zeskoczył na kamienną podłogę.

Wydał z siebie niski, cichy gwizd, który zabrzmiał jak westchnienie ulgi.

Podobny dźwięk dobiegł z przeciwległego kąta pustego, mrocznego pokoju, spod trzaskającej pochodni stojącej w uchwycie z czarnego żelaza. Shim usiadł, spojrział na Kłopot, zbadał się od kudłatej głowy po włochate palce u stóp, zamrugał i znów się obmacał.

Mały olbrzym odwrócił się do mnie, a pod jego nochalem malował się szeroki uśmiech.

- Cieszy się być znowu duży i wysoki.

Uniosłem brew, ale choć mnie korciło, nie prychnąłem.

- Tak, obaj jesteśmy znowu duzi. Czar Domnu miał zapewne prysnąć po dotarciu do zamku.

Shim się skrzywił.

- Najmilszej z jej strony.

- Jestem jej za to bardzo wdzięczny - przyznałem i pogładziłem pręgowane skrzydła sokoła. - I nie tylko za to.

Kłopot zaświergotał rezolutnie. Żółte obwódki jego oczu lśniły w blasku pochodni.

Podrapał szponami kamienną podłogę, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że znów jest gotów do walki.

Jednak jego zadziorna poza podniosła mnie na duchu tylko na chwilę. Rozejrzałem się po otaczających nas potężnych, nierównych kamieniach. Na ścianach, podłodze i suficie tej komnaty nie było żadnych zdobieć, nie było śladu kunsztu. Spowity Zamek był tworem strachu, nie miłości. Jakakolwiek miłość okazywana w trakcie jego budowy musiała być uczuciem do zimnego kamienia i solidnej obrony. W konsekwencji, co potwierdzała ta komnata, na zamku nie będzie piękna ani niezwykłości. Za to prawdopodobnie przeżyje on same Mroczne Wzgórza. I z całą pewnością przeżyje mnie.

Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na bezustanne dudnienie. Dudnienie wzmagało się, słabło i powtarzało się miarowo jak rytm oceanu. To był odgłos zamku obracającego się wokół swojej osi!

Kiedy stanąłem na nogi, trudno mi było utrzymać równowagę, zarówno z powodu drżenia podłogi, jak i miarowego odpychania ku zewnętrznej ścianie komnaty.

Pochyliłem się, żeby podnieść laskę. Nawet podpierając się nią, z trudem utrzymywałem równowagę.

Odwrociłem się do Shima.

- Czułbym się znacznie lepiej, gdybym miał Galatora.

- Patrzy! - odparł, stając na palcach przy otwartym oknie. - Tam jest najciemniejszej! I czuje drżenia i trzęsienia podłogi. Nie podoba mi się tu.

- Mnie też nie.

- Boi. Bardzo, bardzo, bardzo się boi.

- Ja też się boję. - Skinąłem w jego stronę. - Ale obecność przyjaciół dodaje mi odwagi.

W małych oczach Shima pojawił się nowy błysk.

- Odwaga - powiedział do siebie cicho. - Ja dodaje mu odwagi.

- Chodź.

Podszedłem ostrożnie do drzwi. Prowadziły one na ciemny korytarz oświetlony tylko syczącą pochodnią na przeciwległym końcu.

- Musimy spróbować znaleźć Rhię! Jeżeli jej nie zabili, przebywa w lochu na dole.

Mała pierś Shima naprężyła się.

- Takie najokropniejsze miejsce! Zawalczy z każdym, kto ją skrzywdzi.

- Nie będziesz z nikim walczył - odparłem. - Zamku strzegą gobliny i upiornicy.

- Oooh - szybko uszedł z niego zapal - nie trzeba z nimi walczyć.

- Zgadza się. Musimy ich przechytrzyć, jeżeli się uda. Nie walczyć.

Kłopot podleciał na moje ramię i wyruszyliśmy. Skradaliśmy się słabo oświetlonym korytarzem, starając się nie robić hałasu. Na szczęście miarowe dudnienie obracającego się zamku zagłuszało większość naszych odgłosów, może oprócz słabego stukotu mojej laski o kamienie. Wychodziłem z założenia, że dopóki nikt nas nie przyłapie, to strażnicy nie będą wyczuleni na intruzów. Z drugiej strony bardzo dobrze pamiętałem, że tego samego spodziewałem się po goblinach patrolujących przesmyk przy Nawiedzonym Bagnie.

Kiedy doszliśmy do syczącej pochodni zatkniętej bezceremonialnie w niszę między kamieniami,

korytarz skręcił gwałtownie w prawo. Po obu stronach następnej jego części były rzędy sklepionych przejść i tylko jedno wąskie okienko. Kiedy się do niego zbliżaliśmy, spałem się na widok wpadających przez nie promieni mroku, przypominających promienie światła, które wpadałyby przez okno w krainie nienękannej przez Mrok.

Ostrożnie ustawiłem dłoń na poziomie jednego z pasm ciemności. Chłód zmroził mi palce. Czułem, jakby skóra mi uwiędła, zmartwiała.

Zadrzałem, wycofałem dłoń i ruszyłem naprzód. Bose stopy Shima tupały cicho obok, a szpony Kłopot mocno trzymały się mojego ramienia. Jeden korytarz prowadził do następnego, jedna trzaskająca pochodnia do kolejnej. Wszystkie napotkane komnaty były puste, jeżeli nie liczyć wijących się w świetle ognia cieni. Mogłem sobie tylko wyobrazić, ile takich pustych piętrowych znajdowało się w tym gigantycznym zamku. Nie udało nam się znaleźć schodów.

Badaliśmy ostrożnie labirynt korytarzy, skręcaliśmy w lewo i w prawo, w prawo i w lewo. Zacząłem się zastanawiać, czy nie chodzimy w kółko i czy kiedykolwiek natrafimy na schody w dół. Kiedy zbliżaliśmy się do pary drzwi, Kłopot zatrzepotał skrzydłami obok mojej szyi. Nagle usłyszałem fragment wulgarnej dyskusji.

Gobliny. Rozróżniłem kilka głosów.

Odczekaliśmy przed sklepionym przejściem, zastanawiając się, jak się przedostać, żeby nas nie zauważyły. Kłopot wiercił się nerwowo na moim ramieniu. Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Stuknąłem drzemlika w dziób, wskazując zarazem na przejście.

W mig pojął, o co mi chodzi. Bezgłośnie zleciał na podłogę. Trzymając się cieni przy ścianie, wślizgnął się do komnaty. Kuląc się tuż przy wejściu, wymieniliśmy z Shimem nerwowe spojrzenia.

Kilka sekund później jeden z goblinów jęknął z bólu.

- Ukłułeś mnie, durniu!

- Wcale nie - odparł inny na tle metalicznych hałasów.

- Łgarz!

O kamienną podłogę uderzyło coś ciężkiego. Usłyszeliśmy świst przecinającego powietrze miecza.

- Ja ci pokażę, kto jest łgarzem.

Wybuchła bójka. Szczękały miecze, dudniły pięści, fruwały przekleństwa. Pod osłoną zamieszania przemknęliśmy z Shimem obok drzwi. Zatrzymaliśmy się tylko na tyle, żeby Kłopot zdążył podfrunąć na swoje miejsce na moim ramieniu, po czym czmychnęliśmy przez korytarz. Za zakrętem ujrzeliśmy przed sobą schody.

Słabo oświetlone migoczącymi na podeście pochodniami kamienne schody wiły się w dół w prawie zupełnej ciemności. Poszedłem pierwszy, Kłopot ocierał się o mój policzek, obaj staraliśmy się

wyczuć, co może na nas czekać w mroku. Mruczający pod nosem nerwowo Shim trzymał się blisko za nami.

Kręte schody prowadziły do kolejnego podestu, który w świetle pochodni napawał niepokojem. Ruchome cienie pełzały po ścianach. Kiedy schodziliśmy, dudnienie i jęki obracających się fundamentów nasiliły się, wzmógł się również zatęchły odór w powietrzu.

Zeszliśmy po schodach na kolejny poziom, bardziej ponury od poprzedniego. Potem na kolejny, jeszcze bardziej złowrogi. Tu schody kończyły się wysokim sklepieniem przejściem.

Za nim była ciemna, cuchnąca zgnilizną piwnica.

- Lochy - wyszeptałem na tyle głośno, żeby było mnie słychać pomimo dudnienia.

Shim nic nie odpowiedział, zrobił tylko wielkie oczy.

Z ciemnego wejścia do lochu dobiegł przeciągły jęk bólu. To była esencja cierpienia.

Głos brzmiał, jakby wydał go człowiek, choć nie do końca. Kiedy jęk się powtórzył, głośniejszy niż przedtem, Shim zamarł, jakby zamienił się w kamień. Podeszedłem ostrożnie, badając najczarniejsze zakamarki laską.

Minałem kamiennie sklepienie i rozejrzałem się po lochu. Po lewej stronie, pod jedną z nielicznych pochodni znajdujących się w sali przypominającej jaskinię, zobaczyłem człowieka. Leżał na plecach na kamiennej ławce. Z jego powolnego, miarowego oddechu wywnioskowałem, że śpi. Choć z pasa zwisały mu miecz i sztylet, nie miał na sobie zbroi, tylko wąski czerwony napierśnik na skórzanej koszuli i spiczasty hełm na głowie.

Jednak najdziwniejsza w mężczyźnie była jego twarz. Tak blada, jakby wykonana z papieru. Albo jak maska bez wyrazu. W każdym razie twarz była zarazem żywa i martwa.

Mężczyzna zaczął nagle jęczeć i zawodzić. Dźwięki rozchodziły się echem po lochu, a ja zdałem sobie sprawę, że musi mu się coś śnić, że we śnie przypomina sobie chwile pełne cierpienia. Choć korciło mnie, żeby go obudzić i oszczędzić mu męczarni, nie odważyłem się zaryzykować. Kiedy odwróciłem się, żeby powiedzieć to Shimowi, wstrzymałem oddech.

Mały olbrzym zniknął.

Popędziłem z powrotem do schodów. Zawołałem jego imię na tyle głośno, żeby było je słychać ponad dudnieniem zamku, ale zarazem na tyle cicho, żeby nie obudzić śpiącego żołnierza. Rozejrzałem się rozpaczliwie, ale po Shimie nie było śladu. Zawołałem go raz jeszcze. Nikt mi nie odpowiedział.

Jak Shim mógł zniknąć? Dokąd mógł pójść? Może w końcu puściły mu nerwy? Może gdzieś się skulił przerażony? Tak czy inaczej nie miałem czasu, żeby go teraz szukać.

Z Kłopotem przyczepionym mocno do ramienia odwróciłem się i wyminałem śpiącego żołnierza pod skwierzącą pochodnią. Zmierzałem do samego serca lochów. Ze ścian zwisały tu łańcuchy, kamienie pod nimi były szerniałe od zaschniętej krwi. Mijałem kolejne cele, niektóre z otwartymi na oścież ciężkimi drzwiami, niektóre ciągle zamknięte na głucho. Zerkając przez otwór w każdych zamkniętych drzwiach, widziałem na ziemi kości i gnijące ciała. Nie umiałem sobie wyobrazić Rhii, z jej radością życia, uwięzionej w tak makabrycznym miejscu. Jednak zdecydowanie wolałem to od gorszej możliwości.

Od dnia, kiedy dotarłem do Fincayry, odkryłem trochę, tylko trochę, na temat swojej przeszłości.

O swoim imieniu nie dowiedziałem się prawie nic. Jednak te niezrealizowane wyzwania były dla mnie znacznie mniej ważne niż ocalenie Rhii. Byłem gotów odłożyć na bok pytania, na które nie miałem jeszcze odpowiedzi, być może na zawsze, byle tylko zdążyć ją uratować.

Znalazłem celę z czaszką zmiażdżoną przez ciężką skałę. Potem inną, w której dwa szkielety, jeden dorosły i jeden dziecka, obejmowały się na wieczność. I jeszcze inną, w której była tylko sterta liści w kącie.

Z każdym krokiem coraz bardziej zrozpaczony szedłem naprzód. Czy przebyłem tak daleką drogę, żeby teraz znaleźć porozrzucane kości i stertę liści?

Zatrzymałem się. Sterta liści.

Pognałem z powrotem do celi. Z walącym sercem zajrzałem raz jeszcze przez wąski otwór. Na tyle głośno, żeby było mnie słychać ponad dudnieniem, wydałem dźwięk, którego nauczyła mnie Rhia, by ożywić buk.

Suerta liści poruszyła się.

- Rhia - wyszeptalem podekscytowany.

- Emrys?

Skoczyła na nogi i podbiegła do drzwi. Jej odzienie z pnączy było postrzępione i brudne, ale dziewczynka żyła.

- Och, Emrysie - powiedziała z niedowierzaniem. - Czy to ty, czy twój duch?

W odpowiedzi włożyłem przez otwór w drzwiach palec wskazujący. Ostrożnie zahaczyła o niego swój palec jak wiele razy wcześniej.

- To ty.

- To ja.

- Wypuść mnie.

- Najpierw muszę znaleźć klucz.

Rhia posmutniała.

- Strażnik. Przy wejściu. On ma klucz. - Ścisnęła mój palec przestraszona. - Ale on...

- Mocno śpi - dokończył inny głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem patrzącego na mnie Shima, na którego twarzyczce malowała się wyraźna duma. Mały olbrzym wyciągnął dłoń. Na niej leżał duży żelazny klucz.

Patrzyłem z niedowierzaniem.

- Ukradłeś go strażnikowi?

Shim zaczerwienił się, a jego kartoflowaty nos zrobił się prawie tak różowy jak jego oczy.

- On śpi najmocniejszej, więc to nie jest trudne.

Usadowiony na moim ramieniu Kłopot zagwizdał z podziwem. Uśmiechnąłem się szeroko. Pomyślałem, że Shim nie jest wcale taki niepozorny, za jakiego go miałem.

Klucz zachrobotał w zamku i drzwi stanęły otworem. Rhia wyszła z celi. Na jej wynędzniałej twarzy malowała się ulga. Dziewczynka objęła mnie, Kłopota i na końcu Shima, którego nochal poczerwieniał jeszcze bardziej niż poprzednio. Potem odwróciła się do mnie i zapytała:

- Jak się stąd wydostaniemy?

- Tego jeszcze nie obmyśliłem.

- Tak czy inaczej ruszajmy.

- Żałuję tylko, że nie mam już Galatora.

Rhia otworzyła usta ze zdziwienia.

- Zgubiłeś go?

- Oddałem. Żeby się tu dostać.

Nawet w lochu widać było błysk w jej oczach. Znów zahaczyła palcem o mój palec.

- Masz jeszcze nas.

Ruszyliśmy wszyscy w stronę wejścia. Kłopot trzepotał mi tuż obok szyi. Nawet bez Galatora na piersi zrobiło mi się ciepło na sercu. Ale tylko trochę. Kiedy mijaliśmy celę ze zmiażdżoną czaszką, powiedziałem do Rhii:

- Dotarcie tu nie było łatwe, ale wydostanie się będzie jeszcze trudniejsze. To znaczy... wydostanie się i przeżycie.

- Wiem. - Stała wyprostowana jak młody buk. - W takim razie pozostaje nam mieć nadzieję, że Arbassa się nie myliła.

Kłopot, który zaczął się wiercić na moim ramieniu, zamarł. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

- W kwestii spotkania w Zaświecie?

Rhia przytaknęła niepewnie.

- Po Długiej Podróży.

Zmarszczyłem czoło. Byłem pewien, że jeżeli zginiemy tego dnia, to nie będą nas czekały żadne podróże - długie czy krótkie.

Shim pociągnął mnie za tunikę.

- Rusza! Zanim ten najchrapliwszy strażnik się zbudzi...

Nagle żołnierz wyszedł z mroku. Jego twarz śmiertelnie blada pod hełmem była zupełnie bez wyrazu. Powoli wyciągnął z pochwy miecz. Potem na mnie natarł.

## OSTATNI SKARB

- Uważaj! - krzyknęła Rhia.

Zasłoniłem się laską, parując cios jej sękatym końcem. Kiedy posypały się drzazgi, wyciągnąłem sztylet. W tym czasie żołnierz brał zamach, szykując się do kolejnego ciosu.

Skrzecząc, Kłopot rzucił mu się z wyciągniętymi szponami do twarzy. Jeden szpon rozplątał mu policzek. Nie okazując choćby śladu bólu, żołnierz opędził się od atakującego ptaka. Wykorzystałem tę chwilę, żeby wbić sztylet głęboko w pierś żołnierza, tuż pod napierśnikiem. Zrobiłem krok do tyłu, spodziewając się, że teraz upadnie. Kłopot wrócił na swoje miejsce na moim ramieniu.

O dziwo, żołnierz tylko stał z beznamiętnym wzrokiem utkwionym w rękojeści sztyletu. Upuścił miecz, który zabrzączał na kamiennej posadzce, i złapał oburącz za sztylet.

Szarpnął mocno, wyciągnął go z ciała i odrzucił na bok. Z rany nie wyciekła nawet kropla krwi.

Zanim żołnierz zdołał podnieść miecz, Rhia złapała mnie za rękę.

- Uciekaj! - krzyknęła. - To upiornik! Nie da się go zabić!

Pognaliśmy przez wejście do lochu i po schodach na górę. Nieśmiertelny żołnierz ścigał nas. Rhia prowadziła, a z nogawek zwisały jej porwane pnącza. Trzymaliśmy się z Shimem tuż za dziewczynką.

Popędziliśmy krętymi schodami na górę, prawie przewracając się podczas szaleńczego biegu po kamiennych stopniach. Minęliśmy kolejny podest, ten z trzaskającą pochodnią. I następny. I następny. Im wyżej się wspinaliśmy, tym węższe robiły się schody. Rhia, o jak zwykle silnych nogach, wysforowała się przede mną, podczas gdy Shim zostawał coraz bardziej w tyle. Zzajany obejrzałem się za siebie. Upiornik prawie go doganiał.

Widząc, że Shim jest w niebezpieczeństwie, Kłopot wystartował, uderzając skrzydłem o mój policzek. Wściekły skrzek odbił się echem od ścian, kiedy ptak rzucił się napastnikowi do twarzy.

Upiornik wycofał się kilka kroków, opędzając się przed drzemlikiem. Ich zmagania odzwierciedlały cienie walczące na pogrążonych w półmroku ścianach. Zawahałem się. Czy powinienem biec za Rhia, czy wrócić na pomoc Kłopotowi?

Ze szczytu schodów dobiegł mnie krzyk.

- Rhia!

Praktycznie wleciałem po schodach, pokonując po dwa naraz. Stopnie wiły się coraz bardziej, zwężając się, jakby zmierzały do małego punktu. Sapiąc ciężko, pokonałem zakręt i znalazłem się na podeście znacznie większym i lepiej oświetlonym niż te poniżej. Stałem jak wryty.



Przede mną rozpościerała się ogromna sala. Do jej ścian przymocowane były rzędy płonących pochodni i lśniących obiektów, a sklepienie znajdowało się wysoko w górze. Ale mnie interesował środek sali. Rhię schwytał goblin wojownik! Jęzor latał mu wokół

szarzielonych ust, kiedy przyszpilił jej ręce za plecami. Silna dłoń zakrywała dziewczynce usta, dławiąc jej krzyk.

- Witamy w naszym zamku - zagrział potężny głos.

Odwrociłem się i zobaczyłem masywnego mężczyznę o niezłomnej, niby wyciosanej z kamienia twarzy, który siedział na czerwonym, migoczącym niepokojąco tronie. Mężczyzna miał jakby wryty na ustach grymas niezadowolenia. Choć ponury, był również na groźny sposób przystojny. Pod złotym diademem na czole lśniły intensywnie czarne oczy. Po jego twarzy i ciele przebiegały cienie tak dziwne, że nie umiałem stwierdzić, co się za nimi kryje.

Wokół tronu Stangmara zebrało się pięciu lub sześciu upiorników o twarzach martwych niczym lica trupów. Wśród nich stało dwóch Fincayran, a ich kruczoczarne włosy sięgały czerwonych szat. Jeden z nich był wysoki i szczupły jak wielki owad, a drugi - krępy niczym pniak grubego drzewa.

Pamiętałem opowieść Cairprégo, więc przyjrzałem się uważnie ich twarzom, zastanawiając się, czy któryś z nich mógł być moim ojcem. Jednak choć bardzo pragnąłem go odnaleźć, perspektywa ta napawała mnie niepokojem. Człowiek, który podporządkował się tak podłemu królowi jak Stangmar, zasługiwał w moich oczach tylko na pogardę.

„Chcę go tylko poznać”, powiedziałem Branwen podczas naszej ostatniej rozmowy.

„Lepiej, żebyś tego nie robił. Nie jest tym, na kogo wygląda”, odparła. Niestety, jeżeli zniżył się do poziomu grupy, którą miałem przed sobą, to rozumiałem dlaczego.

Na mój widok Rhia zaczęła się szarpać rozpaczliwie. Goblin wojownik tylko zaśmiał się chrapliwie i chwycił ją jeszcze mocniej.

- Podejrzewaliśmy, że w końcu tu dotrzecie - oznajmił Stangmar z utrwalonym grymasem na twarzy. - Zwłaszcza że mieliśmy twoją przyjaciółkę za przynętę.

Zdziwiłem się, że obchodziło go, gdzie jestem. Potem dotarło do mnie, że Stangmar nadal myślał, że mam ze sobą Galatora, ostatni Skarb, którego tak pożądał. Nie byłem pewien, jak mogłem wykorzystać to błędne przeświadczenie, ale zamierzałem improwizować.

Rhia ponownie próbowała się wyrwać, równie bezskutecznie. Kiedy wiła się w liściastej szacie, poczułem delikatny powiew świeżości opuszczonego lasu.

Zbliżyłem się i zaparłem laską o posadzkę, żeby utrzymać równowagę na obracającej się powoli podłodze.

- Puść ją. Nie zrobiła ci nic złego.

Oczy króla zapłonęły, a na jego rysach tańczyły cienie.

- Tylko dlatego że nie mogła. Podobnie jak ty.

Obaj Fincayranie zgodnie przytaknęli, podczas gdy upiornicy położyli jednomyślnie dłonie na rękojeściach mieczy. Wyższy mężczyzna zerknął na mnie, jego twarz stężała z niepokoju. Nachylił się do króla i zaczął coś mówić, ale Stangmar uciszył go machnięciem dłoni.

Wtedy upiornik z lochu wszedł po schodach i stanął za mną. Choć jego twarz była mocno podrapana, nie było na niej śladów krwi. W jednej dłoni trzymał za szpony Kłopotą, tak że ptak wiszący głową w dół mógł tylko trzepotać skrzydłami i gwizdać wściekle.

- Kolejny kompan, nieprawdaż? - mroczna twarz Stangmara zwróciła się ku parze upiorników.

- Idźcie zobaczyć, czy nie ma ich więcej.

Obaj żołnierze natychmiast mnie wyminęli i zeszli po schodach. Wtedy przypomniałem sobie, że zgubiłem Shima. Miałem nadzieję, że mój mały towarzysz znalazł

bezpieczną kryjówkę. Odwróciłem się nerwowo od uwięzionej w ramionach goblina wojownika Rhi do Kłopotą, który zwisał bezradnie trzymany przez upiornika.

- Wypuść ich! - krzyknąłem do króla. - Wypuść ich albo tego pożałujesz.

Stangmar zmarszczył brwi.

- Nie jesteśmy przyzwyczajeni do przyjmowania rozkazów od byle chłopca!

Zwłaszcza gdy ten chłopiec grozi naszej królewskiej osobie.

Pomimo rozchwianej podłogi obracającego się zamku stałem dumny i wyprostowany.

Wtedy Stangmar pochylił się na swoim tronie. Przez chwilę cienie zniknęły z jego twarzy. Jego kwadratowa szczeka i natchnione oczy przy całej jego surowości dodawały mu uroku.

- Jednak twoja odwaga wywarła na nas wrażenie. Z tegoż powodu okazemy litość.

Nagle cienie wróciły, przeskakiwały gorączkowo po twarzy, torsie i złotym diademie na czole.

- Wiemy, co robimy! - warknął Stangmar, choć nie było jasne do kogo.

Zbył królewskim gestem trzymającego Rhię goblina.

- Wypuść ją, to nasz rozkaz. Ale nie spuszczaaj jej z oka.

Goblin skrzywił się, niemniej posłuchał. Popchnął Rhię brutalnie na kamienną posadzkę przed

tronem. Kłopot, który nadal wisiał głową w dół, zaskrzeczał gniewnie na goblina. Jednak nie mógł zrobić nic więcej.

- A co z sokołem? - zapytałem.

Stangmar wyciągnął się na tronie.

- Zostanie tam, gdzie jest. Ufamy mu jeszcze mniej niż tobie! Co więcej, jego obecne położenie powinno skłonić cię do współpracy.

Kark mi zeszywniał.

- Nigdy nie będę z tobą współpracował.

- Ja też nie - oznajmiła Rhia, potrząsając brązowymi lokami.

Kłopot znów zaskrzeczał, jasno określając własne stanowisko.

Pierwszy raz marsowa mina króla nieco złagodniała.

- Och, podejmiecie współpracę. Już ją podjęliście! Przynieśliście nam coś, czego od dawna pożyliśmy. Przynieśliście nam ostatni Skarb.

Skrzywiłem się, ale nic nie odpowiedziałem.

Cienie pełzały po twarzy Stangmara, kiedy ten rozpostarł ręce, pokazując rozwieszony na ścianach skarb.

- W tej sali zgromadziliśmy wiele przedmiotów o legendarnej mocy. Nad naszym królewskim tronem wisi Głębotnij, miecz o dwu ostrzach: czarnym, które tnie po samą duszę, i białym, które leczy każdą ranę. Tam jest sławetna Harfa Kwitnienia. Ten srebrny róg to Zaklinacz Marzeń. Obok niego widzicie pług, który uprawia własne pole. Już nigdy więcej ani te, ani jakiegokolwiek inne skarby nie będą stanowić zagrożenia dla naszej suwerenności.

Rysy mu stwardniały, kiedy wskazał żelazny kocioł ustawiony przy przeciwległej ścianie.

- Mamy nawet Kocioł Śmierci.

Na wzmiankę o tym przedmiocie mężczyźni w czerwonych szatach wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wyższy pokręcił ponuro głową.

- Jednak Skarb, którego pożyliśmy najbardziej, nie wisi na żadnej z tych ścian. -

Głos Stangmara zagrzemiał w wielkiej sali, zagłuszając nawet miarowe dudnienie obracającego się zamku. - Ty go nam przyniosłeś.

Wiedziałem, że Stangmar zaraz się zorientuje, że nie mam Galatora. Ośmielony perspektywą

niechybnej śmierci, wyprostowałem ramiona.

- Nigdy nie przyniosłbym tu czegoś, co mogłoby ci się przydać.

Ponury król przyglądał mi się przez chwilę.

- Tak ci się wydaje?

- Wiem to! Kiedyś nosiłem Galatora, ale już go nie mam. Nie dostaniesz go.

Stangmar przyjrzał mi się chłodno, a jego twarz skryta była w cieniu.

- To nie Galatora szukamy.

Zamrugałem.

- Mówiłeś, że szukasz ostatniego Skarbu.

- Owszem. Ale ostatni Skarb to nie jest zwykły klejnot. - Król chwycił poręcz tronu. -

Ostatni Skarb to mój syn.

Poczułem przyływ fali przerażenia.

- Twój... syn?

Stangmar przytaknął, choć na jego twarzy nie było radości.

- To ciebie szukałem. Gdyż to ty jesteś moim synem.

# XXXVII

## GŁĘBOTNIJ

Mroczne cienie mieniły się na twarzy króla, podczas gdy jego wielkie dłonie ścisnęły tron.

- A teraz musimy dotrzymać obietnicy złożonej, zanim uciekłeś ze swoją matką.

- Obietnicy? - powtórzyłem, wciąż oszołomiony wyznaniem Stangmara. - Jakiej obietnicy?

- Czyżbyś nie pamiętał?

Spojrzałem ponuro na człowieka, który był moim ojcem.

- Nic nie pamiętam.

- Masz wobec tego szczęście.

Stangmar jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Cienie zamigotały na jego twarzy i rozeszły się zaraz po jego rękach. Król zacisnął pięści, potem wskazał na mnie i wydał

rozkaz:

- Wrzucić go do Kotła.

Upiornicy ruszyli w moją stronę jak jeden mąż.

Kłopot, nadal trzymany przez jednego z nich, zatrzepotał gwałtownie skrzydłami i próbował się uwolnić. Jego wściekły skrzek rozległ się echem po olbrzymiej sali, wznosząc się ponad dudnienie obrotów zamku.

- Nie! - krzyknęła Rhia i skoczyła na nogi.

Z szybkością żmii rzuciła się na Stangmara i zaczęła go dusić. Zanim strażnicy podbiegli mu na pomoc, król wyrwał się jej i rzucił ją na kamienną podłogę. Dziewczynka upadła cała w pnączach u stóp goblina.

Rozcierając zadrapania na szyi, rozgniewany król wstał. Na całym jego ciele wiły się cienie. Warknął do goblina:

- Zabij ją pierwszą! Potem zajmijmy się chłopcem.

- Z przyjemnością - burknął goblin i jego wąskie oczy zaświeciły się.

Sięgnął do rękojeści miecza. Serce zabiło mi mocniej, policzki płonęły. Czuję, jak ogarnia mnie furia, ta sama wściekłość, której doświadczyłem podczas starcia z Dinatiusem.

Muszę interweniować! Muszę użyć swoich mocy!

Wtedy przed oczyma stanęły mi palące płomienie. Poczułem fetor spalonego ciała.

Mojego ciała. Usłyszałem swoje krzyki. Bałem się tych mocy nie mniej niż Kotła Śmierci.

Goblin wojownik, szczerząc okrutnie zęby, powoli podniósł miecz. Jego ostrze połyskiwało w świetle pochodni. W tej samej chwili Rhia odwróciła się i spojrzała na mnie ze smutkiem w oczach.

Nowe uczucie, potężniejsze od furii i strachu, przepełniło moje serce. Kochałem Rhię.

Kochałem jej ducha, jej radość życia. „Jesteś wszystkim, co się na ciebie składa”, powiedziała mi kiedyś. Potem przypomniałem sobie słowa Wielkiej Eluzy w lśniącej kryształowej jaskini.

„Ostatni Skarb ma wielką moc, większą, niż wam się wydaje”. Moce były częścią mnie. Mój był strach przed nimi, moje było prawo, żeby z nich korzystać.

Potężne ramiona goblina napięły się przed ciosem. Kłopot znów zaskrzeczał, usiłując się wyrwać z uścisku upiornika.

Ale co z moją przysięgą? Znów usłyszałem głos Rhii: „Jeżeli ktoś obdarzył cię niezwykłą mocą, to masz jej używać”. Dołączył do niej głos mojej matki, a jej szafirowe spojrzenie świdrowało moją duszę. „Jego jedynym warunkiem jest, byś używał ich dobrze. Z

rozwagą i miłością”.

Miłość. Nie furia. To było najważniejsze.. Ta sama miłość, która sprawiała, że Galator lśnił. Ta sama miłość do Rhii, która przepelniała mnie teraz.

„Wykonaj ruch - rozkazał głos Domnu. - W życiu, tak jak w szachach, twój wybór będzie miał daleko idące konsekwencje”.

Kiedy miecz goblina zaczął spadać na głowę Rhii, skoncentrowałem się na zawieszonym na ścianie za tronem wielkim mieczu Głębotniju. Przed oczami znów stanęły mi płomienie, ale nie poddałem się i spróbowałem rozproszyć wizję. Słyszałem tylko zadowolone prychnanie goblina. Widziałem tylko miecz i żelazny hak, na którym wisi.

Leć, Głębotniju. Leć!

Żelazny hak pękł. Miecz oderwał się ze ściany i poszybował na goblina. Odgłos przeszywanego klingą powietrza zaintrygował wojownika, który zaczął się obracać. Ułamek sekundy później jego odcięta głowa potoczyła się po kamiennej posadzce.

Rhia wrzasnęła, kiedy przygniotło ją ciężkie cielsko. Stangmar zawył gniewnie, na jego twarzy kłębił się rój cieni. Mężczyźni w czerwonych szatach krzyknęli i cofnęli się przestraszeni. Tylko upiornicy o twarzach bez wyrazu przyglądali się temu w milczeniu.

W zamieszaniu upuściłem laskę i podniosłem wysoko dłonie. Głębotnij przyleciał w moją stronę. Chwyciłem oburącz srebrną rękojeść.

Widząc to, upiornicy dobyli własnych mieczy. Natarli na mnie jak jeden mąż. Nagle zahuczał głos króla:

- Stać!

Z jego ściągniętych warg wydobył się przeciągły basowy warkot.

- To pojedynek między nami. Tylko i wyłącznie między nami.

Cienie kłębiły się na jego ciele. Przez chwilę się zawahał. Potem otrząsnął się gwałtownie i powiedział do kogoś, kogo tylko on widział:

- Powiedziałem, że to pojedynek między nami! Nie potrzebujemy pomocy.

Podniósł się z tronu i sprawnie chwycił miecz powalonego goblina. Piorunując mnie wzrokiem, świsnął klingą w powietrzu. Dopiero wtedy zauważyłem, że cienie zniknęły mu z twarzy. Kiedy spojrzałem na czerwony tron, ujrzałem mroczne cienie unoszące się tuż nad siedziskiem, co jeszcze bardziej mnie zdziwiło. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że te cienie przyglądają mi się uważnie.

- A więc - zaczął Stangmar drwiącym głosem - jesteś w posiadaniu mocy? Tak jak twój dziadek. - Zrobił krok w moją stronę. - Ale nawet mając do dyspozycji moce, twojemu dziadkowi nie udało się oszukać śmierci. I tobie też się nie uda.

Ledwie zdążyłem unieść Głębotnija, żeby sparować pierwszy cios Stangmara. Miecze szczęknęły, dźwięk rozszedł się echem po kamiennych sklepieniach sali. Od siły uderzenia mój miecz zadrżał aż po samą rękojeść. Z trudem utrzymałem go w dłoniach. Dotarło do mnie, że Stangmar miał potrójną przewagę: był silniejszy, sprawniejszy i - nawet biorąc pod uwagę poprawę mojego magicznego wzroku - lepiej widział.

Mimo to walczyłem najlepiej, jak umiałem. Choć obracająca się podłoga i jej nieustanne drzenie wytrącały mnie z równowagi, nacierałem. Wymachiwałem wściekle mieczem, parowałem i robiłem uniki. Kiedy nasze klingi się ścierały, leciały z nich iskry.

Być może moja zaciekłość sprawiła, że Stangmar walczył ostrożniej. Może sam Głębotnij mnie jakoś wzmocnił. A może Stangmar bawił się po prostu ze swoją ofiarą. Tak czy inaczej, kiedy zmagaliśmy się w sali, której ściany zdobiły cenne obiekty, broniłem się dzielnie.

Nagle Stangmar przyspuścił atak. Wymierzył w Głębotnija potężny cios, który rozszedł

się echem po sali i wyszarpnął mi z dłoni miecz, a ten upadł z brzękiem na kamienną podłogę.

Król przyłożył mi ostrze do szyi.

- Teraz dotrzymamy obietnicy. - Pokazał na straszny Kocioł przy ścianie. - Idź.

Nadal dysząc, nie ruszałem się.

- Kto cię zmusił, żebyś przysiągł, że mnie zabijesz?

- Idź.

- I dlaczego ta obietnica tyle dla ciebie znaczy, skoro złamałeś wszystkie inne przysięgi, które złożyłeś swojemu ludowi?

- Idź!

Założyłem ręce na piersi.

- Obiecałeś to Rhicie Gawrowi, prawda?

Marsowa mina Stangmara stężała, a cienie tańczyły nad tronem.

- Tak. A na twoim miejscu okazałbym więcej szacunku dla naszego dobrego przyjaciela. A teraz idź!

Spojrzałem błagalnie na mężczyznę, którego oczy i włosy tak bardzo przypominały moje.

- Nie widzisz, co Rhita Gawr z tobą zrobił? Z twoją krainą? Chce, żebyś zatrzał własne ziemie. Zaczernił niebo. Natchnął lękiem swój lud. I nawet... zabił własnego syna!

Kiedy mówiłem, tajemnicze cienie miotaly się dziko na tronie.

Stangmar poczerwieniał na twarzy.

- Nic z tych spraw nie rozumiesz. Nic a nic!

Przycisnął mi do szyi ostrze miecza, tak że przełknąłem z wysiłkiem.

- Rhita Gawr nie jest twoim przyjacielem. Jest twoim panem, a ty jesteś jego niewolnikiem.

W oczach Stangmara płonął żar, kiedy pokazał mi, żebym poszedł do Kotła.

- Czy tego chciałaby Elen - twoja żona, moja matka?

W Stangmarze zakipiała furia.

- Pominiemy Kocioł i zgładzimy cię tym oto mieczem!

Z tymi słowami uniósł broń, żeby odciąć mi głowę. Widząc szansę, skoncentrowałem się na Głębotniju, który leżał na podłodze tuż za nim.

Do mnie, Głębotniju. Do mnie!

Ale było już za późno. Miecz dopiero co zaczął się ruszać, unosząc krawędź ostrza, kiedy ponury król



zapał się mocno nogami, żeby zadać cios. Kiedy jednak cofał stopę, musnął odwróconą klingę Głębotnija. Czarne ostrze obdarzone mocą cięcia do samej duszy przebiło mu skórzany but i dźgnęło go w piętę.

Stangmar zawył z bólu i zwinął się na podłodze. Cienie miotały się z taką siłą, że wydawało się, iż trzęsie się cały tron. Upiornicy z wyciągniętymi mieczami ruszyli królowi na pomoc. Ale ten uniósł dłoń. Żołnierze natychmiast się zatrzymali.

Stangmar podniósł powoli głowę. Spojrzał na mnie, a z każdą chwilą jego twarz łagodniała. Szczęka się rozluźniła. Oczy powiększyły. Tylko zmarszczki na czole pozostały.

- Powiedziałeś prawdę - oznajmił z wysiłkiem. - My - to znaczy ja - do diabła z tą królewską mową!  
- jestem tylko niewolnikiem.

Tron dygotał na wszystkie strony.

Stangmar zwrócił się do miotających się cieni.

- Wiesz, że to prawda! - krzyknął. - Jestem tylko twoją marionetką! Bez przerwy kręci mi się w głowie od twoich gróźb i rojeń, zupełnie tak, jak kręci się ten przeklęty zamek!

Wtedy od strony cieni doszedł mrozący krew w żyłach syk. Szarpanina ustała i ciemność zaczęła gęstnieć, przeobrażać się w coś jeszcze mroczniejszego.

Król próbował się podnieść, ale rana go unieruchomiła i ponownie upadł. Spojrzał na mnie ponuro.

- Musisz zrozumieć. Nigdy nie chcieliśmy - to znaczy nie chciałem - doprowadzić Fincayry do takiego stanu! Kiedy złożyłem pierwszą obietnicę, nie miałem pojęcia, ile krzywd to za sobą pociągnie.

- Dlaczego? - zapytałem. - Dlaczego obiecałeś coś Rhicie Gawrowi?

Stangmar zmarszczył brwi.

- Żeby... ocalić Elen.

- Elen? Moją matkę?

Nagle przypomniałem sobie, co mówiła mi na pożegnanie o moim ojcu. „Jeżeli kiedykolwiek go spotkasz, pamiętaj: on nie jest taki, na jakiego wygląda”.

- Tak. Elen o Szafirowym Spojrzeniu.

Stangmar wziął głęboki oddech i wypuścił niezwykle powoli powietrze, podpierając się łokciami o kamienną podłogę.

- Kiedy urodziła cię na brzegach Fincayry, złamała jeden z naszych najstarszych zakazów, który

nałożyły na nas same duchy, mówiący, że nie może się tu urodzić żaden człowiek. W przeciwnym wypadku ludzie zyskaliby prawa do krainy, która nie jest ich! Kara za to poważne przestępstwo była zawsze surowa, ale jasno określona. Dziecko mieszanego pochodzenia czeka wygnanie z Fincayry. A co gorsza, rodzic, który jest człowiekiem, zostanie wrzucony do Kotła Śmierci.

Stangmar jeszcze raz spróbował wstać, równie bezskutecznie. Upiornicy, którzy wydawali się coraz bardziej zaniepokojeni, znów ruszyli w jego stronę. Upiornik, który trzymał Kłopotą, dołączył do reszty z mieczem w jednej dłoni i szarpiącym się ptakiem w drugiej.

- Stać! - rozkazał Stangmar. - Niepotrzebna mi wasza żałosna pomoc.

Upiornicy posłuchali go, choć nadal przyglądali mu się z niepokojem, trzymając miecze w gotowości. Tymczasem cienie na tronie coraz bardziej się kurczyły, zarazem były coraz gęstsze i ciemniejsze jak środek nadciągającej burzy.

Stangmar pokręcił głową.

- Nie wiedziałem, co zrobić. Jak mogłem skazać na śmierć moją piękną Elen? Dzięki niej wlatywałem ponad wierzchołki drzew, na które wspinałem się w dzieciństwie! Byłem jednak królem odpowiedzialnym za egzekwowanie praw! Wtedy zwrócił się do mnie Rhita Gawr. Zaoferował mi swoją pomoc w zamian za przysługę w rozwiązaniu jego własnego problemu.

- Jakiego problemu?

Stangmar odwrócił wzrok.

- Rhita Gawr powiedział mi, że przyśniło mu się, jakoby największym zagrożeniem było dla niego dziecko mieszanej krwi. A ponieważ wiedział o twoim istnieniu, był

przekonany, że dopóki żyjesz, będziesz mu zagrażać.

Poczułem, jak po ciele rozchodzą mi się dreszcze, na które nakładało się drżenie podłogi.

- Czyli zgodziłeś się zabić mnie zamiast niej?

- Nie rozumiesz, że nie miałem wyjścia? Rhita Gawr obiecał chronić Elen i całą Fincayrę przed karą duchów za naruszenie prawa.

- I obiecałeś wrzucić mnie do Kotła!

- Tak. To było przed twoimi siódmymi urodzinami. Przez cały czas utrzymywałem przysięgę w tajemnicy przed Elen. Powiedziałem jej tylko, że duchy zgodziły się, żeby została przy życiu, a tobie pozwoliły tu zostać. Była taka szczęśliwa, że nie umiałem powiedzieć jej prawdy. Ufała mi bezgranicznie.

Jego głos zaczął się oddalać.

- Tak się złożyło, że w ciągu tych siedmiu lat przymierze z Rhitą Gawrem bardzo się zacieśniło. Było też konieczne. To on mnie ostrzegł przed spiskiem olbrzymów, którzy chcieli podbić Fincayrę.

Pomógł mi zwalczyć groźnego wroga na naszych terytoriach. Podarował mi zamek, w którym poczułem się bezpieczny. To on...

Głos uwiązał mu w gardle i król się zgarbił.

- To on uczynił mnie swoim niewolnikiem.

Poruszony jego cierpieniem dokończyłem za niego opowieść.

- I kiedy Elen, moja matka, dowiedziała się, że ocalała za cenę mojej śmierci, uciekła z Fincayry, zabierając mnie ze sobą.

Stangmar patrzył na mnie z rozpaczą.

- I tak koniec końców straciłem was oboje.

- I nie tylko - dodała Rhia, która stała obok bezgłowych zwłok goblina.

Przytaknąłem, po czym zwróciłem się do upiorników. Z jakiegoś powodu zbliżyli się do tronu, otaczając go swoimi ciałami. Jednak pomimo bliskości innych żołnierzy Kłopot w dalszym ciągu ciskał się i trzepotał zaciekle skrzydłami. Upiornik, który go trzymał, nie zauważył, że sokołowi udało się prawie wyswobodzić jeden ze swoich szponów.

- To prawda - przyznał Stangmar. - Rhita Gawr zapewniał mnie, że jeżeli uda mi się znaleźć i zgładzić mojego syna mieszanej krwi, to moja moc będzie pełna. Ale tak naprawdę chodziło mu o to, żebym spełnił jego żądanie - usunął zagrożenie, którym dla niego jesteś.

Czyli kto w takim razie jest teraz władcą?

W tej chwili upiornicy odeszli zgodnie od czerwonego tronu. Kiedy rozsunęli się na boki jak dwie zasłony, ukazało się wijące się na tronie nieprzeniknione jądło ciemności. Z

ciemniejszego od samego Mroku ruchomego splotu doszedł przenikliwy, skrzekliwy syk.

Wraz z nim poczułem lodowaty powiew, który zmroził mnie do kości.

- Rhita Gawr! - krzyknął Stangmar, rozpaczliwie usiłując wstać z podłogi.

Splot ciemności zeskoczył z tronu, przeleciał obok Rhii i wylądował na podłodzie obok Głębotnija. Zanim zdążyłem wciągnąć powietrze, owinał się wokół srebrnej rękojeści.

Niczym mroczna dłoń zła uniósł miecz i sieknął nim Stangmara, rozcinając mu pół twarzy od ucha po brodę. Krew pociekła królowi po szczęce, zawył z bólu i przewrócił się na bok.

Nagle Stangmar zmarł. Przerazenie na jego twarzy zamieniło się w gniew. Oczy mu się zwięzły, brew spochmurniała, pięści zacisnęły tak mocno, że aż zbieleły. Ku mojemu zaskoczeniu złapał drugi miecz i skoczył na nogi. Stał obok mnie, pomimo zakrwawionej twarzy dumny i mocarny.

- Pomóż nam! - krzyknąłem.

Jednak zamiast wymierzyć ostrze w czarną istotę z Głębotnijem, skierował je prosto we mnie.

- Jesteś głupcem, chłopcze! Nie damy się tak łatwo pokonać.

Wycofałem się.

- Ale przecież powiedziałeś...

- Nie powiedzieliśmy niczego ważnego - oznajmił, machając w stronę kłębiącej się masy ciemności, która składała się na Rhitę Gawra. - Nasz przyjaciel nas wyleczył! Tnąc nas ostrzem, które leczy każdą ranę, wyleczył naszą duszę z tchórzostwa. I tym samym przywołał

nas do porządku. Wiemy, kim są nasi wrogowie, i teraz cię zgładzimy!

Rhia chciała się rzucić na króla, ale dwóch upiorników zastąpiło jej drogę. Próbowwała ich wyminąć, ale bezskutecznie.

Kiedy Stangmar wyciągnął swój miecz, szykując się, żeby mnie nim przeszyć, Rhita Gawr wydał kolejny przenikliwy syk. Stangmar się zawahał. Powoli opuścił broń.

Nieco zawstydzony król pokręcił głową.

- Więcej cię nie zawiedziemy - zaprotestował. - Oszukano nas! Zwiedziono! Pozwól nam teraz spełnić obietnicę.

Wściekły przenikliwy syk był jedyną odpowiedzią Rhity Gawra. Stangmar przyglądał

się posłusznie, a pulsujący splot ciemności podniósł ponownie swój miecz. Rhita Gawr wziął

zamach, szykując się, by zakończyć mój żywot.

Wtedy w sali rozległ się przeszywający krzyk. Drzemlikowi udało się w końcu wyswobodzić z uchwytu upiornika. Żołnierz bezskutecznie usiłował przebić sokoła mieczem, ale ten poszybował ku sklepieniu wielkiej komnaty.

Kłopot doleciał do najwyższego punktu tuż pod sufitem, po czym wydał z siebie skrzek, który odbił się echem od każdej ściany. Przechylił się gwałtownie w powietrzu i na ułamek sekundy zawisł nad naszymi głowami. Potem ta niewielka, ale odważna istota, której życie od naszego pierwszego spotkania było ciągiem walecznych wyczynów, dokonała aktu, który odwagą przyćmił wszystkie inne.

Kiedy miecz zakreślał łuk w moją stronę, Kłopot potężnie zamłócił skrzydłami i śmignął szybciej niż

strzała w sam środek czarnej masy. Zaskoczony Rhita Gawr wypuścił

miecz, który przeleciał przez salę i wylądował na kamieniach. Kiedy wokół ptaka owinęły się zimne macki ciemności, ten wściekle dziobał, drapał i uderzał skrzydłami. Wśród syków i skrzeków mroczna masa wraz z drzemlikiem poturlała się po podłodze.

Rozpaczliwie szukałem sposobu, żeby pomóc Kłopotowi. Co zrobić? Mogłem spróbować uderzyć Głębotnijem, ale ptak i Rhita Gawr byli tak mocno spleceni, że nie byłem w stanie trafić jednego, nie robiąc krzywdy drugiemu. Mogłem spróbować użyć swoich mocy, żeby zadać inny rodzaj ciosu, ale był on skazany na niepowodzenie z tych samych względów.

Serce mi się krajało, kiedy patrzyłem na nich, ale nie mogłem zrobić nic więcej.

Kłopot walczył dzielnie. Jednak lodowaty uścisk i wielka siła Rhity Gawra zatriumfowały. Powoli, nieubłaganie, masa ciemności pożerała ptaka. Wchłaniała go kawałek po kawałku. Najpierw szpon, potem skrzydło. Potem pół ogona. I po kilku sekundach głowę.

- Och, Kłopocie! - jęknęła nadal trzymana przez upiorników Rhia.

Drzemlik wydał ostatni świdrujący gwizd i podniósł głowę najwyżej jak mógł, po czym zatopił dziób w samym sercu ciemności.

Nagle zmagającą się parę otoczyła cienka osłona jaskrawego światła. Powietrze przeszył dziwny syk, jakby przebito barierę oddzielającą dwa światy. Mroczna masa zaczęła się zmniejszać wraz z drzemlikiem, którego pożerała, aż został po nich tylko czarny punkcik unoszący się w powietrzu. Chwilę później zniknął również on.

Kłopot już nie było. Choć udało mu się zabrać ze sobą Rhitę Gawra, miałem pewność, że pewnego dnia podły duch powróci, a mój przyjaciel niestety nie. Moje niewidzące oczy zaszyły łzami, kiedy schyliłem się, żeby podnieść pióro, które upadło na podłogę u moich stóp.

Powoli obróciłem je między palcami, pręgowane, brązowe. Pochodziło ze skrzydła Kłopoty, tego samego skrzydła, które niosło mnie jeszcze tak niedawno przez przestworza. Te skrzydła, tak jak ja, już nigdy nie wzlecą. Delikatnie schowałem pióro do torby.

Nagle poczułem czubek miecza naciskający na moją pierś. Podniosłem wzrok i ujrzałem zakrwawionego na twarzy i szyi Stangmara, który gniewnie na mnie patrzył.

- Teraz spełnimy obietnicę - oznajmił. - I to tak, jak miała być spełniona. Kiedy nasz przyjaciel powróci, nie będzie miał wątpliwości, po czyjej stronie stoimy.

- Nie - poprosiła Rhia. - Proszę tego nie robić! To pana szansa, żeby zostać prawdziwym królem, czy pan tego nie rozumie?

Stangmar prychnął.

- Nie strzép sobie kłamliwego języka.

Odwrócił się do upiorników.

- Straże! Wrzucić go do Kotła!

# XXXVIII

## PRASTARE SŁOWA

Upiornicy, którzy nie pilnowali Rhii, natychmiast popędzili przez salę w moją stronę.

Z dobytymi mieczami i twarzami bez wyrazu zaczęli prowadzić mnie w stronę Kotła Śmierci.

Nawet nie próbowałem się opierać. Być może po utracie Kłopoty, a być może z powodu bezustannego dygotania podłogi, ledwie trzymałem się na słabych nogach. Co więcej, nawet gdyby moje moce mogły mnie teraz uratować, nie miałem już siły próbować.

Myślałem tylko o pustym miejscu na ramieniu.

Rhia chciała za mną pobiec, ale żołnierze ją zatrzymali.

Stangmar przyglądał się temu z ponurą miną. Stał wyprostowany jak statua, z nieprzejednanym wzrokiem, z dłonią na rękojeści miecza. Zasnęta krew na twarzy przybrała rdzawy kolor Znękaných Ziem jego królestwa.

Krok po kroku pochód zbliżał się do Kotła. Ten jakby spoglądał na mnie gniewnie, ciemny i niemy jak sama śmierć. Przez chwilę rozważałem, czy nie wskoczyć do niego z własnej woli w nadziei, że moja śmierć pociągnie za sobą jego zniszczenie. Ale nawet tę niewielką pociechę mi odebrano, gdyż eskortujący mnie upiornicy szli tak blisko, że z pewnością zabiliby mnie, zanim zdołałbym się im wymknąć.

Przybity, spojrzałem na Rhię. Sięgając przez przerwę między dwójką żołnierzy, wyciągnąłem ku niej zgięty palec. Pomimo załzawionych oczu odwzajemniła gest, symbolicznie zahaczając swój palec o mój ostatni raz.

Upiornicy zatrzymali się przy Kotle. Choć sięgał mi tylko do pasa, jego żelazna jama była tak szeroka, że bez trudu zmieściłby się w nim dorosły. A wewnątrz ziała ciemność -

jeszcze głębsza i gęstsza niż sam Mrok. Upiornicy popchnęli mnie ku krawędzi Kotła, po czym spojrzeli na Stangmara, czekając na jego rozkazy.

Rhia błagała:

- Proszę, nie!

Stangmar nie zwrócił na nią uwagi. Krzyknął, żeby było go słychać ponad dudnieniem obracającego się zamku:

- Do Kotła z nim!

W tej chwili z cienia przy schodach wyskoczyła małeńka postać. To Shim zerknął

pobieżnie na mnie i Rhię i popędził po posadzce, a jego małe stopy plaskały na kamieniach.

Zanim upiornicy zorientowali się, co się święci, wdrapał się na brzeg Kotła. Zawahał się ułamek sekundy, po czym rzucił się w jego czeluść.

Salą wstrząsnęła potężna eksplozja, a cały zamek zadygotał na fundamentach. Choć obroty nie ustały, moc wybuchu zaburzyła ich uprzednio miarowy rytm. Przewróciłem się na podłogę, podobnie jak Rhia i kilku upiorników. Pochodnie spadły z uchwytów i syczały na kamieniach. Powieszona na jednej strunie Harfa Kwitnienia zachwiała się na ścianie, grożąc spadnięciem.

Huk eksplozji rozchodził się po ścianach i biegł poza zamek, ku Mrocznym Wzgórzom, a ja się podniosłem. Ujrzałem wtedy przepołowiony Kocioł Śmierci. A na środku zniszczonego Kotła leżało ciało małego olbrzyma.

- Shim!

Nachyliłem się nad swoim kompanem, a oczy znów zaszyły mi łzami. Przemówiłem szeptem do zwłok:

- Zawsze chciałeś być duży. Być prawdziwym olbrzymem. Więc jesteś olbrzymem, mój przyjacielu. Jesteś olbrzymem.

- Co to za zdrada? - Stangmar świsnął mieczem i wydarł się na upiorników. - Kazałem wam znaleźć resztę intruzów!

Rozwścieczony król chwycił miecz jednego z żołnierzy i wbił mu go prosto w brzuch.

Upiornik zadygotał, ale nie wydał z siebie żadnego odgłosu. Potem powoli wyciągnął z siebie miecz i spojrzał na Stangmara, jakby nic się nie stało.

Stangmar podbiegł do mnie, kiedy klęczałem przy krawędzi roztrzaskanego Kotła. Z

wściekłą miną uniósł miecz wysoko nade mnie. Kiedy się do niego odwróciłem, spojrzał na moje czarne loki splecione i tak podobne do jego własnych i zawahał się.

- Bądź przeklęty, chłopcze! Twój wygląd - i cięcie tej nieszczęsnej klingi - obudziły w nas uczucia. Uczucia, które mieliśmy zapomnieć i które chcielibyśmy zapomnieć również teraz! I teraz nasze zadanie jest po dwakroć podłe. Gdyż choć musimy zrobić to, co musimy, cierpienie będzie przeogromne.

Nagle Stangmar otworzył ze zdumienia usta. Przestraszony, zrobił niepewny krok w tył.

Wewnątrz resztek Kotła działo się bowiem coś dziwnego. Jakby delikatny wietrzyk zaczął wiać po sali, a włosy na głowie Shima drżały, poruszały się. Na początku powoli, potem coraz szybciej, jego nos zaczął rosnać. Potem uszy. Potem reszta głowy, szyja i barki.

Również jego ręce zaczęły puchnąć, po czym tors, uda, nogi i stopy. Ubranie powiększało się wraz z nim, rosło z każdą sekundą.



Po chwili zdarzył się cud. Shim otworzył oczy. Bardziej zaskoczony niż my, zaczął dotykać puchnącymi dłońmi swojego ciała.

- Robi się większy! Robi się większy!

Kiedy głowa Shima zaczęła sięgać do sufitu, Stangmar odzyskał przytomność umysłu.

- To olbrzym! - krzyknął do upiorników. - Na niego, zanim nas wszystkich zglądzi!

Stojący nieopodal upiornik podbiegł i wbił miecz w tę część ciała Shima, którą miał najbliżej. Przypadek chciał, że było to jego lewe kolano.

- Ała! - zawył Shim, chwytając się za kolano. - Pogluty przez pszczołę!

Niegdyś mały, olbrzym odruchowo zwinął się w kulę. Jednak przez to stał się jeszcze łatwiejszym celem. Upiornicy zebrali się dokoła, dźgając i tnąc go z zaciekłością wściekłego roju. Tymczasem Shim ciągle rósł i nie zanosilo się, żeby miał przestać. Jego ramiona i grzbiet napierały na sufit z taką siłą, że zaczął się trząść. Spadły na nas kawałki kamieni. W

sklepieniu powstał otwór.

Jedna z wież na murach zamku zawaliła się, trafiając Shima w rosnący mu ciągle nos.

Ale zamiast sprawić, żeby Shim jeszcze bardziej się skulił, cios miał inny efekt. Rozwścieczył go.

- Jest zły! - zagrział Shim, przebijając ścianę na wylot pięścią teraz prawie tak wielką jak tron króla.

Wyraźnie przestraszony Stangmar zaczął się wycofywać. W jego ślady poszli upiornicy. Dwóch Fincayran, którzy kulili się przy tronie, pognało do schodów, potykając się o siebie w wielkim pośpiechu.

Podbiegłem do Rhii, zatrzymując się na chwilę po Głębotnija, który leżał przy schodach. Razem schroniliśmy się w przeciwległym kącie, w którym - przynajmniej na razie -

kamienie nie spadały nam na głowę.

Wtedy Shim doświadczył po raz pierwszy w życiu, co to znaczy być olbrzymem.

Zobaczył, jak napastnicy przed nim uciekają. A błysk w wielkich różowych oczach nie pozostawiał wątpliwości, że mu się to spodobało.

- Jest większejszy od was! - ryknął. - Dużo większejszy!

Shim, którego same włochate stopy były teraz wielkości gładów, wstał. Wyprostował się, burząc kolejny kawałek sufitu. Z mściwym uśmiechem na gigantycznej twarzy zaczął miażdżyć stopami upiorników. Każde uderzenie wstrząsało całym zamkiem i podłoga również zaczęła pękać.

Jednak nieśmiertelni żołnierze przetrwali nawet te ciosy. Po każdym ataku wstawali, otrząsali się i znów cięli Shima po stopach mieczami. W oczach Shima płonęła furia. Jeszcze mocniej uderzał stopami. Im natarczywiej upiornicy się pod nim kręcili, tym więcej energii wkładał w każde tupnięcie.

Kiedy siedziałem z Rhią w kącie, żywiłem żarliwą nadzieję, że Shim nie przejdzie na naszą stronę sali, i patrzyłem, jak zamek sypie się wokół niego. Był wyraźnie wściekły - i świetnie się bawił.

Wtedy przez odgłosy pękających kamieni i uderzających stóp usłyszałem dziwny rytm dobiegający spoza murów zamku. Na początku odległy, zaczął się zbliżać i cały czas przybierał na sile. Nagle zdałem sobie sprawę, że to głosy, najbardziej basowe głosy, jakie kiedykolwiek słyszałem. I śpiewały prostą melodię składającą się z trzech niesłychanie niskich nut. W tej melodii było coś znajomego, co wywoływało we mnie uczucie, którego nie potrafiłem określić.

Naraz w otworze w suficie pojawiła się olbrzymia twarz, pobrużdżona jak skała i z kudłatą rudą brodą. Za nią ujrzałem następną, z kręconymi siwymi włosami i pełnymi ustami.

I kolejną, o cerze ciemnej jak cień, z długim warkoczem i kolczykami z kół rydwanu. Każda z nich skinęła spoza murów zamku na powitanie Shima.

- Olbrzymi - powiedziała zadziwiona Rhia. - Przybyli.

Rzeczywiście olbrzymi wyszli ze swoich kryjówek rozsianych po całej Fincayrze i przybyli. Odpowiedzieli na wyczekiwany od dawna sygnał, którym mogła być eksplozja Kotła Śmierci, wychynęli z ocienionych kanionów, odległych lasów i nieznanymi granicami tej krainy. Nieśli wielkie płonące pochodnie i przybywali ze wszystkich stron. Niektórzy mieli na sobie ciężkie siatki kamieni, które pozwalały im odpoczywać w ukryciu na polach pełnych gładów. Inni mieli na opadających grzywach gałęzie, nawet całe drzewa. Jeszcze inni, być może zbyt naiwni bądź zbyt dumni, żeby się maskować, nosili kamizelki, czapki i peleryny tak różnobarwne jak drzewa owocowe Lasu Druma.

Olbrzymi zajęli sprawnie pozycje w kręgu dokoła zamku. Idąc w ślady Shima, zaczęli wspólnie tupać z siłą trzęsienia ziemi. Zarazem zaczęli śpiewać rytmiczną inkantację w najstarszym języku, mowie pierwszych mieszkańców Fincayry.

Hy gododin catann hue

Hud a lledrith mai wyddan

Gaunce ae bellawn wen cabri

Varigal don Fincayra

Dravia, dravia Fincayra.

Przypomniałem sobie, jak matka śpiewała tę samą pieśń. Ale czy to było wspomnienie z czasów, kiedy byliśmy w Gwynedd, czy może jeszcze wcześniejszych? A może słuchałem jej w dzieciństwie? Nie umiałem stwierdzić.

Odniosłem wrażenie, zapewne na podstawie tego mglistego wspomnienia, że pieśń opowiada o wiecznej więzi między olbrzymami a Fincayrą. O tym, że dopóki istnieje jedno, będzie też istnieć drugie. Dravia, dravia Fincayra. Niech żyje, niech żyje Fincayra.

Im dłużej olbrzymi tańczyli przy świetle wielkich pochodni, tym bardziej sypał się zamek. Choć kamienie za mną i Rhią jeszcze się trzymały, inne kawałki ścian zaczynały pękać. A w miarę jak mury zamku słabły, przyskało zaklęcie. Obroty zwolniły, dudnienie przycichło. Potem, rżąc kamieniem o kamień, zamek się zatrzymał. Kolumny i sklepienia runęły, wypełniając powietrze pyłem.

W tej chwili upiornicy, których utrzymywały przy życiu obroty zamku, wydali jednogłośny okrzyk - w którym więcej było zaskoczenia niż bólu - i padli tam, gdzie stali.

Kiedy patrzyłem na ich porozrzucane między kamieniami ciała, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że na ich twarzach w końcu pojawiła się odrobina emocji. I że była to wdzięczność.

Po śmierci upiorników Shim przelazł przez otwór w ścianie i dołączył do reszty olbrzymów. Kiedy słuchałem tupania ich ciężkich stóp wokół zamku, przypomniałem sobie kolejne prastare słowa. Słowa, które przepowiedziały ten Taniec Olbrzymów: Gdzie w ciemności zamek wiruje miarowo,

Małe stanie się wielkie, koniec zacznie na nowo,

Tylko kiedy olbrzymi zatańczą w sali,

Wszystkie bariery runą i zło się oddali.

Zrozumiałem, że Shima uratowała jeszcze starsza odmiana magii. Starsza niż Spowity Zamek, starsza niż Kocioł Śmierci, starsza może od samych olbrzymów. Zanim bowiem jego odważny wyczyn unicestwił Kocioł, to właśnie plaskanie jego stóp na kamieniach podłogi zapoczątkowało taniec, który miał zniszczyć cały zamek. Małe stanie się wielkie, koniec zacznie na nowo. Wielka Eluza powiedziała niegdyś Shimowi, że wielkość to była kwestia czegoś więcej niż rozmiaru kości. I teraz dzięki swoim wielkim wyczynom mógł patrzeć z góry na mury obronne rozsypującego się zamku.

## DOM

Ściana za nami zaczynała trzeszczeć. Odwróciłem się do Rhii, której postrzępione ubranie z pnączy nadal pachniało lasem.

- Musimy iść! Zanim cały zamek runie.

Otrząsnęła z włosów odłamki kamieni.

- Schody są zablokowane. Myślisz, że powinniśmy spróbować jakoś zejść?

- Nie ma czasu - odparłem, wstając. - Mam lepszy pomysł. - Przyłożyłem dłonie do ust i zawołałem, przekrzykując hałas: - Shim!

Kiedy pękała ściana, w dziurze na suficie pojawiła się twarz. Twarz, która byłaby znajoma, gdyby pozostała dużo, dużo mniejsza.

- Jest teraz duży - zagrzmiął z dumą Shim.

- Twoje marzenie się spełniło! Być wielki jak najwyższe drzewo. - Pomachałem do niego, żeby się nachylił. - Włóż rękę przez otwór, dobrze? Musimy się stąd wydostać.

Shim stęknął, po czym włożył olbrzymie łapsko przez dziurę w suficie. Dłoń zatrzymała się tuż koło nas, choć tak blisko przepaści, że tylko jedno z nas mogło się precyzyjnie przycisnąć i wdrapać mu na rękę. Rhia zgodziła się iść pierwsza.

Kiedy ostrożnie obchodziła przepaść, zważyłem w dłoni Głębotnija. Choć srebrna rękojeść nadal była chłodna od uścisku Rhity Gawra, blask dwustronnego ostrza przypominał

mi światło księżyca na powierzchni wzburzonego morza.

Nagle przypomniałem sobie o Skarbach Fincayry. Trzeba je było ocalić! Czas, który pozostał do ostatecznego runięcia zamku, musiałem wykorzystać na znalezienie Skarbów, których nie zniszczył jeszcze spadający gruz.

- Chodź! - krzyknęła Rhia, trzymając się kciuka Shima.

- Ty idź pierwsza - odparłem. - Powiedz Shimowi, żeby po mnie wrócił.

Kiedy przyglądała mi się zatroskana, złożyłem dłonie i zawołałem w stronę sufitu:

- Shim! Podnoś!

Kiedy olbrzym wyciągał Rhię przez dziurę, położyłem Głębotnija na najbezpieczniej wyglądającym kawałku kamienia, jaki wpadł mi w oko. Zaraz potem zacząłem się rozglądać po zakamarkach

niegdyś ogromnej sali. Przechodziłem nad przewróconymi kolumnami i zwłokami upiorników, uciekałem przed spadającymi kamieniami, przeskakiwałem nad wijącymi się po podłodze rysami tak szybko i ostrożnie, jak umiałem. Cały czas przez trzaski i huki sypiącego się zamku słyszałem nieustające tupanie Tańca Olbrzymów.

Szybko znalazłem Harfę Kwitnienia o prawie wszystkich nietkniętych strunach i połyskującą pomarańczową sferę, która, jak się domyślałem, była Kulą Ognia. Zaniósłem je szybko do Głębotnija i wróciłem po kolejne przedmioty. Nieopodal przewróconego czerwonego tronu znalazłem swoją laskę, która też była skarbem, choćby tylko moim. Na przeciwległym krańcu sali natrafiłem na częściowo zasypany Zaklinacz Marzeń, jak również motykę, która wedle opisu pielęgnowała nasiona.

Znalazłem tylko sześć z Siedmiu Mądrych Narzędzi. Po motyce wyszukałem pług, który uprawia własne pole, choć był tak ciężki, że ledwie go udźwignąłem. Potem odnalazłem młotek, łopatę i wiadro, którego mocy mogłem się tylko domyślać. W końcu natrafiłem na piłę, która zdaniem Honna cięła tylko tyle drewna, ile było trzeba. Mimo że część uchwytu zmiażdżył spadający kamień, narzędzie nadawało się do użytku.

Odłożyłem piłę z resztą Skarbów, kiedy w dziurze w suficie ponownie pojawiła się twarz Shima.

- Musi idzie! - zagrzmiął. - Zamek jest najgotowszy do zawalenia.

Przytaknąłem, choć żałowałem, że nie udało mi się znaleźć ostatniego z Siedmiu Mądrych Narzędzi. Fakt, że nie wiedziałem, jak ono wygląda, nie ułatwiał mi zadania. Mimo to, kiedy Shim opuścił swoją olbrzymią dłoń, a ja ładowałem na nią Skarby, co jakiś czas rozglądałem się za nim po sali.

- Już skończy? - ryknął zniecierpliwiony Shim.

- Prawie.

Wrzuciłem na jego dłoń ostatni z przedmiotów, którym była moja laska.

- Jeszcze chwila i też wchodzę.

- Najszybciej! - zawołał Shim. - Może nie mieć tej chwili.

Kiedy to mówił, poczułem, jak kamienie pod moimi stopami mocno się przesuwają.

Zacząłem się wdrapywać na dłoń, rzucając ostatnie spojrzenie na salę.

I wtedy zauważyłem w cieniu za zmiażdżoną kolumną coś, od czego cały się spiąłem.

To nie było brakujące Mądre Narzędzie. To była dłoń, która chwyciła bezradnie powietrze.

Dłoń Stangmara.

- Idzie! - poprosił mnie Shim. - Widzi, że sufit się zawala.

Przez chwilę się wahałem. Potem, mimo że tuż obok mnie przeleciał kawałek sklepienia, odwróciłem się i popędziłem po podłodze rozsypującego się zamku. Ściany, posadzka i sufit pękały coraz szybciej, dostosowując się do przyspieszającego rytmu śpiewających i tupiących na dworze olbrzymów.

Dobiegłem do Stangmara i pochyliłem się nad nim. Leżał twarzą do ziemi ze złotym diademem na czole. Wielka kamienna płyta przygniotła mu dolną część pleców i jedną rękę.

Zaciśnięta teraz w pięść dłoni przestała chwytać powietrze. Tylko jego na wpół otwarte oczy świadczyły o tym, że jeszcze żyje.

- Ty? - jęknął chrapliwie. - Przyszedłeś popatrzeć, jak umieramy? Czy chcesz nas własnoręcznie dobić?

W odpowiedzi chwyciłem kamień. Wykrzesalem z siebie wszystkie siły, żeby go podnieść. Nogi mi dygotały, płuca groziły pęknięciem, kamień nawet nie drgnął.

Kiedy król zrozumiał, co robię, przyjrzał mi się z pogardą.

- Czyli chcesz nas uratować, żeby zabić później?

- Chcę cię uratować, żebyś żył - oznajmiłem, choć podłoga pod nami zaczęła się przechylać.

- Akurat! Chcesz, żebyśmy w to uwierzyli?

Skoncentrowałem się i czerpiąc ze wszystkich swoich mocy, spróbowałem podźwignąć płytę. Po czole ściekał mi pot, który szczypał moje niewidzące oczy. W końcu płyta nieco się uniosła, lecz nie na tyle, żeby Stangmar mógł się wydostać.

Zanim mogłem podjąć kolejną próbę, podłoga się zawaliła. Obaj poleciliśmy w mrok pośród huku zamku, który właśnie ostatecznie się zawalał.

Nagle coś złagodziło nasz upadek. Wpadłem na Stangmara. Na początku nie miałem pojęcia, co nas złapało, wiedziałem tylko, że jest dużo miększe od kamienia. Potem, w świetle pochodni olbrzymów, rozejrzałem się po ruinach zamku pod nami, jak również po znajomych twarzach nad nami. I zrozumiałem.

- Łapie was! - zawył Shim. - I najlepszej się składa, że ma dwie ręce!

- Tak - odparłem, siedząc na środku jego dłoni.

- Najlepszej.

Wielkie usta olbrzyma wykrzywił grymas.

- Najpodlejszy król jest z tobą - ryknął wściekły. - Ja go zje!

Stangmar zrobił przerażoną minę.

- Zaczekaj! - krzyknąłem. - Możemy go uwięzić, ale nie zabijać.

Król popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

Shim znowu ryknął, kręcąc wielgachnym nosem z dezaprobatą.

- Ale on jest zły! Najzupełniej, najstraszliwiej, najwstrętniej zły.

- Może to i prawda - odparłem. - Ale jest też moim ojcem. - Odwróciłem się i spojrzałem w ciemne oczy mężczyzny obok mnie. - I dawno temu lubił wchodzić na drzewa.

Czasami tylko po to, żeby przeczekać na nich burzę.

Oczy Stangmara złagodniały nieznacznie, jakby moje słowa cięły go tak głęboko jak klinga Głębotnija. Potem odwrócił wzrok.

Shim posadził nas na suchej trawie na skraju stoku, gdzie kiedyś tak groźnie wznosił

się Spowity Zamek. Potem się odsunął, a ziemia drżała pod jego stopami. Patrzyłem, jak siada i opiera się o zbocze. Wyciągnął swoje olbrzymie ręce i ziewnął głośno, choć nie tak głośno, jak niedługo miał zachrapać.

Zobaczyłem nieopodal Rhię i podszedłem do niej, zostawiając skulonego Stangmara.

Stała i patrzyła na zachód, za ruiny zamku, w stronę ledwie widocznej linii zieleni na odległym horyzoncie.

Kiedy usłyszała chrzęst ziemi pod moimi stopami, odwróciła się. Jej oczy, tak duże jak zawsze, tańczyły ze szczęścia.

- Nic ci nie jest.

Przytaknąłem.

- I uratowałem większość Skarbów.

Dziewczynka się uśmiechnęła, czego nie robiła już od dawna.

- Rhia! Czy mi się wydaje, czy robi się jaśniej?

- Nie wydaje ci się! Mrok poszedł w ślady zamku i upiorników.

Pokazałem na olbrzymów, którzy przestali śpiewać i tupać. Pojedynczo, a także dwójkami i trójkami, zaczęli się oddalać od ruin.

- Dokąd oni idą?

- Do domu.

- Do domu - powtórzyłem.

Rozglądając się po wzgórzu, przyjrzeliliśmy się temu, co zostało po Spowitym Zamku.

Większość budowli runęła podczas Tańca Olbrzymów, ale ocalał krąg gigantycznych kamieni. Niektóre z nich stały prosto, inne były pochylone, jeszcze inne podtrzymywały parami poprzeczne głazy. Czy to olbrzymi ułożyli tak kamienie, czy tak je zostawili, tego nie wiedziałem.

W ciszy, kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły przeszywać niebo nad Mrocznymi Wzgórzami, rozmyślałem o niesamowitym kręgu. Wznosił się niczym wielkie kamienne ogrodzenie. Przyszło mi do głowy, że ten krąg głazów pozostanie jako wspomnienie faktu, że żadne ściany, niezależnie jak wytrzymałe, nie stłamszą mocy prawdy. Prawdziwej wizji.

Prawdziwej przyjaźni. Prawdziwej wiary.

Nagle dotarło do mnie, że przypominają mi się sceny z dzieciństwa w tym właśnie miejscu! Na tym wzgórzu! Tylko kiedy olbrzymi zatańczą w sali, wszystkie bariery runą i zło się oddali. Teraz zrozumiałem, że przepowiednia nie dotyczyła tylko murów z kamienia.

Moje wewnętrzne mury, które odgradzały mnie od przeszłości od tego dnia, kiedy morze wyrzuciło mnie na plażę w Gwynedd, runęły wraz ze ścianami zamku.

Najpierw w postaci mglistych wizji, a potem spiętrzonych fal, wspomnienia zaczęły do mnie wracać. Moja matka, owinięta w szal przed trzaskającym ogniskiem, opowiada mi historię Herkulesa. Mój ojciec, tak pewny siebie i silny, dosiada czarnego ogiera o imieniu Ionn. Pierwszy raz, kiedy skosztowałem larkona, spiralnego owocu. Pierwszy raz, kiedy pływałem w Nieustającej Rzece. Ostatnie przepełnione smutkiem chwile przed ucieczką, kiedy modłę się z matką o bezpieczną przeprawę przez morze.

I wtedy z odległego dzieciństwa doszły mnie słowa pieśni zwanej Lledrą. Pieśń tę śpiewała dawno temu moja matka, tak jak dzisiaj zaśpiewali ją olbrzymi.

Mowa drzew i kroki kamieni,

Olbrzymi będą solą tej ziemi.

Dopóki o tańcu się nie zapomni,

Varigal stolicą będzie Fincayry.

Niech żyje, niech żyje Fincayra.

- Rhia - powiedziałem cicho. - Nie odnalazłem jeszcze swojego prawdziwego domu. I nie wiem nawet, czy kiedykolwiek go odnajdę. Jednak pierwszy raz myślę, że wiem, gdzie go szukać.



Rhia uniosła brwi.

- I gdzie to jest?

Pokazałem gestem rozświetlony wychodzącym słońcem kamienny krąg.

- Przez cały czas szukałem domu, jakby to było miejsce na mapie. A teraz przypomniałem sobie swój niegdysiejszy dom. Tu, w tym miejscu! A zarazem czuję, że jeżeli mój prawdziwy dom gdzieś istnieje, to nie da się go znaleźć na mapie. Prawdopodobnie jest gdzieś we mnie.

Rhia dodała tęsknym głosem:

- W tym samym miejscu, gdzie są nasze wspomnienia o Kłopotcie.

Sięgnąłem do torby i wyjąłem z niej pióro. Delikatnie pogładziłem jego krawędź palcem.

- Chyba wiem, co się z nim stało, kiedy zniknął. Nie do końca w to wierzę, ale nie mogę tego wykluczyć.

Rhia obejrzała uważnie pióro.

- Pomyślałam o tym samym. I sędzę, że Arbassa by się zgodziła.

- Jeżeli to prawda i jego odwaga otworzyła wrota do Zaświata, to on i Rhita Gawr musieli razem przez nie wpaść.

Rhia się uśmiechnęła.

- Nie taką podróż obmyślił sobie Rhita Gawr! Ale to dzięki Kłopotowi mieliśmy szansę na zwycięstwo. I jeżeli to prawda, to on gdzieś tam teraz szybuje.

- A Rhita Gawr się piekli.

Dziewczynka przytaknęła, po czym na jej twarz wróciła powaga.

- Mimo wszystko będzie mi brakować tego ptaka.

Upuściłem pióro i patrzyłem, jak wiruje, opadając na moją drugą dłoń.

- Mnie też.

Rhia kopnęła kruchą trawę pod naszymi stopami.

- Spójrz, co jeszcze straciliśmy! Ta gleba jest tak wysuszona, że nie wiem, czy kiedykolwiek coś tu jeszcze zdoła wyrosnąć.

Uśmiechnąłem się nieznacznie i oznajmiłem:

- Mam już pewien plan.
- Naprawdę?
- Myślę, że Harfa Kwitnienia, która ma moc przywoływania wiosny, może nam w tym pomóc.
- Oczywiście! Powinna była o tym pamiętać.
- Chciałbym pójść z nią na każde wzgórze i na każdą łąkę i do każdego strumienia w potrzebie. Jak również do pewnego ogrodu na równinach, gdzie mieszka dwójka moich przyjaciół.

Szaroniebieskie oczy Rhii rozpromieniły się.

- Miałem nawet nadzieję...
- Tak?
- Że mogłabyś pójść ze mną. Pomóc mi wskrzesić drzewa.

Wokół rozbrzmiał jej śmiech podobny do dzwoneczków.

- Czy pójdę, czy nie, jedno jest pewne. Może i nie znalazłeś swojego prawdziwego domu, ale chyba znalazłeś przyjaciół.
- Chyba masz rację.

Przyglądała mi się przez chwilę.

- I jeszcze jedno. Odnalazłeś swoje prawdziwe imię.
- Tak?
- Owszem. Przypominasz mi tego drzemlika, który kiedyś siedział ci na ramieniu.

Umiesz być zaciekły, ale też delikatny. Chwytasz się czegoś z całej siły i nie puszczasz.

Widzisz wyraźnie, choć nie swoimi oczami. Wiesz, kiedy używać swoich mocy. I... umiesz latać.

Zerknęła w stronę kamiennego kręgu, który połyskiwał jak wielki naszyjnik w świetle, po czym odwróciła się z powrotem do mnie.

- Powinieneś się nazywać Merlin.
- Chyba nie mówisz poważnie.
- Oczywiście, że tak.

Merlin. Nawet podobało mi się to imię. Oczywiście nie na tyle, żeby je zatrzymać na zawsze, choć wiedziałem, że imiona lubią na swój dziwny sposób przylgnąć. Merlin.

Niecodzienne imię, bez dwóch zdań. I o dodatkowym wydźwięku, biorąc pod uwagę smutek i radość, które się z nim wiązały.

- Zgoda. Spróbuję tak się nazywać. Ale tylko przez chwilę.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)